



HISTORIA BARDZO OSOBISTA

NAWRÓCENIE DLA ODWAŻNYCH
I MNIEJ ODWAŻNYCH

JOANNA CAŁKO

Historia bardzo osobista.

Nawrócenie dla odważnych i mniej odważnych.

Autor: Joanna Całko

Dla mamy i Mamy.

Pisząc moje teksty myślę o mojej mamie,
a tworzę je w obecności Mamy nas wszystkich.

„Oto czynię wszystko nowe.”

Ap 21, 5

Od pewnego czasu zastanawiam się, jak rozpocząć moją opowieść. Ma ona kilka początków- zwrotów, zakrętów, którymi w dużej mierze dzielę się od ponad dwóch lat na swoim blogu. W częściach, w odcinkach, bez nadmiernego spięcia, że muszę, że powinnam.

Ostatnio jednak do złożenia tego, co mam w głowie i skomponowania w całość, po prostu w książkę, zachęciła mnie moja koleżanka z branży redakcyjnej, która ujęła moje autorskie blogowe wypociny w nieznaną mi do tej pory kategorię: talent. Nie chciałam temu wierzyć, jednak czy to moja próżność, czy może ten wewnętrzny głos mówiący „pisz!” poszedł za tą podszyconą nadzieją i w moim życiu pojawiła się pierwszy raz od długiego czasu wiara w siebie. Wiara w marzenia, wiara w to, że to jest możliwe i że jeśli rzeczywiście moja pisanina może wnieść światło w czyjeś życie, to warto spróbować iść o krok dalej. Nie zatrzymywać się na ukochanym blogu. Pojawił się we mnie także swego rodzaju niepokój, ale motywujący. Bo jeżeli rzeczywiście mam talent do pisania, to przecież grzechem byłoby zakopać go w ziemi, jak walutę w przypowieści. On ma się pomnażać (zob. Mt 25, 14-30). Dokładnie ja powinnam działać, żeby go pomnożyć, a wtedy jego Dawca doda mi czego trzeba i pokaże co robić dalej.

Z perspektywy 33-letniej kobiety wydaje mi się, że chęć pisania była we mnie zawsze. Słowa układały się w zdania, zdania w historie dłuższe i krótsze, czasem w wiersze. Już od przedszkola, kiedy jako czterolatka nauczyłam się czytać, świat książek, bajek, opowieści stał się dla mnie najbliższy. Książki to był i jest mój żywioł. Może z pasji do czytania zrodziła się pasja pisania.

Z pisaniem jednak był pewien problem. Oprócz pragnienia było we mnie odczucie, że nie mam o czym pisać. Brakowało mi długo jakiegoś niezidentyfikowanego, ważnego elementu. Jak się okazało, miał się pojawić wiele lat później. W okolicach moich trzydziestych urodzin.

I niech ten moment stanie się umownym początkiem tej osobistej historii.

„Na początku było Słowo”

J 1,1

Na początku mojego pisania o Bogu było Słowo. Jako tytuł pierwszej serii publikowanej na blogu: Słowo. Bo to jest słowo to Słowo, które we mnie gra, Słowo które słyszę, Słowo które chłonę i Słowo którym chcę się dzielić. Jego Słowo i moje słowo. Na początku było przede wszystkim Słowo Boże- Pismo Święte.

Jeśli kilka lat temu, ktoś powiedziałby mi, że będę regularnie czytać Pismo Święte i starać się żyć w zgodzie z nim, to uśmiechnęłabym się, stwierdzając, że to mało prawdopodobne. Jeśli ten sam człowiek powiedziałby mi, że będę pisać o Bogu, a dokładnie o budowaniu relacji z Nim, pewnie roześmiałabym się rozmówcy w twarz. Jeśli na koniec tej wymyślonej proroczej mowy człowiek ten dodałby, że będę głosić przed ludźmi, świadczyć o tym, że Bóg jest, działa i nas kocha, to pewnie popukałabym się w czoło i uprzejmię, aczkolwiek stanowczo zakończyła ten absurdalny dialog. Tak by było jeszcze kilka lat temu.

Jednak od tamtej pory było w moim życiu kilka początków, a wszystkie prowadziły do Tego Jedyne. Wiele początków zdawało się być kwestią przypadku, który to przypadek w konsekwencji okazywał się nieprzypadkowy. Tak jak na przykład usilne pożyczanie mi i namawianie mojej koleżanki, żebyśmy z mężem przesłuchali płyty z nagraniem warsztatów małżeńskich prowadzonych przez znanego już te pięć lat temu kaznodzieję. Pierwsza moja myśl: co ksiądz może wiedzieć o małżeństwie? Druga: po co ksiądz gada o małżeństwie? Trzecia: z grzeczności wezmę płytę, ale nie posłucham.

Jednak posłuchaliśmy. Nie pamiętam dlaczego. Może dlatego, że młodszy syn zaczął przesypiać nieco większą część nocy i mieliśmy wieczór dla siebie. Może z nudów, a może z ciekawości. Z „niewiemczego”. Po przesłuchaniu pierwsza moja myśl: czy to wszystko, ta cała wiedza i mądrość o relacjach w małżeństwie jest faktycznie w Piśmie Świętym? Tej grubej, księdze, która zbiera kurz na półce od dnia ślubu? Druga myśl: jak to? I ja o tym nie wiedziałam. Niemożliwe. Trzecia: muszę sprawdzić.

No i przeczytałam. Od strony jeden do tysiąc siedemset sześćdziesiąt siedem z przypisami. Wydanie Jerozolimskie. Przyznaję, że trochę przeskanowałam fragmenty z niekończącymi się imionami i opisami zależności polityczno- geograficznych Starego Testamentu. Nie wpłynęło to jednak na całokształt mojej refleksji, która mniej więcej brzmiałaby: coś w tym jest albo raczej Ktoś.

Skąd pomysł na takie porwane się z motyką na Słońce? Myślę, że po prostu lubiłam, a może nadal lubię wyzwania. Jak brać to wszystko, jak zostawiać to wszystko. Na tej drodze, do której zaprosiło mnie Słowo Boże miałam jeszcze i mam wiele takich podjętych wyzwań, jak choćby pierwsza w życiu pielgrzymka piesza do Częstochowy. Tylko, żeby nie było za łatwo to poszłam sama, męża z dziećmi zostawiłam w domu, wybrałam grupę milczącą i namiotową. W sam raz dla nowicjusza. Podobnie było choćby z różańcem. Nigdy go nie odmawiałam, więc postanowiłam zacząć od nowenny pompejańskiej. Dla niewtajemniczonych, jest do pięćdziesiąt cztery dni pod rząd (sześć nowenn), gdzie w każdym dniu odmawia się trzy części różańca, czyli piętnaście tajemnic, czyli sto pięćdziesiąt „zdrawasiek” plus pakiet podstawowych modlitw.

Z perspektywy czasu widzę, że ta gorliwość i zadziorność, ale i konsekwencja współpracują bardzo z łaską nawrócenia, którą miałam szczęście otrzymać w tamtym czasie. Kiedyś usłyszałam o myśli świętego Hieronima (niestety nie mogę dotrzeć do informacji, żeby potwierdzić, że to on na sto procent), który stwierdził, że gorliwy grzesznik, taki niewierzący w Boga, a jedynie w ludzi, w świat, we własne możliwości jest najlepszym materiałem na gorliwie wierzącego. Wystarczy mu jedynie przekrócić głowę we właściwym kierunku i wtedy sam przekieruje swoją gorliwość ku dobru. I to jest właśnie nawrócenie. Tak było i ze mną. Nie. Tak jest ze mną, bo wciąż ta gorliwość zwrócona ku Bogu we mnie się tli. Gorliwość do chodzenia z, obok, wybiegania przed, a czasem czołgania się za Jezusem. Czasem ostatkiem sił.

Wierzę, że taka moja postawa gorliwości objawia się w sile woli, w konsekwencji, w wytrwałości. Pomimo, a może właśnie dzięki wrodzonej u mnie niecierpliwości. Konsekwencję, sumienność, wewnętrzną motywację wyrabiałam przez całe dotychczasowe życie. Jak w coś się angażowałam to na całego. Jak miałam się uczyć, to uczyłam się najlepiej, jak miałam uprawiać sport, to mimo braku predyspozycji, starałam się najlepiej jak mogłam, jak podejmowałam się jakiegoś zadania, to najlepiej jak umiałam. Jak imprezowałam, realizowałam wszystkie młodzieńcze głupoty to też z pełnym i świadomym zaangażowaniem. Po bandzie.

I do takiej postawy, do mnie przyszedł w końcu Bóg. Przyszedł po wcześniejszym moim zaproszeniu, zaciekawieniu Pismem, jego interpretacją. Teraz widzę, że zamięłowanie do czytania i tu pomogło. Wszystko zostało tak poukładane i zaplanowane przez Górę, żeby moje cechy, predyspozycje, moment w życiu, sytuacja spotkał Jego miłość.

„Jestem...”

Wj 3, 14

Zanim jednak doświadczyłam namacalnej Obecności Boga, przyszło do naszego życia trochę trudnych momentów. To późniejsze wręcz fizyczne doświadczenie Ducha Świętego raczej przypieczętowało moją nową ścieżkę, bo wiarę dostałam wraz z lekturą Pisma Świętego oraz powrotem na Eucharystię. Tak po prostu. Nie było Go, a nagle Jest. Po prostu to czuję, wiem, wierzę. Nie potrafię wyjaśnić tej przemiany. To co wiem, to że, jak mówi ks. Dominik Chmielecki: piekło się wściekło. Nawrócony grzesznik gorliwiec, neofita z silną osobowością, wygadany, a jak się niebawem okaże piszący, to nie lada orzech do zgryzienia dla sił zła. Do tego byłam i jestem mimo wszystkich tragicznych wydarzeń w moim życiu absolutnie przekonana, że Bóg mnie kocha w sposób wyjątkowy. Kocha tak każdego z nas. Nawet jak my siebie czasem lub często nie kochamy. On Jest i jest po to, żeby nas kochać. To niesamowite odkrycie.

Mój serdeczny kolega, nazwę go młodszym bratem w wierze (choć sama nie jestem seniorem), który nota bene przymierza się właśnie do wstąpienia do zakonu, na drodze swojego nawrócenia, kiedyś napisał mi: „Czy ty wiesz, że zbawienie jest za darmo? Ale tak zupełnie za darmo?!?!”. Był podekscytowany tym odkryciem. Odkryciem tak wielkiej miłości do człowieka, tak wielkiego daru. Do tego stopnia, że chce temu odkryciu poświęcić życie. Jesteśmy wyjątkowi. Często na początku mojej drogi powtarzałam sobie swoje osobiste odkrycie: „jestem wyjątkowa, jak każdy inny człowiek”. Każdy na swój sposób w oczach Boga jest najpiękniejszy, najukochańszy. W końcu jest Jego najcudowniejszym dzieckiem.

Kiedy ponad cztery lata temu trafiłam z powrotem do Kościoła, zaczęłam wracać do sakramentów, poznałam swojego spowiednika. Pierwszy raz w życiu miałam poczucie, że ktoś w tej spowiedzi jest dla mnie, chce mi pomóc i przemawia w imieniu Jezusa. To mój spowiednik, a teraz też kierownik duchowy uświadomił mi, że spowiedź jest po to, żeby wydarzyło się miłosierdzie. To było dla mnie kolejne odkrycie tym razem na miarę Nobla.

Zanim jednak doszłam do tego punktu po drodze wydarzyło się kilka rzeczy: po pierwsze Bolesław Franciszek zwany Franiem, po drugie wcześniej wspomniana nowenna pompejańska, a po trzecie także już wspomniana pielgrzymka. Dokładnie w takiej kolejności.

Już zaczęłam sobie mościć wygodne miejsce w Kościele, wzrastałam w wierze i dobru, (podobnie jak mój mąż, bo „przypadkiem” dostał łaskę nawrócenia w tym samym czasie co ja.), do tego miałam stałego spowiednika. Rodzinny biznes kręcił się wyśmienicie, starszy syn był

zdolnym czterolatkiem, a młodszy, mimo ciut przedwczesnego porodu i ciężkiej ciąży był zdrowym dwu i pół latkiem. Wtedy zaszliśmy z mężem w trzecią ciążę. Od początku było tak jakoś dziwnie. Złe samopoczucie, złe wyniki badań hormonalnych, ale nic to. Wierzyłam, że może i będzie ciężko jak w poprzedniej ciąży, ale zakończy się ona happy endem. Postanowiłam zatem, że będę się modlić karkołomną nowenną pompejańską w intencji zdrowego i donoszonego dziecka. Mimo, że ostatni raz różańca używałam chyba przed I Komunią Świętą.

Zaczęłam penetrować ten nieznany łąd modlitwy kontemplacyjnej, dość nie powiem wymagającej czasowo i umysłowo, z intencją w sercu, ale powiedzeniem także Bogu, że chcę to zrobić dla Niego. Po prostu. Zdarzy się co ma się zdarzyć. Szanuję Jego Wolę. Aczkolwiek oczywiście żyłam nadzieją, że wszystko się ułoży i będzie zmierzać ku dobremu. Już na samym początku usłyszałam w sercu spokojny, ale wyraźny głos, który nagle przeszył moje myśli i powiedział: „to nie to dziecko”. Byłam skonfundowana, zaniepokojona, ale kontynuowałam nowennę mimo tego zamieszania. I tak w trakcie odmawiania codziennych części różańca np. zadzwonili z laboratorium, żeby mi powiedzieć, że mam toksoplazmozę (nie mam kotów, ani z żadnym się nie stykałam), którą musiałam jakimś cudem złapać już w ciąży, jak wskazywały wyniki. Do tego problemy z tarczycą, których w życiu nie miałam. Podjęłam antybiotykoterapię, żeby zabezpieczyć naszego Frania przed toksoplazmozą i oczywiście przyjmowałam wszystkie wskazane leki.

Brnąć wytrwale do końca pompejanki, w ostatnich jej dniach miałam USG genetyczne (początek czwartego miesiąca ciąży), na którym dowiedzieliśmy się, że Franio nie żyje. Musiałam mieć zabieg w szpitalu, bo nie doszło do samoistnego poronienia. W toku badań okazało się, że Frania zabiła nie toksoplazmoza, nie rozregulowana tarczyca, ale przypadkowa choroba genetyczna, tak zwana triploidia (potrójny chromosom).

Leżąc i czekając na zabieg łyżeczkowania odmawiałam nowennę pompejańską w intencji zdrowego i donoszonego Frania. Po ludzku powinnam wałnąć tym różańcem o ścianę po prawie pięćdziesięciu dniach wytrwałych modlitw. Współlokatorzy szpitalne, które pytały mnie o Frania, o modlitwę musiały stwierdzić, że w rozpacz mi odbiło, bo przecież było już „po ptakach” jak to mówią. Ale nie. Ja się uparłam. Uparłam się, bo obiecałam Bogu, obiecałam Ojcu, że poświęcę Mu ten czas modlitwy niezależnie od wszystkiego i kiedy to „wszystko” się wydarzyło, po prostu musiałam modlić się dalej. Po zabiegu, w ferworze załatwiania, niedogadania i dezinformacji nie pobraliśmy w odpowiednim czasie tego, co z Frania zostało- kilku centymetrów tkanek do

pochowania, więc nabożeństwo odbyło się bez ciała. Jak się okazało, ciało mieliśmy odzyskać niespełna dwa lata później, ale to inna historia.

W tych wydarzeniach nie straciłam jednak poczucia, że On Jest, że nas kocha, i że tak się stało z jakichś przyczyn. Wiedziałam też, że podpadamy złemu coraz bardziej, zwłaszcza ja, bo moje rozmowy z ludźmi na temat Ojca okazywały się przynosić owoce, a jeśli nawet jeszcze nie owoce, to ziarno siałam na wszelkiej dostępnej glebie.

Kilka miesięcy po przejściach związanych ze stratą Frania postanowiłam, że pójdę na pielgrzymkę. Jak wspominałam- bez znajomych, bez rodziny, z namiotem i w grupie, gdzie milczeliśmy idąc przez prawie cały czas. - Jaką masz intencję?- pytali ludzie przed, w trakcie i po wymarszu. Ja niezmiennie odpowiadałam moją szczerą intencją: - Chcę zbudować relację z Bogiem. To jest moja intencja. - No spoko, ale co jeszcze?- dopytywali raz po raz, niektórzy naprawdę wytrawni pielgrzymi. – Nic. Tyle- odpowiadałam lekko zdezorientowana.

Tyle i aż tyle. Szybko przekonałam się, że trzeba uważać o co się prosi zwłaszcza, jeśli twój Tata jest Władcą wszechświata i może dosłownie wszystko. Podczas pobytu w jednej z mijanych miejscin, ojcowie opiekunowie zorganizowali w małym kościele wielbienie. Nie miałam pojęcia co to jest. W sensie widziałam i słyszałam jak podczas pielgrzymki, podczas postojów ludzie śpiewają i grają Bogu, ale nie znałam tych pieśni i nie bardzo wiedziałam co się dzieje.

Tamtego dnia, swoim zwyczajem, który streszcza się w maksymie: nie wiesz- obserwuj, siadłam w ciemnym kątku na samym końcu kościoła. Wsłuchiwałam się w piękne, nieznanne mi śpiewy, nie wiem nawet czy się jakkolwiek modliłam, czy ze zmęczenia po prostu trwałam przy Nim, jak nazwałabym to teraz. Wtedy nie miałam takiej świadomości, co robię. W każdym razie nagle wydarzyła się dziwna rzecz. Ni stąd ni zowąd, bez zapowiedzi, bez wcześniejszego rozemocjonowania, ani sygnału ostrzegawczego zaczęły płynąć mi łzy z oczu. I tak płynęły pięć, dziesięć minut, potem dwadzieścia i w sumie nie wiem jak długo, ale pewnie bym się odwodniła, gdyby nagle nie przestały.

Wróciłam do swojego namiotu, zadziwiona, zaciekawiona, niespokojna. Coś się tu wydarzało, ale nie bardzo wiedziałam w tamtym momencie co. Pamiętam, że fatalnie spałam i to nie tylko ze względu na twardą ziemię. Śniły mi się jakieś twarze, ludzie, sytuacje, jakby gdzieś w innym świecie trwała gonitwa i walka nie wiadomo o co. Wymięta obudziłam się o świcie i z grupą ruszyłam dalej.

Jak się okazało nie tylko w ilości kroków dalej, ale także dalej w pojmowaniu rzeczywistości duchowej, dalej w wierze, dalej w swoim życiu. Już następnego dnia, podczas postoju było zorganizowane kolejne wielbienie w plenerze. Także i tym razem wmieszałam się w tłum, raczej z tyłu przycupnęłam na jakiejś ławeczce, ale nie na długo. Prędko się okazało, że łzy zaczęły płynąć dalej, a we mnie pojawiło się coś, co określam teraz jako przynaglenie, wręcz fizyczne odczucie, żeby upaść na kolana. Na początku walczyłam ze sobą i z tą siłą przygniatającą do parteru. W końcu się poddałam i padłam na kolana.

Klęcząc, czułam się wbita w trawę, w ziemię. Łzy płynęły strumieniami dalej, ale nie tylko one. Przed zamkniętymi oczami stanęło mi całe życie. Trzydzieści lat w obrazach, barwnej mieszance uczuć, momenty trudne w życiu, ale też pewnie wszystkie inne. Z perspektywy trzech lat od tego wydarzenia muszę powiedzieć, że nie pamiętam już treści, bo nie ona była ważna. Najważniejsza okazała się Obecność i to, że przy zamknięte dosłownie oczy, okazały się stawać tymi duchowo otwartymi.

Tego nie dało się objąć ramami. Ja po prostu wiedziałam, że On- Jezus spotkał się ze Mną i to dzięki temu, że po prostu tamtędy przechodził. Ja nie uczestniczyłam aktywnie w witaniu Go. Bardziej, jak ten Zacheusz wybrałam miejscówkę i obserwowałam. A On przechadzający się wśród uwielbienia po prostu zawołał mnie: -Chcę się u ciebie zatrzymać- tak właśnie u ciebie, u tej najmniejszej, najmniej ogarniającej co się dzieje, najbardziej grzesznej (zob. Łk 19, 1-10)! Poczulałam, że Jezus chce się spotkać ze mną, która zaczęła Go szukać, która chciała wejść na tę ścieżkę pełną niewiadomych, jedynie ze względu na Niego. Dlatego dał mi odczuć Swoją Obecność, moc i miłość, a ja je przyjąłam, bo bardzo tego potrzebowałam.

„On zaś, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie.”

J 16, 8

Kiedy Duch Święty przychodzi, przekonuje nas o grzechu. Jezus nazywa to czymś pożytecznym dla nas. On odchodzi, posyła Ducha – Pocieszyciela, a Ten przekonuje nas o grzechu. I dochodzę w ten sposób do wspomnianego punktu: uważaj o co prosisz. Okazało się, że z litrami łez, w poczuciu uniesienia do innego świata, Obecności Jezusa, przygarnięcia mnie, przyszedł Duch Święty. Pokazał mi w moim całym życiu miejsca grzeszne, te brudne, te wymagające oczyszczenia dla duszy. Skierował moją uwagę na pewne najcięższe dla mnie kwestie i zasugerował, że potrzebuję wyznania tych grzechów.

I tu włączył się oskarżyciel. Och, jak on lubi nas oskarżać przed Bogiem, robi to nieustannie (zob. Ap 12, 10). Podpowiada rozwiązania od: jesteś tak beznadziejna, musisz powiedzieć wszystkim naokoło jak bardzo, wyznając publicznie swoje grzechy, raniąc po drodze pięć tysięcy osób. Oczywiście, jeśli chcesz się oczyścić. Albo idąc dalej zły może podsuwać myśl: jesteś taką beznadziejną, więc skończ ze sobą albo z tą pseudo- relacją z Bogiem, bo jak widzisz nie jesteś godna. Do tego przez twoje grzeszne życie, niewiarę zmarnowałaś okazję na tę relację...

I tak, od tamtej sierpniowej eskapady trzy lata temu chodziłam z tym trudnym doświadczeniem dzień i noc będąc oskarżaną. Równocześnie chodziłam do mojego spowiednika nie przyznając mu się do tego, co moja dusza przeżywa. Trwało to aż do grudnia. Wtedy mój spowiednik w pamiętnej spowiedzi powiedział prorocstwo. Przeczytał mi dosłownie w myślach i duszy to, czego nie mogłam, bałam się powiedzieć na głos i zaproponował mi rozwiązanie problemu, o którym nie wiedział, że istnieje, bo skupiałam się na bieżących grzechach: - Myślę, że przydałaby ci się na tym etapie, kiedy wyszłaś z ciężkich grzechów spowiedź generalna - zakomunikował w konfesjonale, opisując jak miałoby to wyglądać. Byłam w szoku, bo z tą myślą i tym rozwiązaniem chodziłam od sierpnia.

To nie jest tak, że Duch Święty zostawia nas z problemem i z naszym oskarżycielem. W końcu On jest nazwany Pocieszycielem, więc musi potrafić nas objąć, ukoić. Prawdziwy Pocieszyciel wie natomiast, jakiej pociechy potrzebujemy, żeby była skuteczna. On nie chce nam ulżyć, pomóc doraźnie, bo On chce naszego pełnego uzdrowienia.

W jego działaniu widać wyraźną różnicę między ulgą, a uzdrowieniem. W jakiś sposób Duch uznał, że jestem gotowa na to drugie, w końcu jak brać to wszystko! Spowiedź generalną przeżyłam jakoś po Nowym Roku, czyli na początku 2018. Nie jestem w stanie opisać, jakie w grudniu przeżywałam męczarnie. Stresowałam się bardziej niż każdym egzaminem, niż wszystkim, co w życiu przeżyłam. Chciałam uciec jakieś pięćset tysięcy razy. Bałam się, że usłyszę, że się nie nadaję, że moje sakramenty nie były ważne albo że muszę zrobić coś naprawdę trudnego, że moje życie się rozsypie.

Pamiętam, że w Wigilię zagościło we mnie więcej pokoju. Postanowiłam, że idę i koniec. W międzyczasie, na początku stycznia miałam jeszcze jedną spowiedź, podczas której umówiliśmy się na generalną, ale też odważyłam się powiedzieć szczerze spowiednikowi o moich lękach. Zdziwił się niezmiernie i wtedy wyjaśnił mi coś, co zostało we mnie i co powtarzam chętnie innym: -Ale aż tak się boisz? Wiesz, że spowiedź jest po to, żeby wydarzyło się miłosierdzie? - oznajmił.- „Nie.

Nie wiem”- pomyślałam. Nikt mi o tym nie powiedział do tej pory, a może ja miałam tak zamknięte uszy, że tego nie słyszałam.

Moje doświadczenia ze spowiedzią były do tej pory po pierwsze sporadyczne (odklepanie raz na rok albo raz na dwa lata) po drugie przypadkowe, po trzecie raczej miałam coś co można nazwać pechem do spowiedników i chyba w ogóle do księży. Z perspektywy czasu widzę, jak wiele niewidzialnych sił odciągało mnie od Kościoła. Jak usilnie chciało mnie wyrzucić nawet poza mury świątyni. I w pewnym momencie to się tym siłom udało.

Zanim wrócę do spowiedzi generalnej to przeskoczę na chwilę do okresu nauki w gimnazjum, do bierzmowania. Ostatnio przypomniało mi się, że ten sakrament, który wydawał się moim ostatecznym pożegnaniem z Kościołem, wcale nim nie był. To co wyгнаło mnie ze świątyni i przypieczętowało porzucenie sakramentów, to pojawienie się w tym okresie natrętnych, bluźnierczych myśli zaraz po przekroczeniu jej progu. Mimo, że żadnych natręctw na co dzień nie przejawiałam. Dlatego mówię, że widzę teraz, jak bardzo zależało złemu, żeby mnie odciągnąć od sakramentów. Na drodze mojej obecnej edukacji religijnej, czytaniu dzieł świętych, ludzi kościoła dostrzegam jak to oklepane i stare zagranie złego. Natomiast na czternasto czy piętnastolatkę, która nie znała nikogo wierzącego, a jedynie chodziła na msze w towarzystwie koleżanki, bo moi rodzice byli niewierzący, podziałało rewelacyjnie. Strach, zwłaszcza przed samym sobą to bardzo skuteczna broń w rękach złego.

Jednak od spowiedzi generalnej mnie nie odciągnął. Trwała ona prawie dwie godziny. Spokojnie- nikt mi nie kazał tyle klęczeć. Odbyła się na siedząco, w kancelarii parafialnej i to też do tej pory jest nasze stałe miejsce spotkań z moim kierownikiem, który spowiedź wtedy prowadził. Syntetyczne przedstawienie grzechów, wyjaśnienie, nauka, zadana pokuta, której nie pamiętam nawet, więc nie bolała tak jak się spodziewałam, ale co najważniejsze, zgodnie z obietnicą spowiednika: MIŁOSIĘRDZIE. Jak nie lubię nadużywać wielkich liter, tak muszę to w ten sposób przedstawić. To było nie do opisania, co się wydarzyło. Otrzymałam rozgrzeszenie, ale też wiele cennych wyjaśnień i zapewnienia, że wszystko co podpowiadał zły o nieważności sakramentów, o mojej beznadziei jest nieprawdą. Wyszłam ze spotkania z żywym Jezusem przepełniona Jego miłością.

Nigdy wcześniej, ani nigdy później nie czułam się tak jak wtedy. Lekka, oczyszczona, jakby dziesięć ton spadło z moich pleców. Zanurzyłam się w tym miłosierdziu. Dojmująca myśl po tej spowiedzi to była myśl: Jezu, teraz mogę umrzeć. Mimo młodego wieku, mimo rodziny czekającej w domu, mimo udanego życia, dopiero w tamtym momencie odczułam pełnię szczęścia i coś, co

nazywa się pokój: *shalom*. Bardzo tęsknię do tamtego, tak intensywnego momentu, bo to była namiastka nieba dla mnie, która we mnie żyje, pokazując jak realne jest Boże przebaczenie, Boża miłość i Jego tęsknota za nami. Jeśli miałabym powiedzieć, kiedy „zajrzałam” do Nieba, to właśnie był ten moment.

Zdaję sobie sprawę, jak ekstremalnie to wyznanie brzmi. Jest jednak pewna strefa naszych doświadczeń wiary, które choć próbuję, jako początkująca pisarka i blogerka opisywać, to opis ten będzie zawsze niezdamy. Może przez to mniej wiarygodny, ale przede wszystkim niepełny. Jak opisywanie czym jest poród, cierpienie, miłość. Kto nie doświadczył czegoś podobnego w życiu na własnej skórze w pewnych wymiarach, ten może mieć problem ze zrozumieniem o czym mówię, twierdząc, że mogłabym umrzeć wtedy. Dodam jeszcze, bez przewrotności, ale szczerze, że życzę każdemu z całego serca, żeby w takich okolicznościach, w takim stanie duszy i umysłu mógł kiedyś to powiedzieć: mogę umierać. Mam wszystko. Bo to wszystko to jest Łaska.

**„Zwycięzcy dam manny ukrytej i dam mu biały kamyk, a na kamyku wypisane imię nowe,
którego nikt nie zna, oprócz tego, który je otrzymuje”**

Ap 2, 17

Zatem był Franio, była „pompejanka”, była pielgrzymka i spowiedź generalna. Wszystko to dla mnie początki. Było sobie moje dotychczasowe życie, tylko teraz mocno przewartościowane. Na pierwszym miejscu pojawił się w życiu naszej rodziny Bóg. Z tego względu postanowiliśmy z mężem umacniać się w wierze wyjeżdżając na rekolekcje. Taki małżeński kato-weekend.

Było wspaniale. Utwierdzenie w radości, podsyćenie entuzjazmu i nastawienie pierwszy raz na jeszcze nieporadne wsłuchiwanie się w Ojca. Po powrocie wydarzył się dla mnie kolejny nowy początek. W moim sercu było pragnienie, żeby opisać to wszystko, co mnie dotyka, opisać to, jak Bóg działa w moim życiu. I tak 14 lutego 2018 wieczorem powstał pierwszy odcinek Słowa, które to miało otworzyć miesiąc później mój blog.

Nie mam pamięci do dat. Przyznam, że moim słabym punktem zawsze była historia. Łapię się na tym, że rok z rokiem mi się zlewa, nie potrafię czasami ułożyć wydarzeń w jedną całość. Zawsze byłam poszukiwaczem sensu, a niekoniecznie chronologii, choć przecież jedno z drugim współgra. Natomiast w tym wypadku datę tę zapamiętam. Nie tylko, bo łatwo, bo to wspomnienie

świętego Walentego, nie tylko dlatego, że napisałam pierwszy tekst, ale także dlatego, że tego dnia od pisania próbowało mnie powstrzymać pewne wydarzenie.

To był dzień, kiedy na szybko jechałam do okulisty, gdyż jakiś czas po zapaleniu spojówek doszło do uszkodzenia u mnie rogówki w prawym oku. Powstało jakby nacięcie na zewnętrznej warstwie gałki ocznej, centralnie na środku, które nie dość, że bolało to sprawiało, że widziałam mgłę. Późniejsze źle stawiane diagnozy, zwalające winę na soczewki i bakterie, zły ciąg leczenia spowodował, że zanim ktokolwiek dobrze zdiagnozował wirusowe zapalenie, minęło tyle czasu, że na rogówce pozostaną blizny i zmiany, a cała jest niezwykle wrażliwa na kolejne nawroty zakażeń. Pisząc to jestem w momencie, kiedy kończę dwuletnie łykanie leków antywirusowych i mogę stwierdzić, że w 85% odzyskałam wzrok w prawym oku, jednak stan rogówki to bardzo dynamiczny i podatny na zmiany obszar, więc pewnie jeszcze niejedno przede mną.

W każdym razie powala mnie umiejscowienie w czasie wybuchu tej choroby oka zbiegającej się z rozpoczęciem pisania. Jednak zawziętość sprawiła, że po powrocie od okulisty napisałam, co miałam do napisania, a co w dużej mierze narodziło się we mnie w poczekalni, podczas czytania Ewangelii. I tak jest nadal. Nadal piszę. Do publikowania odcinków zachęcił mnie, po przeczytaniu kilku pierwszych mój kierownik duchowy. - Publikować, nie promować. To ma trafiać od serca do serca- powiedział. I tego się trzymam.

Mój mąż niezwykle entuzjastycznie podszedł do założenia mi strony, której nazwa to także nie przypadek, ale łaska. Łaska otrzymanego imienia. W tamtym czasie zastanawiałam się, jakie jest to moje prawdziwe imię utożsamiane przeze mnie z istotą człowieka, z powołaniem. Imię, co widać w historiach biblijnych niesie niesamowite znaczenie, a w Apokalipsie znajdujemy potwierdzenie, że każdy z nas otrzyma na białym kamieniu swoje imię- istotę, rdzeń powołania (zob. Ap 2, 17).

Koncepcji było wiele i miałam mętlik w głowie, dlatego że na tamtym etapie chciałam bardzo w to wierzyć, że potrafię rozróżnić natchnienia pochodzące od Boga od własnego strumienia świadomości. To trudna sztuka, wymagająca skupienia, zanurzenia się w sercu Boga. Łatwo tutaj poruszać się w obszarze *pia desideria*, czyli naszych pobożnych życzeń wkładanych w usta Boga. Tak bardzo mogę chcieć, żeby coś się wydarzyło, że Wolę Ojca chcę nagiąć do swojej woli, a powinno być dokładnie odwrotnie.

Jednak z imieniem w roli głównej przeżyłam niesamowite wydarzenie. Leżąc któregoś wieczora i nadal zastanawiając się i pytając, jak mam na imię (mam nadzieję Drogi Czytelniku, że

nie zaczęłaś lektury w tym miejscu, bo to nie historia o leczeniu amnezji), nagle napłynęło do mojej głowy wspomnienie. Dotyczyło ono historii, którą opowiedziała mi moja mama, jak ona z tatą wybierali dla mnie imię. Okazało się, że imię miałam wybrane przez moich rodziców jeszcze przed urodzeniem i brzmiało Sara. Wtedy wydarzyła się rzecz dziwna, bo moja prababcia, która, jak wynika z opisów rodzinnych nigdy nikomu do życia się nie wtrącała, a jej ulubionym powiedzeniem było „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”, żywo zaprotestowała, że nie mogę tak mieć na imię, podając jakieś dziwne powody. Natomiast moi rodzice chyba tak się przejęli tym niespodziewanym wtrąceniem się prababci, że szybko zmienili koncepcję imienia, na Joanna. Być może pierwsze, jakie się im nasunęło i spodobało.

I tak leżąc trzydzieści lat później przypominając sobie tę historię, mój umysł przeszło zdanie: „Ty jesteś Joanna. Łaska Boga.” To było tak mocne doznanie i ten dziwny dopełniacz: Łaska Boga- należąca do Niego, pochodząca od Niego, po prostu Jego. Wiedziałam wcześniej, że moje imię znaczy coś w stylu Bóg jest łaskawy, ale czy możliwe jest takie tłumaczenie? Okazało się, że tak. W końcu dla Boga nie ma nic niemożliwego (zob. Łk 1, 37). Przyswoiłam to jako swoje, przypadkowo- nieprzypadkowo nadane imię zgodne z zamysłem Ojca. Nie szukałam już dalej. Dlatego kiedy mąż zapytał mnie, jaki ma być adres strony i nazwa bloga już wiedziałam: Łaska Boga. Do tego okazało się, że internetowo to laskaBoga.pl. Z jednej strony nawiązanie do laski pasterza, z drugiej strony ja po prostu jestem tą laską. Moja serdeczna koleżanka superewangelizatorka, żegnając się ze mną po spotkaniu mówi mi czasem: trzymaj się, pamiętaj, że jesteś laską Boga. I to prawda.

Łaska Boga. Bo ona jest wszystkim. Bo to także moje imię. To widnieje na mojej stronie, ale najpierw zakorzeniło się w moim sercu i umyśle, a przede wszystkim w duszy. Wiem kim jestem. Wiem, że jestem Jego ukochanym dzieckiem, któremu wymyślił imię i wymyślił mnie całą. Wiem, że powołuje mnie do tego, żeby żyć Jego Łaską, brać jak najwięcej, w zamian ofiarowując siebie. Wszystko w wolności i kochając coraz bardziej.

To odkrycie powodowało, że przyjąłam dar w postaci mojej tożsamości dziecka Boga. W postaci naszej genetycznej więzi. W postaci talentu, w jaki mnie Ojciec wyposażył. Wiem, że jeszcze wiele ma mi do dania. Czy wierzę w to cały czas, czy mam tę niewzruszona pewność? Nie do końca. Wątpię, zapominam, gubię się. Potrzebuję, żeby On mi przypomniał kim jestem dla Niego. W tamtym czasie bardzo chciałam i chcę nadal słyszeć Jego głos, mieć z Nim bliską relację. Jestem pewna, że On to wie, ale wie więcej ode mnie. Zna mnie, zna moją przyszłość i zna potrzeby. Te prawdziwe i to na wylot.

„Moje owce słuchają mego głosu...”

J 10, 27

Codziennie, najczęściej rano zasiadam z czytaniem na dany dzień. To takie minimum, żeby być w łączności z Ojcem. Poprzez Jego Słowo. Pismo Święte jest tak ogólnodostępne, że często zapominamy, że jest ono objawieniem samego Boga. W Nim Bóg pokazuje nam Siebie i Swoją Wolę. Kiedyś dowiedziałam się, że istnieją dwa wymiary i dwa greckie określenia na słowo: jedno to *logos*, a drugie *rhema*. Zarówno to pierwsze, czyli *logos*, spisane Słowo Boga zawarte w Starym i Nowym Testamencie prowadzi nas do Niego, jak i to drugie, czyli *rhema*. To wymiar indywidualny i można powiedzieć intymny Słowa. To Słowo, które Bóg kieruje do ciebie podczas modlitwy, czy podczas lektury Pisma, podczas Eucharystii czy w rozmowie z drugim człowiekiem. To takie prywatne objawienie Słowa Bożego w twoim życiu.

- No i fajnie- jakby to powiedziała moja przyjaciółka. W sensie co z tego? Co to oznacza i czy Bóg w ogóle do mnie mówi indywidualnie? Czy dał nam Pismo i koniec? Uważam, że nie koniec. Bóg jest nieskończony, jak Jego miłość. Słowo kierowane do nas indywidualnie przemawia wprost do naszego serca, a co najważniejsze buduje, umacnia, nigdy nie oskarża, nie niszczy. Często daje odpowiedź, taki „puzelek”, którego nam brakowało. Co najważniejsze ZAWSZE jest zgodne z tym co zawarte w Piśmie Świętym. I to jest bardzo prosty test. Czasami nasunie nam się jakiś cytat, czasami po prostu sigła, czyli oznaczenia danego wersu z Pisma, ale czasem może to być komunikat nie wprost odnoszący się do Pisma. Jednak w Piśmie tę wiarygodność możemy potwierdzić.

W związku z tym nie pozostaje mi nic innego, jak to Pismo studiować, na tyle ile mogę, wspierając się oczywiście interpretacją mądrzejszych ode mnie, kapłanów i świeckich, którzy poświęcają życie na budowanie relacji z Bogiem. Natomiast słuchanie ich, nie zastąpi mi bezpośredniego przebywania z *logos*, po to żeby móc przyjąć i zrozumieć skierowane do mnie *rhema*.

Niestety Ojciec w Swej subtelności prawdopodobnie nie postawi na mojej drodze świecącego Anioła, słupa ognia lub gorejącego krzaku. Po pierwsze już to zrobił w historii świata, a On nie działa schematycznie, po drugie okazanie Jego wszechmocy może zbudowałoby moją wiedzę i dało niezbite dowody na Jego istnienie, ale nie miałyby nic wspólnego z wiarą, a przede wszystkim wolnością i miłością. Nie chodzi o to, żeby bać się i być zniewolonym mocą Boga i dzięki temu mieć pewność, że On istnieje, że to czy tamto jest od Niego. Chodzi raczej o to, żeby

mimo braku namacalnych znaków, wybrać Jego, skierować się do Jego miłości i z miłości do siebie, innych, do Niego postępować zgodnie z określonymi w Słowie Bożym zasadami.

Jak już rozpoczęła się moja przygoda z pisaniem bloga, siedzeniem ze Słowem, pierwszy raz skorzystałam z modlitwy wstawienniczej, kiedy to moja serdeczna koleżanka wraz ze swoim modlitewnym partnerem modlili się nade mną o wszelkie potrzebne łaski. Podczas tej modlitwy po pierwsze doświadczyłam namacalnie, czym jest *rhema* i jak współpracuje z *logos*. Oprócz przekazania mi wielu obrazów, odczuć, o których wstawiennicy tak po ludzku nie mogli wiedzieć, to co wybrzmiało najbardziej to znany, ale dla mnie na tamten moment zupełnie nowy i świeży fragment z Pisma: „Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał - aby wszystko dał wam Ojciec, o cokolwiek Go poprosicie w imię moje” (zob. J 15, 16).

Oboje wstawienników było przekonanych, że Ojciec chce mi powiedzieć jak bardzo mnie kocha, i że to On mnie znalazł i wybrał. Do konkretnej rzeczy, do bycia uczniem, do bycia Mu wierną. W końcu do tego, aby moje działania przynosiły owoce. To był ten „puzelek”, który odpowiadał mi na pytanie, czy w ogóle ma sens to, że piszę o Nim, że mówię o Nim. Przecież to nie dotrze do większej liczby osób, skoro tego mam nie promować. Poza tym może to po prostu nie jest wystarczająco dobre albo nie takie, jakby On sobie tego życzył. Może wcale nie przyniesie pożytku.

Zaczęła się moja długa droga uwalniania swojego myślenia, swojego serca od widzenia rezultatu. Od uwalniania się od liczb, efektów, ludzkich przeliczników sukcesu. Jeśli spotykam się z pytaniem ilu mój blog ma czytelników, ile tego, ile tamtego, nauczyłam się odpowiadać, że po ludzku niewielu, ale to nie ma znaczenia. Bo to są ludzie, którzy mieli trafić w to miejsce. Nawet jeśli jedną osobę moja pisanina skierowałaby do Jezusa, to uważam, że warto dla tej jednej osoby napisać nawet książkę...

W tych pisarskich i modlitewnych wątpliwościach staram się słuchać. Skierować uwagę do wnętrza, do serca, bo jak kiedyś stojąc przed lustrem wyraziłam swoją wątpliwość, czy rozmawiam z Ojcem, stwierdzając: Boże, ja przecież gadam ze swoim wnętrzem! Usłyszałam odpowiedź, czyli takie moje *rhema* zgodne z *logos*: Tak, gadasz ze swoim wnętrzem, ale Ja tam Jestem... I tego chce się trzymać.

„Ja jestem drogą i prawdą, i życiem”

J 14, 6

Po moich wstawienniczych przygodach, odkrywaniu tego jak Ojciec mówi do mnie i tego, że znając moje ograniczenia, moje niedowiarstwo może posługiwać się innymi ludźmi, a nawet wiedząc w Swojej dobroci, że nie znam tak dobrze Pisma może po prostu pokazać mi sigła do przeanalizowania, nadszedł czas, kiedy z entuzjazmem zaczęłam poszukiwać wspólnoty. Idąc za dobrymi radami dłużej ode mnie wierzących, że wspólnotę trzeba mieć, żeby wzrastać w wierze, w końcu zaczęłam się w jednej zadomawiać.

Zanim to nastąpiło, odwiedziłam kilka wspólnot, zupełnie różnych i okazało się, że wszystkie miały jeden wspólny mianownik. Był w nich wyraźny podział na zaangażowanych członków, przypadkowych gości oraz niezaangażowanych członków. Pół biedy, jeżeli trzy czwarte to zaangażowani członkowie, najgorzej, jeśli trzy czwarte to niezaangażowani członkowie, bo wtedy goście członkami się nie staną. Uważam się za człowieka czynu, podobnie jak mój mąż, więc jak już zaczęłam regularnie chodzić na spotkanie jednej ze wspólnot, to razem szybko podjęliśmy się zadań do wykonania, roboty i innego ogarniania. Szybko również stwierdziłam, że sporo osób nie podziela tego nastawienia na służenie innym. Wolą korzystać z dobrodziejstw i wspólnie wypracowanej puli po to, żeby wzrastać w wierze, wzbogacać swoją wiedzę, potrafić dyskutować, a śmiem podejrzewać, że także budować swój wizerunek człowieka wspólnotowego, czyli namaszczonego przez Boga.

Dlatego moje wyobrażenie wspólnoty szybko zostało sprowadzone do parteru. Żyłam jakiś czas w poczuciu, że muszę mieć wspólnotę, ale z tego poczucia oprócz doświadczeń wyprowadził mnie ostatecznie mój kierownik duchowy, który po wysłuchaniu moich wątpliwości zapytał: - A po co ci wspólnota? Masz mnie. Masz parafię, masz ludzi dookoła bliskich i dalszych, którzy cię mogą wesprzeć w wierze albo powiedzieć, jak zaczniesz odlatywać. Nie każdy ma ścieżkę we wspólnocie - mniej więcej w ten sposób kontynuował. Kojarzy mi się to z pewnym obrazkiem, który widziałam niedawno w internecie, a przedstawiał główkę czosnku, w której na miejscu jednego z ząbków tkwiła cząstka mandarynki. Podpis głosił: nie każde miejsce, do którego pasujesz jest miejscem, do którego należysz.

Wiem, że w tym momencie część wspólnotowych ludzi może się oburzyć, ale taka jest prawda. Każdy jest inny, potrzebuje czegoś innego. Każdy tworzy wspólnoty w domu, w parafii, w relacjach z bliskimi i niekoniecznie potrzebuje sformalizowanego zrzeszenia chrześcijan ukierunkowanych na dany charyzmat. To nie znaczy, że zaniedbuję rekolekcje, to nie znaczy, że nie

mogę wybrać się na modlitwę uwielbienia. Ojciec prowadzi mnie, prowadzi każdego najlepszą dla niego drogą. Moja jest może bardziej indywidualna i potrzebuję, zwłaszcza ostatnio więcej spokoju, ale przecież w końcu każdy trafi w jasno określone miejsce. Jedyne miejsce. Wspólne miejsce. I jakiej formy życia chrześcijańskiego by nie przyjął, to i tak nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przez Jezusa. To on jest drogą, prawdą i życiem (zob. J 14, 6).

Żyję na ten moment bez formalnej wspólnoty, ale za to w kilku mniejszych. Wszystkie są kochające. Wszystkie ubogacają, a chyba o to chodzi. Kiedyś przeżyłam przygodę życia będąc na „zwykłej” mszy, w swojej „zwykłej” parafii, często nawet przez nas nie traktowanej w kategoriach wspólnoty, a instytucji. To było niedługo po pamiętnej opisanym wcześniej pielgrzymce, więc na starcie mojej przygody ze Słowem. Tamtej niedzieli z jakichś przyczyn miałam nie iść do Komunii Świętej.

Nie pamiętam, czy to przez mój ciężki grzech, aczkolwiek wydaje mi się, że w tamtym czasie gnębiła mnie niepewność, co grzechem ciężkim jest, a co tym powszednim i w poczuciu, że popełniam jakieś przewinienie, czując się niegodna, nie chciałam przyjąć Jezusa. I tak podczas gdy wszyscy inni Go przyjmowali, ja klęczałam na posadzce z tyłu kościoła i modliłam się: Jezu tak bym chciała do Ciebie przyjść i się przytulić, a nie mogę... Czułam tęsknotę i byłam głodna Jego.

Wtedy oczami wyobraźni, wewnętrznym poznaniem, czy szóstym zmysłem jak kto woli, na stopniu przed ołtarzem ujrzałam Jego- Jezusa, trochę jak z obrazu Jezusa Miłosiernego, tylko był taki pogodniejszy, radośniejszy, energiczny. Otworzył ramiona i zaprosił mnie. Pobiegłam, a On przytulił mnie najczulszym z uścisków. Łzy popłynęły mi z oczu (tym razem nie wewnątrz, a zewnątrz) i poczułam się chciana, kochana, otoczona miłością, słowem byłam w Komunii nie przyjmując do ust Hostii.

Oczywiście duchowa Komunia jest bardzo ważna, ale ta doustna nie może zostać pominięta. Zachęcam jednak, żeby łączyć je obie w całość i nie rezygnować z żadnej, żeby doświadczyć pełnego zjednoczenia. To doświadczenie pokazało mi także, jaka moc jest w świątyni, w Kościele, w modlitwie często obcych osób, we wspólnocie, do której często nie czujemy przywiązania. W końcu *communio* to po łacinie wspólnota. Wspólnota z Bogiem, ale też dzięki byciu z innymi i dla innych. Byciu z nimi jakąkolwiek ścieżką nie idą, bo ważne, żebyśmy spotkali się na końcu czasów w jednym miejscu, którym jest Serce Ojca, którym jest Niebo.

„I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała.”

Ez 36, 26

Mój entuzjazm neofity nie słabł. Miewałam i miewam nadal gorsze czy lepsze dni, ale ogólnie w czasie między Franiem, pielgrzymką, spowiedzią generalną, pisaniem, uszkodzeniem oka, modlitwą wstawienniczą i zafascynowaniem wspólnotami, wciąż brnęłam wytrwale do przodu starając się jak najlepiej współpracować z łaską, będąc czujną na natchnienia, na Słowo. Byłam przekonana o otoczeniu mnie szczególną opieką z racji na wystawienie się na świecznik z moim świadectwem wiary.

Na świeczniku bywa różnie. Świecznik nie musi być od razu latarnią morską. Może być skromnym blogiem, wrzuceniem wpisu na „fejsbuka”, rozmową o wierze, zabranieniem głosu w gronie znajomych. Jednak nadal pozostaje świecznikiem. Jak w Ewangelii o świetle i garnku, gdzie bez sensu byłoby zapalić światło, po to, żeby je schować. Światło jest po to, żeby służyło innym (zob. Łk 11, 33-36 oraz Mk 4, 21-23 i Mt 5, 15-16). Zatem chcąc iść szczerze za Jezusem musimy odpowiedzieć sobie na ważne pytanie: czy mnie na to stać? Czy stać mnie na to, żeby podzielić się wiarą, podzielić się tym otrzymanym światłem? Czy stać mnie na to, żeby zaufać? Czasami codziennie od nowa, ale wciąż powtarzać moje *fiat*. Czasami będzie ono radosne, jak *fiat* Maryi podczas zwiastowania, ale czasami będzie przez łzy, pot i krew, jak to powiedziane przez Jezusa w Ogrodzie Oliwnym.

W tamtym czasie żyłam w przekonaniu, że do życia wystarczy mi tylko Trójca Święta i moje ręce oraz umysł gotowy do pracy. Posyłaj mnie gdzie chcesz! Dam radę! Z perspektywy czasu widzę, że mimo szczerzej chęci polegania na Nim, odzywał się we mnie ludzki nawyk kontrolowania wszystkiego, także tego, co jest poza kontrolą. Jednak cały czas miałam poczucie, że mnie wyratuje z każdej opresji i nic nie może mi się stać. Takie dziecięce postrzeganie Boga, ale też bardzo uproszczone i naiwne, bo często w myśleniu ograniczające mnie do ciała i świata.

Przed nawróceniem wierzyłam w naukę i postęp naukowy, w medycynę, w oświeconych, jak mi się zdawało ludzi. Rozpoczęcie życia z Bogiem było jak wejście do roller-coastera. Nie wiesz jak cię powiezie, nie wiesz kiedy przyspieszy, kiedy zwolni, czujesz niepokój przed nieznanym, ale ufasz, że dowiezie cię na metę, a wszystko będzie dobrą zabawą.

Bardzo chciałam ufać Ojcu, bardzo walczyłam o to, żeby znaleźć dowód, że On jest. Dla mnie to było ważne. Zrozumie to ten, kto został wychowany w środowisku, gdzie wiara nie gości,

gdzie o Bogu się nie rozmawia, gdzie wydaje się On jedynie ludzką ideą dla najbardziej pogubionych i lękających się śmierci. Ta koncepcja głęboko zakorzeniona we mnie sprawiała, że moje serce z kamienia, czyli serce nieczułe na Jego głos i niedopuszczające Jego istnienia musiało zostać skruszone. Pod tą warstwą skał okazało się, że jest serce, które jest zdolne do oddania Bogu, na dobre i na złe. Myślę, że ta przemiana serca to długotrwały proces. Kawałki skał często dają się we znaki, a nowe serce musi nauczyć się współpracy z resztą organizmu.

Zanim jednak dojrzałam do takich wniosków, zaczęłam odbierać Boga jako wielkiego, wszechmocnego i czuwającego nade mną. Czuwać to znaczyło dla mnie, że zadba nie tylko o duszę, ale także ciało i umysł. Najlepiej jednak, żeby nasze plany się pokrywały w tym zakresie. Wydawało mi się, że chcemy tego samego. Jak bardzo się myliłam, miałam przekonać się boleśnie niebawem.

„Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według twego słowa!”

Lk 1, 38

Jak wspominałam wcześniej, jedną z moich charakterystycznych cech jest konsekwencja i zaangażowanie. Mówią, że jak ktoś raz pozna prawdę, spotka żywego Boga to już nie jest w stanie wrócić do momentu przed nawróceniem. Może próbować się bronić, odrzucać tę prawdę, ale w jego sercu zostanie ona na zawsze.

Ja się nie broniłam, tylko konsekwentnie zmieniałam swoje życie, żeby było zgodne z zamysłem Ojca, na to jak powinien żyć człowiek, Jego dziecko. Przemianę przechodziła i przechodzi nadal cała nasza rodzina. Natomiast, czy to przed nawróceniem, czy to po, zgadzaliśmy się z mężem co do tego, że chcemy mieć więcej dzieci. Przynajmniej trójkę. Takie było nasze pragnienie. I choć nasz trzeci Franio dostał już odznakę świętego, a skądinąd mam pewność, że jego rola w Królestwie jest nieoceniona, to jednak myśleliśmy o bilansie raczej ziemskiego potomstwa.

Dlatego na styku maja i czerwca 2018 (ach, znowu te daty!) okazało się, że jestem w kolejnej, czwartej ciąży. Oczywiście mimo obaw i przykrych doświadczeń, mieliśmy dwójkę synów, najstarszego Filipa, który urodził się w terminie, naturalnie i mimo kilku przygód poporodowych, było wszystko w porządku oraz młodszego Tadeusza, choć urodzonego miesiąc wcześniej, to również zdrowego i dobrze rozwijającego się, więc podchodząc racjonalnie, założyliśmy, że będzie ciężko w ciąży, ale damy radę. W końcu Ojciec się o nas troszczy!

Pamiętam, że modląc się przed wizytą u swojej lekarki, na której miała potwierdzić ciążę w USG, usłyszałam, że to będą bliźniaki.

Uśmiechnęłam się na tę myśl, nie byłam pewna, czy to moja wyobraźnia czy Anioł Stróż. U nas, przynajmniej w tej stosunkowo bliskiej rodzinie nie było przypadków ciąży bliźniaczych, więc to było mało prawdopodobne. Na USG okazało się, że ciąża faktycznie jest bliźniacza. Nieprawdopodobny scenariusz właśnie się wydarzał, okraszony dość niestandardową reakcją naszej lekarki. Podczas wykonywania badania prawie krzyknęła: - No niemożliwe!- wtedy już wiedziałam, że jednak głos na modlitwie pewnie mówił prawdę. Tylko dlaczego dziwi to doświadczonego lekarza?

Nasza lekarka powiedziała nam taką historię:- Wczoraj wpisywałam pacjentki na cały tydzień do terminarza. Około stu kobiet, a przy pani zatrzymała mnie myśl, że jest pani w bliźniaczej ciąży. Jak Państwo weszli do gabinetu miałam ochotę powiedzieć to w progu, ale w porę się pohamowałam, bo stwierdziłam, że to nie byłoby profesjonalne zachowanie - wyjaśniła. - Pani doktor, ja słyszałam to samo na modlitwie. Spokojnie, to w takim razie tylko Duch Święty-podsumowałam. Lekarka uśmiechnęła się nadal z lekkim niedowierzaniem.

I taki był początek znaków, które utwierdzały mnie w przekonaniu, że Ojciec czuwa i nic złego nie może nam się przydarzyć. W międzyczasie w podobnych okolicznościach, bo także podczas modlitwy dowiedziałam się, że to będą dwie dziewczynki. Tym razem to moja przyjaciółka usłyszała, że Bóg zaopiekuje się mną i dziewczynkami właśnie. Kolejne USG potwierdziły tę informację o płci. Ponadto z niezwykłą wdzięcznością podchodziłam do tej ciąży, czułam się wyróżniona, zaopiekowana.

Mało tego, podczas którejś mojej wieczornej modlitwy, przed oczami stanęła mi scena sprzed ponad roku, mająca miejsce w szpitalu przed zabiegiem łyżeczkowania po stracie Frania. Takie przypomnienie mojej absurdałnej po ludzku w tamtym momencie „pompejanki”. Pojawiły się w mojej głowie słowa: -Byłaś wierna. Dotrzymałaś obietnicy, dlatego wynagradzam cię podwójnie. Bardzo się ucieszyłam i bardzo chciałam trzymać się tych słów, jak obietnicy, że wszystko zakończy się pomyślnie. Może to „nie to dziecko” usłyszane ponad rok wcześniej dotyczyło właśnie tej chwili? Może to te dzieci?

Zaczęłam z wielkim entuzjazmem dawać świadectwo o dobroci i hojności Boga, gdzie tylko mogłam. Mówiłam o tym jak wspaniale byłoby urodzić w Święto Trzech Króli, tak sobie to zaplanowałam. Tego się kurczowo trzymałam, wmawiając sobie i Bogu, że to Jego Wola. Chciałam

być pewna pomyślnego finału ciąży i o tym głośno mówiłam. Wiem, że bardzo chciałam wierzyć w po ludzku najlepsze możliwe rozwiązanie.

Mówiłam Ojcu TAK czując i myśląc: tak, ale ja Ci powiem jak. To nie było *fiat* Maryi. Brakowało tu pełnego zaufania, nie kombinowania, a przede wszystkim spokoju serca. To nie ten poziom. Wciąż odzywały się we mnie lęki, poprzednie doświadczenia z Franiem, ale także moim młodszym Tadeuszem, gdzie część ciąży przeleżałam plackiem, także w szpitalu. Wiedziałam, że to się musi powtórzyć i już planowałam, jak przez to przejść z Bożą pomocą. Teraz widzę, że moje nastawienie nie miało nic wspólnego z uwierzeniem Bogu, a jedynie z wiarą w to, że będzie dobrze. Tak po ludzku.

Można powiedzieć, co w tym złego, to przecież trzymanie się nadziei, życie nadzieją na dobrą przyszłość. Pewnie nie ma w tym nic złego, bo gdybyśmy załamywali ręce przed każdym wyzwaniem czy trudnością, życie stałoby się nie do zniesienia. Tylko teraz wiem, że Bóg nie chce, żebyśmy pokładali ufność w przyszłości, ani w przeszłości, ale osadzili się tu i teraz, przyłgnęli do Niego będąc gotowymi przyjąć wszystko co nas spotka, dosłownie wszystko. Nie rozumiejąc, a jedynie ufając, że On wie jaki jest sens naszego życia. Widzi więcej, widzi całość. Bo *fiat* oznacza właśnie całkowite oddanie. Heroiczne oddanie swojego życia w Jego ręce.

Czy Maryi było łatwo w dziewiątym miesiącu ciąży wsiąść na osła? Czy chciała rodzić w jakiejś zapaskudzonej jaskini? Czy chciała się tulać i uciekać? Myślę, że w jej macierzyńskich planach byśmy tego nie znaleźli. Natomiast w tych sytuacjach widzę Ją, jako spokojną i ufającą, mimo niewygód, instynktownych lęków, bo w końcu była człowiekiem. Ona nie podprowadzała Boga pod rozwiązania, bo rozwiązania pojawiały się na jej drodze i one podprowadzały ją do Woli Boga. Widzę teraz, jak daleko wtedy była moja postawa od postawy Maryi.

„A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata.”

Mt 28, 20

W czwartym miesiącu ciąży, czyli pod koniec sierpnia niestety moja szyjka po raz kolejny zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Spędziłam tydzień w szpitalu pod kroplówkami i zaopatrzona w tonę hormonów, silikonowy pessar podtrzymujący szyjkę przy wstawaniu, zaczęłam moją krucjatę człowieka leżącego. W perspektywie miałam, jak wtedy policzyłam jakieś dwadzieścia tygodni leżenia średnio przez 23,5 godzin na dobę odliczając kilka spacerów do toalety i parę minut na

umycie się. Radykalne leżenie, które wykańcza ciało i psychikę, a które wcale nie gwarantowało, że ciążę donoszę.

Jednak musiałam się czegoś uchwycić. Nie tylko nadziei, ale także zaleceń lekarzy. Musiałam coś robić, nawet nic nie robiąc. Oczywiście leżąc mogłam pracować przy komputerze, pisać, modlić się. Co najważniejsze te tygodnie leżenia pokazały mi jeszcze jedną rzecz: cierpienie, poświęcenie można ofiarować dla nawrócenia i dla dobra innych. Podpowiedziała mi to koleżanka, a nauczyła mnie tego święta Faustyna.

Z Faustynką zaczęłam zaprzyjaźniać się leżąc właśnie. Te tygodnie były wspaniałą okazją na czytanie „Dzienniczka”. Tego nie da się połknąć naraz. To wymaga skupienia, przemyślenia i dawkowania. I takie szczepienie wprowadzałam codziennie do swojego obolałego organizmu. Faustyna nauczyła mnie koronki do miłosierdzia Bożego, nauczyła mnie składać w ofierze na modlitwie swoje cierpienia, nie widząc rezultatów, a jedynie wierząc, że Bóg w swej dobroci i mądrości przerobi je na owoce.

Myślę, że to przebywanie z Faustyną było kamieniem milowym w uwalnianiu mojego serca od widzenia rezultatów. Natomiast na ostateczne uwolnienie musiałam jeszcze poczekać. W końcu jej Dzienniczek za jej życia widziała tylko ona i jej spowiednik ksiądz Michał Sopoćko. To on zachęcił ją i motywował do notowania. Wydawałoby się na tamten moment, że było to jedynie dla niej, dla usystematyzowania pewnych kwestii dziejących się w jej duszy. Nie spodziewali się, że to dzieło w przyszłości będzie najczęściej tłumaczoną i drukowaną polską książką na całym świecie. Z punktu widzenia owoców ludzkiej pracy, rezultatów, to jej pisanie nie miało sensu. Przez swoje wizje, swoje świadectwo narażała się na krytykę otoczenia, wyśmianie, złośliwości. Nie mówiąc o narażeniu na ataki złego, który przeczuwał, że dzieło jej życia będzie tak wielkie, że go pokona. Dlatego uprzykrzał jej życie cierpieniem, chorobą.

Pewnie widząc tyle cech wspólnych w mojej i jej sytuacji, mimo prowadzenia innego trybu życia, mimo jej wielkości i świętości, tak pokochałam Faustynę. Jakiś czas temu pożyczyłam „Dzienniczek” mojej przyjaciółce, która od dłuższego czasu zastanawiała się nad kwestią znalezienia stałego kierownika duchowego, ale jakoś nie może na takiego trafić. Czytając „Dzienniczek” odkryła, że Faustyna mówi do niej na modlitwie, że myśli zawarte w „Dzienniczku” sprawiają, że pojawia się w jej sercu dialog właśnie z tą świętą. Odkryła, że Faustyna stała się dla niej kierownikiem, a na pewno wyrazistym drogowskazem.

Myślę sobie, jaka potęga jest w świętych, tych czuwających z nieba. Długo dochodziłam to tej myśli, ale okazuje się, że w chwilach trudnych, to ich przykład pokazuje, że się da, że Jezus to Emmanuel, czyli Bóg, który jest zawsze z nami, w cierpieniu i w radości. Jest w nas, ale też ciągle posyła nam świętych i aniołów.

„Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem.”

Wj 23, 20

Zanim jeszcze położyłam się ze względu na dobro moich nienarodzonych córek, dowiadując się, że jestem w ciąży musiałam przerwać na jakiś czas leczenie mojej rogówki, która chwilę przed ciążą została dobrze zdiagnozowana. Mogłam stosować jedynie zewnętrzne krople do oczu, ale główne leczenie lekami antywirusowymi w niewielkich dawkach musiało poczekać do drugiego trymestru.

W tym czasie podjęłam się kolejnej nowenny pompejańskiej. Tym razem nie modliłam się w intencji nienarodzonych dzieci. Co ciekawe założyłam, że tą intencję już przerobiłam. I ponawianie jej byłoby próbą przymuszenia Boga do działania, a On wyraźnie mi pokazał, że widział tamtą modlitwę.

Zatem stwierdziłam, że skoro nie mogę przyjmować leków, a z okiem jest źle, to moją intencją będzie właśnie prośba o jego uzdrowienie. W trakcie modlitwy wydarzyło się kilka rzeczy. Po pierwsze stan mojego oka się pogorszył, choć wydawało się to niemożliwe. Przyszły dni, kiedy praktycznie nic nie wiedziałam, jedynie mgłę, która przeszkadzała niemiłosiernie. Po drugie, można powiedzieć przypadkiem, trafiłam do Tuchowa, gdzie jest Matka Boża uzdrawiająca oczy. Oczywiście skorzystałam z okazji, bo przebywałam w miejscowości obok, gdzie się dowiedziałam o istnieniu takowego sanktuarium. Wreszcie po trzecie w końcu przyszła ulga, krople zaczęły działać, a może i Matka Boska uzdrawiająca oczy? Tak na marginesie, myśląc o kroplach, nadal mam wyrzuty sumienia, że nie powinnam ich brać w ciąży. Nie brałam innych leków, ale wciąż wydaje mi się, że robiłam za mało dla moich dziewczynek, że mogłam im nieświadomie zaszkodzić. Tą myślą, często zły mnie oskarża.

Podsumowując moją „pompejanekę” za oko, nie zostało ono uzdrowione. A w pewnym momencie nawet jego stan się pogorszył. Ten kolejny pompejański niewypał, jak go żartobliwie

nazywam dał mi dobrą lekcję modlitwy. Mianowicie, to nie jest magiczne zaklęcie. Tak, wiem, że każdy ogarnięty chrześcijanin przyzna mi rację i może nawet stwierdzi, że to oczywiste, że modląc się nie traktuje modlitwy jako Boga samego w sobie, a jedynie jako drogę do Boga. Ja obserwując otoczenie, siebie samą i spotkania modlitewne, mam ochotę brutalnie krzyknąć g**** prawda.

Jak słucham niektórych modlitw albo swoich własnych, zwłaszcza tych zdesperowanych, to tam z reguły pojawiają się zaklęcia magiczne, bo przecież jak krzyknę: niech w imię Jezusa wróci zdrowie, to to się wydarzy, prawda? Trzeba tak z wiarą przywalić! Otóż nie, nie wydarzy się. Inaczej, może się wydarzyć, ale nie ja i nie moje zachowanie „pełne wiary” o tym decyduje. Decyduje Ojciec. Ja muszę się nauczyć wsłuchiwać w Jego Wolę, a nie w swoją.

Ruszając w moją drogę za Jezusem miałam pod tym względem ciut łatwiej. Nie miałam na starcie oczekiwań, intencji, próśb, grózb i wymagań. Chciałam i chcę Go poznawać. Przed nawróceniem nie doświadczałam, że coś od Niego dostaję, czy muszę o coś prosić, bo po prostu nie wierzyłam w to, więc i po nawróceniu nie zakładałam, że modlitwa jest w stanie Boga do czegokolwiek przymusić. On jej nie potrzebuje. To my jej potrzebujemy, żeby być z Nim w komunikacji. W tym wypadku moja niewiara wyrobiła we mnie postawę: bez oczekiwań, bez ciśnienia, za którą nieraz dziękowałam i dziękuję.

Potem na swojej drodze wzrastania w wierze, zaczęłam wzorem innych prosić o różne rzeczy nieśmiało pytając: czy chcesz, czy taka jest Twoja Wola? Teraz śmielej proszę o wiele, czasami wręcz wyklócam się, ale wiem, że forma wyrazu nie ma tu nic do rzeczy, a jedynie czyste serce i zgoda na to, że wydarzy się lub nie wydarzy. On może zrobić wszystko i ta wiara powinna mi wystarczyć, bo to oznacza, że jeżeli czegoś nie robi, to wie lepiej. Naprawdę nie trzeba zaliczać wszystkich modlitw o uzdrowienie, bo w końcu trafi się na taką skuteczną. Bóg nas widzi, widzi nasze pragnienia. Owszem, nieraz człowiek potrzebuje nauczyć się wytrwałości i to nieustanne kołatanie jest jemu potrzebne. Nie Bogu. On usłyszał za pierwszym razem, o co Go prosiliśmy.

Trudna może wydawać się droga wsłuchiwania się w Boga. Mamy jednak odwiecznego sprzymierzeńca, pomocnika, który zawsze jest przy nas. Należy do Boga, On go stworzył, ale służy nam. To nasz Anioł Stróż. Z moim pierwotnym Aniołem Stróżem (wyjaśnię to w dalszej części, bo tu zaszła pewna zmiana, a może nieporozumienie), zaczęłam nawiązywać bliższą relację będąc w ciąży z dziewczynkami właśnie.

Widziałam go oczami wyobraźni, poznałam jego imię. Zwracałam się do niego o pomoc w rozeznawaniu Woli Ojca. Bardzo chciałam go mieć blisko i do pomocy, żeby działał tu i teraz.

Zacząłam widzieć w wewnętrznym poznaniu Aniołów Stróżów niektórych osób, widzieć w jakiej są kondycji, czy człowiek dba o więź z nimi, czy raczej nie zwraca na nich uwagi. Co ciekawe w moich wyobrażeniach nie mają oni skrzydeł, jak często jest to przedstawiane w sztuce. Zauważyłam, podobnie jak Faustyna, że kapłani mają z reguły dwóch Stróżów, także w różnej „kondycji”. Mój był lekko przybrudzony i zakurzony, jak go zaczęłam dostrzegać. Na imię mu było Herkules lub Herakles jak kto woli. Nie, to nie żart. Reprezentował wtedy siły, których mi brakowało fizycznie i psychicznie. Siłę do walki.

Kiedyś, w którejś konferencji słyszałam od ojca Tomasz Nowaka OP, że imię Anioła Stróża musi występować w Piśmie Świętym. Jak o tym usłyszałam, to byłam pewna, że mój to jakaś podróba, bo przecież takiego imienia nie ma w Piśmie. Jednak za namową mojego siłacza, sprawdziłam. Otóż występuje, jako imię bożka w Drugiej Księdze Machabejskiej. Podejrzane. Do tej pory nie wiem, czy to nie moja wyobraźnia i usilne poszukiwanie uniesień, pocieszeń i tej Bożej opieki spowodowało, że taki obraz Anioła stworzył mój umysł.

Natomiast, jakkolwiek by nie był, jednego jestem pewna, bo znajduję to w Słowie, bo to Bóg obiecuje Mojżeszowi, który idzie dzielnie za Nim do Ziemi Obiecanej: „Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem. Szanuj go i bądź uważny na jego słowa. Nie sprzeciwiaj się mu w niczym, gdyż nie przebaczy waszych przewinień, bo imię moje jest w nim. Jeśli będziesz wiernie słuchał jego głosu i wykonywał to wszystko, co ci polecam, będę nieprzyjacielem twoich nieprzyjaciół i będę odnosił się wrogo do odnoszących się tak do ciebie” (zob. Wj 23, 20-22).

Anioł Stróż to strażnik naszych sumień, modli się, kiedy my nie dajemy rady. Modli się nieustannie, jest w łączności z Bogiem, a uświadomienie sobie jego obecności, nawet wtedy kiedy cierpisz, kiedy czujesz bezsilność, daje ukojenie. Czasem w ciężkich chwilach to uchwycenie się swojego pomocnika, opiekuna pozwala na poradzenie sobie z emocjami, ogarnięcie trudnej sytuacji.

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną.”

Ps 23, 4

Tak trwałam w moim leżeniu, pełna lęku i nadziei, kurczowo trzymająca się Jezusa, a raczej tego, że On rozwiąże wszystkie trudności, tak, żebym mogła ocenić to rozwiązanie jako dobre.

Niestety moje leżenie trwało połowę obliczonego czasu, a mianowicie dziesięć tygodni. W dwudziestym szóstym tygodniu ciąży, czyli końcem szóstego miesiąca, podczas badania kontrolnego okazało się, że Anielka, czyli córeczka usytuowana bardziej z prawej strony nie żyje i zsunęła się do dróg rodnych. Przedwczesny poród wstrzymywał pessar założony na szyjkę. Zosia w osobnym worku owodniowym miała się póki co dobrze.

Trafiłam szybko do szpitala. Nie jestem zdolna opisać co się tam odbywało, jakim torturom psychicznym i fizycznym zostałam poddana, jak padały oskarżenia w stosunku do mnie i mojej lekarki, które okazały się bezpodstawne. Potraktowano mnie, jakbym chciała uśmiercić moje dzieci, a ciąża była niewłaściwie prowadzona. Do tej pory, pisząc to jestem tak poruszona, że mam łzy w oczach.

Myślę sobie w tym kontekście o Drodze Krzyżowej, o bólu fizycznym, o wyśmianiu, o fałszywych oskarżeniach, które były rzucane w stronę Jezusa. Wiem, że pewnie moje doznania to pikuś w porównaniu z Jego, ale w końcu każdy dostaje tyle, ile jest w stanie udźwignąć, a ja w tamtym momencie już umierałam. W przenośni i dosłownie.

Po procedurach próbujących wydobyć nieżywą Anielką i odroczyć poród Zosi zakończonych fiaskiem, w końcu zasypiałam, na szybko znieczulana przed cesarskim cięciem i ostatnie słowa, jakie do mnie dotarły były takie, że Zosia raczej też nie przeżyje oraz kolejne z rzędu stwierdzenie, że będą starać się ratować mnie. To mówienie o ratowaniu mnie powtarzało się w ciągu tych chwil wielokrotnie. Z perspektywy czasu oceniam to, jako podkreślenie łaski lekarzy i przysługi jaką chcieli mi wyświadczyć. Jednak w tamtym momencie w d**** za przeproszeniem miałam to MNIE. Mnie w tamtej chwili nie było. Poza tym myślę sobie, że wolałabym umrzeć potraktowana, jak człowiek niż być uratowana jako kawałek mięsa. Nie przyszło mi do głowy, żeby tak odpowiedzieć wtedy lekarzom.

Zasypiając, w mojej głowie po raz milionowy tego tragicznego dnia, pojawiła się modlitwa: „Jezu, Ty się tym zajmij...”. Towarzyszyła mi ona podczas leżenia, ale w tamtym dniu, ja nią po prostu przesiąkałam. Cały czas wierzyłam, że On może dokonać cudu i obrócić, zatrzymać ten dramatyczny bieg zdarzeń.

Jednak Jego nie było. Nie czułam, że jest ze mną w szpitalu, nie widziałam kompletnie niczego, żadnego tunelu, światełka i innych rzeczy, choć podobno ratowano mi życie. Była ciemność i pustka. Nie było Go także po przebudzeniu. Zniknął sprzed moich oczu na kilka kolejnych miesięcy. Nie znaczy to, że ja z Niego zrezygnowałam, ale o tym później.

Anielka i Zosia urodziły się 24 października 2018. Anielka urodziła się nieżywa, jakkolwiek absurdalny oksymoron tworzy to wyrażenie. Zosia urodziła się z wagą 800 gramów. Śliczna, z ciemnymi włoskami, przypominała mi miniaturkę Tadeusza, swojego brata. Leżała na OIOM-ie, a lekarze i pielęgniarki dbali o jej życie. Nosiliśmy jej moje mleko, śpiewaliśmy kato-piosenki, modliliśmy się przy niej, czytaliśmy bajki. Przeżywaliśmy raz po raz lęki o jej zdrowie, bo było bardzo niestabilne. Cieszyliśmy się, jak było lepiej, płakaliśmy jak się pogarszało.

W końcu po dwóch tygodniach zaczęła samodzielnie oddychać. Bez respiratora. Naszą radość po kilku dniach przerwał jej widok z respiratorem, bo dostała sepsy grzybiczej. Zdarza się przy tak niskiej odporności u wcześniaka. Niestety sepsa wywołała małopłytkowość. Mimo przetaczania płytek krwi, nagle po prawie czterech tygodniach od jej urodzenia doszło to ogromnego wylewu, który praktycznie „zjadł” całą półkulę mózgu. Zosia zaczęła umierać. Nikt nie wiedział ile to potrwa. Byliśmy z nią cały dzień, kiedy się dowiedzieliśmy o jej stanie, trzymaliśmy ją na rękach. W nocy już w domu byliśmy cały czas pod telefonem. Rano pojechaliśmy do niej. Umarła przytulona przez nas, między piętnastą, a szesnastą, w czwartek, 22 listopada 2018.

Ta nasza rodzinna tragedia wbrew pozorom bardzo nas do siebie z mężem zbliżyła. Umocniła naszą więź i myślę, że u niego spowodowała rzucenie się, wypłynięcie na głębie. Bóg przez to tragiczne zdarzenie ostatecznie pociągnął mojego męża w ufność, w zawierzenie się Jemu nieważne, co się dzieje dookoła. Dał mu poczucie stabilizacji i nieniknący punkt odniesienia. Myślę, że oboje zrozumieliśmy dogłębnie to, że dzieci które posiadamy nie są nasze. Wszystkie mają Ojca w niebie. Jedyne, wiecznego.

Mnie wydawało się, że ufam Bogu, ale całość wydarzeń sprawiła, że tkwiłam w nieznanym miejscu, jakby próżni. Kapelan szpitala, który jechał z nami windą ochrzcić Zosię ujął to tak, że jesteśmy w oku cyklonu. Na czym to polegało? Dookoła wszystko wiruje, nie chce przestać, nie wiadomo co będzie. Tkwę w bezruchu, nie mogę przedrzeć się, ale to wszystko ucichnie, kiedyś musi się skończyć, osłabnąć...

„...i przebacz nam nasze winy, jak i my przebaczymy tym, którzy przeciw nam zawinili...”

Mt 6, 12

Pogrzeb Zosi był kolejnym w ciągu kilku tygodni, po pogrzebie Anielki. Podczas pierwszego była nas garstka. Podczas drugiego było wiele osób. Rodzina, znajomi, przyjaciele.

Często Ci, których spodziewaliśmy się zobaczyć, nie pojawili się, a ci którzy wydawało się, że nie przyjdą, że nie muszą tu być, byli z nami.

Jeśli czytają to te wszystkie osoby, chcę wam podziękować za obecność, bo pogrzeb maleńkiego dziecka to nie lada wyzwanie dla uczestnika. Chcę także wybaczyć tym, którzy być przy nas powinni, a zawalili, znajdując jakąś wymówkę. Wiem, że mogło wam być trudno przyjechać i zmierzyć się z naszą tragedią. Wiem, że do tej pory omijacie ten temat tak, jakby nasze dzieci nigdy nie istniały. Nie mam o to żalu, po prostu jest mi smutno i boli mnie myśl o ich nieistnieniu. Bo one były, ale i są. Wiem, że mają się najlepiej. Lepiej od każdego z nas.

Dziewczynki, jak się okazało zapragnęły zostać pochowane wraz ze swoim bratem, którego ciała, jak pisałam wcześniej, nie odzyskaliśmy. Przy okazji jednak różnych załatwień związanych z ich pogrzebami, mój mąż zapytał o Frania. On nie mając pojęcia, myśląc że pyta o rzecz absurdalną, wychodząc gnany wewnętrznym przekonaniem, że ma to zrobić zawrócił do sekretariatu Instytutu Patomorfologii. Okazało się, że ciało jest. Przechowują szczątki dwadzieścia lat w archiwum!

Formalnie wypożyczyliśmy materiał i zagubiliśmy, ale ciało Frania jest razem z prochami jego sióstr. Taki kolejny przypadek, który okazał się pożądanym. O całej sytuacji nawet popełniłam artykuł w jednym z magazynów parafialnych, bo okazuje się, że rodzice mogą szczątki swoich dzieci z poronień w szpitalach odzyskać. Przynajmniej tak jest w Krakowie.

Kiedy pogrzebowy pył opadł i musieliśmy zacząć wracać do „normalnego” życia, szybko zaczęłam spotykać się z pytaniem: czyja to była wina, kto zawinił, a nawet czy mamy jakieś roszczenia w stosunku do lekarzy. Otóż nie, nie mamy. Mam wiele pretensji, rozczarowania i zawiedzenia tym, jak nas potraktowano i codziennie od półtora roku muszę budząc się wybaczać tym ludziom od nowa. Taka syzyfowa praca serca i umysłu. Mnie się po prostu w głowie nie mieści, że w dużym mieście, cywilizowanym kraju, wykształceni ludzie z najwyższymi tytułami naukowymi, mogą potraktować człowieka w ciężkim stanie, który właśnie stracił dziecko, jak śmiecia, mordercę i idiotę.

Przyznaję szczerze, że nie potrafię się z tym pogodzić i jeżeli to moje ciułane, nieskuteczne wybaczenie nie wystarczy, to nie wejdę do Królestwa Niebieskiego, świętą nie zostanę właśnie przez to. Oczywiście pewnie jeszcze tryliard innych rzeczy stoi na przeszkodzie mojej duszy, ale tą przeszkodę identyfikuję od razu.

Mimo tego, już na oddziale poporodowym znalazł się utytułowany lekarz, który nie zagubił swojego człowieczeństwa i nawet poświęcił czas na przeanalizowanie mojej dokumentacji z prowadzenia ciąży oraz porozmawiał z mężem. Uspokoił nas, że nikt nic złego nie zrobił. Ciąża była prowadzona wzorowo, multum badań, które miałam pobierane, także niestandardowych nie wskazywało na jakiegokolwiek problemy. Podobnie zdjęcia USG.

Uświadomił mężowi, że to się po prostu zdarza. Dzieci umierają nagle w łonach matek, podobnie jak nagle mogą umrzeć dorośli. Jak Anielka umarła, to po prostu organizm chciał się mówiąc dosadnie pozbyć balastu i dlatego zaczął się poród. Powiedział także, że sekcja zwłok na pewno nie wykaże niczego nieprawidłowego, żadnej choroby, więc przyczyn tej nagłej śmierci nie poznamy nigdy. Nastawił nas na to i miał rację.

Najtrudniejsze jednak dla mnie było i jest wybaczenie sobie. Ten oskarżycielski głos podpowiadający, że coś było nie tak, a ja tego nie zauważyłam włącza się raz po raz. Choć teraz jest rzadszy, mniej intensywny, mniej dokuczliwy, to wraca. Pewnie będzie ze mną zawsze. Mam wiele pomysłów i koncepcji, które obwiniają mnie, lekarzy, sytuację, jednak od początku nie byłam w stanie obwinać Boga. Po prostu czułam i czuję, mam pewność, że to nie On zsyła nieszczęścia, choroby, przykre doświadczenia. Fakt, może zatrzymać tragedię, lawinę okropnych zdarzeń i to On decyduje, czy to zrobi, czy nie zrobi. Skoro nie robi, widać ma Swoje powody.

Raz siedząc wykończona pod ścianą korytarza na OIOM-ie (to taki moment, że nie masz siły stać), jak Zosi się pogarszało i wyprosili nas z sali, to z głębokości serca krzyknęłam, nie otwierając ust: Od***** się ode mnie! Daj mi spokój! I to była najbardziej szczerą, przenikającą modlitwą, jaka ze mnie wypłynęła do tamtej pory. Pamiętam też, że jak dowiedzieliśmy się, że Zosia umiera, to wysłałam wiadomość do mojego kierownika duchowego. Napisałam Mu, że wolałabym, żeby mnie ukrzyżowano, a żeby one żyły. W tamtym momencie stwierdziłam, że żadna tortura nie jest dla mnie tak straszna, jak cierpienie i śmierć dziecka. Tu mogłabym zidentyfikować pretensję, jaką miałam do Jezusa, Maryi, a mianowicie, że mimo wszystko byli w lepszej sytuacji niż moja.

W kontekście śmierci dzieci spotykam się z uwagami, żeby popatrzeć na Maryję, na jej cierpienie pod krzyżem. Tylko tak po ludzku, w tamtym momencie myślałam: „dobra, tylko, że to był dorosły facet, wiedział co Go czeka i sam się na to zdecydował”. Poza tym Maryja miała Go przy sobie przez ponad trzydzieści lat. Zosia nie decydowała się na cztery tygodnie męki w szpitalu i straszną śmierć. Nikt jej nie pytał o zgodę na takie coś. Mnie także.

Postawiłam się wtedy wyżej od Boga i jego cierpienia. Myśląc o tym, nie wstydę się tych swoich reakcji i egoistycznego rozumowania. Ono poprowadziło mnie dalej. Nie wiem, czy dalej w wybaczeniu, czy po prostu głębiej w rozumieniu Boga, w rozumieniu cierpienia, dalej w wierze. Zanim to jednak nastąpiło, nastąpiły dla mnie ciemne dni. Licząc od dnia śmierci Zosi nastąpiła trzymiesięczna pustynia, ciemna noc, która *nomen omen* miała zostać zakończona pewnej nocy.

„...nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata ...”

J 15, 19

Mimo naszej rozpacz, trzymaliśmy się jako rodzina razem. Nasi chłopcy szybko przeszli do porządku dziennego nad tym, że mają siostry w niebie i było to dla nich tak oczywiste, jak to, że rano wschodzi Słońce. Wiedzą, że się z nimi spotkają, wiedzą, że siostry i brat Franio czuwają nad nimi i pomagają, że są święci. Ja i mąż także trzymamy się tej nadziei i to ona powoduje, że nie popadliśmy w rozpacz.

Natomiast we mnie coś pękło. I nie chodziło o sam smutek, żal, poczucie winy czy cierpienie. Ja po prostu nie mogłam się skomunikować z Ojcem. Jakby przerwało nam połączenie. Jakbym pograżyła się w jakiejś duchowej próżni. Natomiast ostatkiem sił stawałam do modlitwy, nawet w uwielbieniu, modliłam się też za innych. Nie chciałam koncentrować się na swojej tragedii, jakby to miał być koniec świata. Nie po to wierzymy w życie wieczne, co wyznajemy za każdym razem podczas Eucharystii, żeby nadmiernie roztrząsać i zamartwiać się tym, co nam się przydarzyło albo przydarzy. Nie wiem skąd miałam na to siły. Oprócz męża i dzieci, myślę, że to Bóg mi je dawał. Te psychiczne. Fizyczne miały zostać nadwyrężone, co opiszę w dalszej części.

Uczestniczyliśmy we Mszy, w sakramentach, modliliśmy się, jakbyśmy chcieli zmanifestować, ale i przypieczętować naszą więź z Bogiem. Mieliśmy dobre ziemskie powody, żeby ją zerwać. Łaska wiary, którą otrzymaliśmy z mężem także była stosunkowo świeża, więc mogłoby się wydawać, że łatwo byłoby wrócić do poprzedniego życia, bardzo przyziemnego. Choć, tak jak pisałam, kto poznał prawdę sercem, nie może tak po prostu jej odrzucić. Musiałby to serce sobie wyrwać. We mnie i w mężu już od pewnego czasu było coś nie z tego świata. Myślę, że to jest nasze wspólne odczucie. Często mąż i ja mamy wrażenie, że nie przystajemy do sytuacji, ludzi, momentu. Nasze reakcje są jakieś dziwne, nasz spokój nieadekwatny, nasze działanie wykracza poza to, co powinniśmy, poza pewne minimum, poza przyjęte standardy.

Były jednak we mnie momenty głębokiego zwątpienia. Wydawało mi się, że mało kto dookoła mnie w ogóle wierzy w Boga, a nasza sytuacja zdawała się mówić, że Jego nie ma, bo jak kiedyś usłyszałam od kogoś: -Skoro wam, którzy Go kochają nie oszczędził takiego cierpienia, to ja nie mam powodu, żeby w Niego wierzyć. Wiem natomiast, że wiara w Boga to nie jest wiara w Jego moc i cuda. Albo wierzysz Jemu, kochasz Go mimo tego albo raczej w tym co ci się przydarza na tym parszywym świecie albo to nie jest miłość. Możesz się gniewać, możesz się smucić, możesz mu wylewać pretensje, tylko, że to nie zmienia tego, że trwasz przy Nim, bo zależy ci na Nim, a nie Jego wszechmocy.

Zanim dotarłam do tych wniosków, tak jak pisałam wcześniej bardzo liczyłam na cud, na ratunek, na działanie Jego mocy. Pamiętam, jak w Święto Trzech Króli, które miało być w mojej głowie datą urodzin dziewczynek, chodziłam z myślą, że On je wskrzesi. Szczerze wierzyłam i wierzę, że może wszystko. Tylko jeszcze bardziej powinnam wierzyć w Jego miłość do mnie. To trudne. Przyjmowanie cierpienia bez uczucia, że jestem wyjątkowy, bez oczekiwań, że Bóg spełni moje pragnienia, a jedynie ofiarowanie Go wierząc, że w niezrozumiały i niewidoczny dla mnie sposób przerobi to cierpienie na coś dobrego, na owoce.

W trakcie pogrzebu Zosi, prowadzący nabożeństwo powiedział podczas kazania słowa, które we mnie zostały do dzisiaj, a brzmiały one mniej więcej tak: -Nie możemy pojąć, nie możemy zrozumieć tej tragedii. Jedyne klucze do jej zrozumienia mają rodzice Zosi i Anielki. I z tym nas zostawił. Rozwiązanie, zrozumienie, akceptacja jest w nas złożona. Dodał, że od naszych reakcji wiele zależy, powiedział, że ludzie na nas będą patrzeć. I my to sobie wzięliśmy do serca. Nie chodzi jednak o robienie czegokolwiek na pokaz, a raczej wytrwanie przy Bogu mimo wszystko. Na to ludzie widzący naszą wiarę będą patrzeć. Będą szukać odpowiedzi w nas. Nawet jeśli nie rozmawiają z nami na ten temat, to przecież my możemy rozmawiać z nimi. Nawet jeśli wydaje nam się, że nikt nie pamięta, nikt nie przeżywa to mam świadomość i nie jest to pycha, że i tak jesteśmy w jakiś sposób na świeczniku. To mają do siebie tragedie, wypadki, choroby i śmierci.

Oczywiście każdy ma swój rozum, swój osąd, może zarzucić nam, że nasza wiara jest nieszczerą, że trzymamy się po prostu nadziei w tej tragedii. Mają prawo. Jednak fakt pozostaje niezmienny. Nawet ci, którzy nie wierzą, choćby negatywnie, ale pomyślą patrząc na nas o Nim. O Ojcu. A to już jeden do zera dla Nieba!

„...dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy”

1 Tes 5, 2

Tak trwając w tej mojej próżni, obfitującej mimo wszystko w różne przemyślenia, pewnego wieczoru, czując, że dotykam dna mojego smutku, poprosiłam przyjaciółkę o modlitwę. Nie jest tak, że wcześniej o nią nie prosiłam, bo faktycznie, jeśli człowiekowi brakuje sił, to jak mi powiedziała moja koleżanka, inny mogą go ponieść do Boga. Natomiast tego wieczoru po prostu opadłam z sił i potrzebowałam pogotowia modlitewnego.

Przyjaciółka po modlitwie (na odległość) napisała mi, żebym oddała Jezusowi, to czego nie oddałam do tej pory, że zatrzymuję coś dla siebie w tej sytuacji. Może to było cierpienie, może smutek, natomiast jak zaczęłam modłać się we łzach wymieniać te wszystkie rzeczy, to okazało się ich wiele. Tak wiele, że nawet nie pamiętam, co stanowiło istotę problemu. W każdym razie zrobiłam to co należało, a w zasadzie to co należało jeszcze do mnie, to co przywłaszczałam w tej sytuacji, oddałam Jemu.

Wydaje mi się, że to było kolejnego wieczoru, a może tej samej nocy. Jakoś zlewa mi się to w jeden dzień w pamięci, jednak czas nie ma tu znaczenia. Wylałam przed Ojcem, co w moim sercu było i wyraziłam swoją tęsknotę za Nim. Moja tragedia wydawała się nie być tak dotkliwa, jak fakt, że Go po prostu nie czuję, że utraciłam Go, że tęsknię. Podczas modlitwy otrzymałam sigła z Pisma, nie kojarzyłam co to za fragmenty, oznaczenia, jak zawsze wydawały się przypadkowe.

Ku mojemu zdziwieniu fragmenty te dotyczyły moich początków drogi z Nim i dwóch ważnych dla mojej duszy momentów w naszej relacji. Pokazały mi one obecność Ojca w moim życiu. To był pierwszy krok. Jednak już po tej wstępnej weryfikacji obecności Boga w Słowie, po raz pierwszy, moje serce i umysł przeszył tak wyraźny głos. I pierwszy raz tak wyraźnie stało się *rhema*, które po prostu nadeszło. Już nie w postaci siglum, ale zdania wycelowanego wprost w mój zmęczony umysł i cierpiące serce.

Jezus powiedział do mnie: *Smucę się i tęsknię za dziećmi, które odchodzą ode Mnie tak, jak ty rozpaczasz za twoimi, które umierają...* To było mocne. Poruszyło mnie, wstrząsnęło do głębi. Pamiętam, że cała się trzęsłam, ale nie z płaczu, nie ze strachu, nie z emocji, ale przez to, że czułam się dotknięta Jego mocą. Tak jakby coś znacznie większego, potężniejszego przeszyło mój organizm. Jego słowa dały mi zrozumienie, jak Jego cierpienie, które do tej pory ograniczałam do jednego krzyża, trwa nadal. Zrozumiałam ile on dzieci traci. Zrozumiałam, że nie jestem sama w

swoim przeżywaniu cierpienia. Pokazał mi także, że jesteśmy w czymś podobni. Do tego wybił mnie z mojego poczucia wielkiego pokrzywdzenia, większego nawet niż Jego i Maryi.

Tego wieczora, a może już nocy zaczęły się nasze spotkania, zaczęło się moje otwarcie na dialog, zaczęła się komunikacja, którą utraciłam na prawie trzy miesiące. To za mało powiedziane. Zaczął się jej nowy wymiar we mnie. Nowy, kolejny początek. Moje serce stało się zdolne, żeby uczyć się wsłuchiwać w Jego głos. Do tego pojawiło się przynaglenie do notowania naszych spotkań. Jego prośba o to. To też robię do dnia dzisiejszego. Nie zawsze, nie wszystko i nie bardzo regularnie, ale zbieram te odpowiedzi na moje pytania, wracam do nich, bo często się okazuje, że muszę przypominać sobie od nowa rozwiązania. On mi doskonale wszystko wyjaśnia, a w Jego słowach jest pełnia. To, co mnie ogranicza w jej przyjmowaniu to moja słaba pamięć i procesy poznawcze.

Czy to, że nawiązaliśmy kontakt od nowa tamtej pamiętnej zimy grubo ponad rok temu oznacza, że zniknął smutek, lęk, wątpliwości? Że teraz niczym Eliasza, słysząc głos Boga chodzę po ulicach i prorokuję? Nie. Nadal mam mnóstwo obaw, ogarnia mnie brak wiary w siebie, w Niego. Tracę pewność, czy notować, czy to wszystko prawda. Wydaje mi się jednak, że na tym polega wiara: na robieniu kroku w przód mimo niepewności. Nie wiesz, nie masz gotowego schematu, zdajesz się na Niego. W innym wypadku, gdybym miała pewność to, tak jak pisałam wcześniej byłby przymus, wiedza, dowody, a w końcu dzięki łasce jesteśmy zbawieni przez wiarę właśnie (zob. Ef 2, 8).

Wiara to dar, ale i nasz wysiłek współpracy z łaską. W jakimkolwiek punkcie swojego życia jesteś, to wołaj do Ojca o wiarę. Wołaj o miłość, chciej się do Niego przytulić. Wiem, że spełni tę prośbę, bo On też tego pragnie. Chcę ci także powiedzieć drogi czytelniku, że dialog z Bogiem może prowadzić każdy, bo On w nas mieszka. Nie jestem wyjątkowa. Inaczej: jestem bardzo wyjątkowa, tak jak siedem miliardów innych ludzi na ziemi. Ojciec chce przyjść do każdego z nas i robi to, nawet, a może przede wszystkim w nocy.

„Teraz widzimy niewyraźnie, jak w zwierciadle...”

1 Kor 13, 12

W kontekście śmierci naszych córek, spotykam się często z pytaniem o sens cierpienia, a także sens chodzenia z Bogiem Wszechmogącym, który tego cierpienia nie zabiera. To pytanie było

i jest we mnie, tylko w ramach upływu czasu zmienia swoją postać, ale wiem, że wypowiedziane lub nie krąży także w moim otoczeniu.

Otóż nie wiem jaki jest sens cierpienia. Jakiś czas temu słyszałam wypowiedź papieża Franciszka, który też tego nie wie. Stwierdził, że pozostaje to tajemnicą. Wiem, że samo w sobie jest złem i Bóg go nie wymyślił. Natomiast ono się wydarza i wierzę, że Bóg część cierpienia hamuje i uwalnia nas od niego (nie zawsze podczas spektakularnych uzdrowień, a obstawiam, że częściej w sposób niezauważalny dla innych albo nawet dla nas, bo nie wiemy co nam groziło), a część pozostawia, bo wie, że niezgodnie z ludzką logiką, ale zgodnie z Jego logiką pomoże nam i innym trafić do Niego- do Nieba. Niebo to przestrzeń, gdzie w jedną milisekundę On naprawi całe zło, którego doświadczyliśmy. Ono nie będzie miało znaczenia w Niebie. Ma natomiast znaczenie w naszym ziemskim życiu.

Jak pisał święty Piotr w swoim liście: „... jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień” (zob. 2 P 3, 8). Kiedyś znajomy ksiądz przekazał mi to słowo niedługo po pogrzebie Zosi. Ono we mnie jest, jako najpiękniejsza obietnica przemiany cierpienia w piękno, za pstryknięciem Jego palców. Od tego momentu dzieli nas tylko ziemski czas: *chronos*, który jednak biegnie, nie zatrzymuje się, a z jego biegiem, coraz bliżej jestem tego innego wymiaru, świata, którego czas i przestrzeń nie ograniczają. Uważam, że warto się takiej obietnicy uchwycić. Ona jest w Piśmie, dostępna dla każdego.

Myśląc o moim ludzkim cierpieniu i pojmowaniu go coraz bardziej (mam nadzieję) stwierdziłam ostatnio, że w tym kontekście Jezus może być jak torba na zakupy. Wyobraźmy sobie sytuację, jak wybieram się na zakupy bez torby i niosę dwa kilo mąki, mleko, masło, owoce, chrupki i co tam jeszcze kupujemy, w rękach. Przytulam je do siebie nieporadnie. Wypadają mi, wyslizgują się. Ogólnie jest niewygodnie, wkurzają mnie. Jeśli te same powiedzmy sześć kilogramów zakupów umieścimy w torbie, ona nie sprawi, że ich ciężar będzie mniejszy. To nadal będzie sześć kilogramów, ale ta torba sprawi, że będzie nam łatwiej je nieść. Metaforycznie te zakupy są naszym ciężarem i cierpieniem. Jeśli nasze cierpienie powierzmy Jezusowi, z serca Mu je ofiarujemy i oddamy, nie sprawi to, że ono zniknie, czy zmieni swoją wagę. Jednak będzie nam go łatwiej dźwigać, bo będziemy mieć wsparcie. Jak w wypadku torby na zakupy. Nie będzie lżej, ale będzie łatwiej.

Wiem, że to może dziwne i takie niekościelne porównanie, ale ja takie czasami tworzę, obserwując otoczenie, obserwując siebie i innych. Próbując to, co skomplikowane odnieść do rzeczywistości. W końcu życie to w większości Nazaret, czyli codzienne zmagania, trud, radości i

smutki. Jedynie niewielka jego część to odświętna Jerozolima czy Częstochowa. Jak buduję w swojej głowie takie porównania, a może raczej Duch Święty mi je podsuwa, to przypominają mi się przypowieści Jezusa o zakwasie, o ziarnie, o winnicy, o pasterzach i jeszcze wiele innych. To było coś, co go otaczało, coś co świetnie rozumieli w jego kulturze, miejscu życia. Dzięki temu także mógł porwać tłumy, bo w sposób przystępny, dostępny dla prostych ludzi, a nie tylko piśmiennych, wykształconych kapłanów, tłumaczył czym jest dobro i zło, tłumaczył jaki jest Bóg Ojciec, Duch Święty i On sam oraz na czym polega Królestwo Boże. Dlatego lubię być uważna na tą otaczającą mnie codzienność, która przybliżyła mnie do rozumienia rzeczy trudnych i niecodziennych.

Chciałabym potrafić to robić tak skutecznie jak Jezus i nie bać się tego, nie bać się kontrowersji, a jedynie myśleć o dobru ludzi i wskazywaniu im we właściwy sposób, właściwego kierunku. Wtedy to, co trudne, nie do pojęcia, ale przede wszystkim ważne, tak jak pytanie o sens cierpienia i sposób jego przeżywania można starać się przybliżyć innym, oczywiście po wcześniejszym przyswojeniu, przetrawieniu przeze mnie samą.

„Nie martwcie się o jutro (...). Każdy dzień ma dosyć swoich kłopotów.”

Mt 6, 34

Podczas moich „notowanych” spotkań z Bogiem bardzo nurtowała mnie kiedyś kwestia wiary i religii. Byłam już w punkcie, kiedy wiedziałam, że przez cierpienie łatwiej przechodzić z Jezusem niż bez Niego, ale męczyło mnie to, że inni są tak oporni na tę i inne prawidłowości świata duchowego. Sama byłam jeszcze do niedawna tą oporną na wiarę, ale jako podręcznikowy neofita zaczynał mnie mierzyć opór innych. Irytował mnie ten deklarowany ateizm, sprowadzanie wiary do wiary w postęp, naukę. Tak samo zastanawiająca była dla mnie wiara w osiemset tysięcy bożków, z których każdy lubi inny owoc albo wiara w to, że mrówka ma duszę, podobną do naszej.

Nie pojmuję tej różnorodności i tego, jak Bóg to ogarnia. Niewierzących albo tych, co nie poznali Jezusa lub go odrzucili, czasami ze względu na to, że po prostu żyją w innej kulturze. Oczywiście czuję się za mała na to, żeby zbliżyć się do prawd dotyczących innych religii, kultów, czy jakiegokolwiek pojęcia tego, jak zbawienie ma objąć wszystkich. To także uświadomił mi Ojciec. Z jednej strony dał mi do zrozumienia, że to nie mój kłopot. On zadbał o to. Nie dawała mi jednak spokoju kwestia samej wiary.

Od pewnego czasu jestem coraz bardziej pewna, że wiarę mają wszyscy, nawet ci deklarujący, że nie wierzą i twierdzą, że to ludzkość wymyśliła Boga, żeby leczyć lęk przed śmiercią. Natomiast ja uważam, a Ojciec zdaje mi się to pokazywać, że każdy ma wiarę. Nie dlatego, że każdy w „coś” wierzy, choćby w samego siebie, ale dlatego, że jako małe dziecko każdy wierzył w życie duchowe. Tak po prostu, jakby się z tym urodził. Każdy z nas jako dziecko wierzył w ten „inny świat”. Czasem były to anioły, czasami duchy czy potwory, czy często wiara w to, że istnieje Ktoś, że czuwa nad nami Bóg. Cokolwiek to było, należało do niewidzialnej sfery. Rodzice tę dziecięcą wiarę mogą tłumaczyć wyobraźnią, mogą ją gasić czy wręcz zabijać, ale mogą też ukierunkować na właściwe tory i podsycać.

Śmiem twierdzić i takie potwierdzenie znajduję na modlitwie, ale też w Piśmie czy choćby w przeblyskach wiedzy historycznej o starożytnych kultach, że jest w nas genetycznie wpisana wiara w Boga. Owszem, ta wiara wpuszczona na niewłaściwą ścieżkę magicznego myślenia, sprowadzenia do rytuałów i warunków, czy religijnego fanatyzmu, może być niebezpieczna. Jeśli jednak tej wierze zostanie objawiona prawda o zbawieniu, o miłości, nadziei, jednym słowem Dobra Nowina, którą człowiek przyjmie, ma ona szansę rosnąć jak wspaniałe drzewo, kwitnąć i wydawać dobre owoce, dla pożytku swojego i innych.

Zatem jeśli twierdzisz, że nie wierzysz, to ja nie wierzę tobie. Potraktuj to jako komplement. Nie będę udowadniała, że jest inaczej, argumentowała czy kłóciła się. Jednego jestem pewna, jeżeli dopuścisz do siebie tę stłumioną nadzieję, często pogrzebaną na dnie dziecięcego serca, że jest Ktoś wszechmogący i skierujesz myśli ku Niemu, On odpowie. Pokaże ci i to On ci udowodni, że jest. Pokaże ci i rozpali twoją wiarę na nowo. Jeśli będzie trzeba, będzie to robił każdego dnia, dopóki nie spotkacie się twarzą w twarz.

„... jest On niedaleko od każdego z Nas. Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy...”

Dz 17, 27-28

To czego potrzeba do spotkania z Bogiem to nasza wola. Jest wolna. Bóg obdarzył nas wolną wolą. Dlaczego? Dlatego, żebyśmy w wolności mogli wybrać Jego miłość, bo miłość to przeciwieństwo przymusu. Przymus, zniewolenie, zawładnięcie, uzależnienie, zastraszenie leży po stronie zła. Nie można zmusić kogoś do miłości. Miłość trzeba wybrać, trzeba się zdecydować kochać. Miłość można także odrzucić.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wszechmocy Bóg pokazuje się w sposób władczy, nachalny, nie do podważenia. Tylko czy wtedy uwierzylibyśmy w Niego, szli za Nim z miłości, czy raczej ze strachu i z braku innych możliwości. Jaka wtedy byłaby ta relacja budowana na przewadze drugiej osoby? Toksyczna, jak w patologicznym związku władcy i poddanego.

Ojciec zrobił z tą naszą wolną wolą niesamowitą rzecz, ponieważ obdarzając nią, Swoją Wolę sprowadził do „muszę”. Musi respektować nasze wybory, choć Go bołą, choć się z nimi nie zgadza. Daje nam codziennie szansę na nowe życie, na nawrócenie, na zwrócenie się do Niego. Jak w przypowieści o synu marnotrawnym, zawsze przyjmie nas z otwartymi ramionami (zob. Łk 15, 20). Często upadając, oddalając się od Niego mam wrażenie, że nie zasługuję, że nie dorastam, że zawodzę Jego oczekiwania, że po co i na co, że nie dam rady. Tylko, że to są jedynie moje wyimaginowane oczekiwania, moje lęki i moje wyobrażenia na swój temat. On ma zgoła inne.

Podczas jednego ze spotkań, ponad pół roku po śmierci dziewczynek, które miałam przyjemność prowadzić w ramach wspierania w wierze i dzielenia się swoim świadectwem, prosiłam uczestników, żeby zadali Bogu na modlitwie pytanie: dlaczego mnie kochasz? Właśnie mnie? Żeby nie skupiali się na ogólnie znanych odpowiedziach, że Bóg powołał nas z miłości, do miłości i że jest miłością, tylko pytali Go, tego mieszkającego w ich wnętrzach, dlaczego właśnie ich, konkretne osoby z imienia i nazwiska kocha.

Polecam to ćwiczenie, taką formę modlitwy, nawet jeśli od razu nie przyjdzie odpowiedź. Polecam oderwać się na chwilę od tego „my” lub „nas”, a skupić się na „ja” w relacji z Bogiem. Zachęcam do postawienia się na chwilę w roli starotestamentowego Beniaminka, czyli ulubieńca, najmłodszego syna Jakuba i Racheli (zob. Rdz 35,18). Bez wyrzutów sumienia, dlatego, że jeśli sami nie doświadczymy czułości i miłości Ojca, to będzie nam ciężko rozdawać miłość innym ludziom wokół nas. Zachęcam do wsłuchiwania się w Niego i zanotowania odpowiedzi. Wtedy zawsze można do niej wrócić w chwilach zwątpienia albo pytać na nowo.

W tym miejscu podzielę się swoją, bardzo osobistą odpowiedzią, zanotowaną w tamtym czasie. W końcu to historia osobista.

- Za co mnie kochasz? [uwaga: wiem, że miłość Boga jest bezwarunkowa, chodzi o pytanie, co we mnie jest takiego wyjątkowego]

♥ Za to, że jesteś wierna. Wierna w miłości, wierna do końca. Za to, że mi służysz i innym. Za to, że Mi ufasz. Jesteś wyjątkowa, piękna i mądra. Jesteś Moim najcudowniejszym dziełem. Masz godność córki Mojej. Za to, że uczysz się pokory, pracowitości, nie poddajesz się, walczysz. Za to,

że prosisz, dziękujesz i uwielbiasz. Odbijasz Moją doskonałość i miłość w swoim niedoskonałym ciele. Kocham cię Moje dziecko. Jesteś nim. Za ciebie umarłem, zmartwychwstałem. Jestem z tobą aż do skończenia świata.

Skąd mogę mieć pewność, że to pochodzi od Niego, że to nie moja pycha, wyobraźnia czy pragnienia? Nie będę miała pewnie nigdy takiej pewności. To jednak, czego uczę się starając się wsłuchiwać w Ducha Świętego, w Ojca, w Jezusa, ale także to, czego uczy mnie mój kierownik duchowy albo czytam u świętych, to nałożenie na te słyszane słowa pewnych nazwijmy je potocznie filtrów. Prosty test, czy to *rhema* jest zgodne z *logos* powyższe słowa przechodzą. Są w nich odniesienia do Pisma. Natomiast, to nie wszystko. Jakie zatem nakładam cztery filtry w rozeznawaniu?

Po pierwsze Bóg mi pokazuje, że Jego odpowiedź jest pełna. Samej ciężko byłoby mi ją wymyślić w taki sposób, na szybko, żeby dotykała mnie i w pełni wyczerpywała zadane pytanie. Po drugie, ta odpowiedź buduje mnie. Nie niszczy, nie oskarża, nie poniża. Sprawia że jestem lepsza. Po trzecie, przynosi pożytek innym. Nie tylko mnie. W jakiś sposób, dzięki temu, jestem w stanie pomóc innym, wnieść wartość w ich życie, dać jakąś odpowiedź. Wreszcie po czwarte, w komunikacji z Ojcem nie ma strachu. Nawet, jeśli możemy zląknąć się doświadczając Jego wszechmocy, to On nas powita Słowami z Pisma: Nie bój się (przykładowo zob. Łk 1, 30; Mt 1, 20; Sdz 6, 23; Iz 41, 14). Nie ma w tej relacji lęku, nie ma przymusu. Jest szacunek dla naszej wolnej woli.

Oczywiście nie jestem autorytetem w dziedzinie wiary czy religii, jak powiedział mi to kiedyś ktoś z mojego bliskiego otoczenia kiedyś („auć!”). Byli i są wielcy święci, myśliciele, mistycy, których warto słuchać. Natomiast te cztery filtry wypracowałam w ciągu tych kilku lat nawrócenia, dzięki własnemu doświadczeniu, dzięki mojemu spowiednikowi, dzięki przykładom wielkich ludzi. Myślę jednak, że w dość prosty sposób, dostępny dla każdego przeciętnego modlącego się, pozwalają dokonać szybkiej analizy czterech wymiarów: poczucie pełnej odpowiedzi- zbudowanie mnie- pożytek dla innych- pokój i szacunek.

Zgodność z Pismem Świętym to oczywiście pierwsza bramka weryfikacyjna przed tymi czterema filtrami, bo Bóg nie może zaprzeczyć własnemu objawionemu Słowu. Natomiast mam doświadczenie takie, że jeśli te cztery filtry przejdziemy, to okazuje się, że jest i zgodność z Pismem. Może być łatwiej zacząć od filtrów, bo jeśli ktoś zna słabo lub przeciętnie Pismo Święte, tak jak ja, może nie dostrzegać kompatybilności Słowa Bożego z myślą, słowami pojawiającymi się

na modlitwie. Również ktoś z zewnątrz np. spowiednik, teolog może nam potwierdzić, czy taka zgodność faktycznie jest, co stanowi dla nas dodatkowe upewnienie.

Jednak Bóg nie działa schematami, niekoniecznie będzie sypał własnymi cytatami. Tak samo może to robić zły duch, co widać np. podczas kuszenia Jezusa na pustyni, gdzie szatan walczy z Nim za pomocą Słowa Bożego (zob. Łk 4, 9-12). Dlatego dobrze, jeśli widzimy konkretny fragment Pisma, czy przypomina nam się podczas modlitwy, ale lepiej, jak skupiamy się na tym, co z tego wynika i czy jest to dobre.

Oczywiście nie musi być tak, że odpowiedź, myśl od Boga nas usatysfakcjonuje, że słowa nie wprowadzą pewnego, jak go nazywam dobrego zamieszania. Może być tak, że do pewnych odpowiedzi musimy dojrzeć. Może też być tak i tego doświadczałam, że nie słyszę odpowiedzi, bo po prostu ich nie potrzebuję lub nie jestem na nie gotowa mimo swojego mniemania i deklaracji gotowości. Staram się pozostawać otwarta na Boże sugestie i nie zamykać Ojca w ramy. On jest we mnie i wie, co jest dla mnie najlepsze w danym momencie.

„...nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg...”

1 Sm 16,7

Czasami błagam o rozwiązanie jakiejś sprawy, czy odpowiedź na pytanie, jednak Jezus uświadamia mi, że On widzi więcej, widzi moje serce w pełni i dobrze wie, czego potrzebuję (zob. Mt 6, 7-8). Moje gadulstwo i przekonanie, że czegoś chcę, na nic się zda, bo On wie, że to czego pragnę, mogłoby obrócić się przeciwko mnie, przeciwko innym.

To jest jedna z trudniejszych prawd, jakie muszę przyjmować na swojej drodze chrześcijanina. Po ludzku wydaje mi się, że proszę o dobre rzeczy, że proszę o rzeczy, które dzieją się w Ewangelii. Czy moje *talitha kum* (zob. Mk 5, 41) szeptane nad umierającą Zosią nie wynikało z miłości, z troski, z chęci usunięcia kolejnego cierpienia jej i naszej rodziny? Dlaczego ten dobry, wszechmogący, kochający i czuwający Ojciec nie spełnił mojej prośby? Czy, jakby to udowadniał mi pewnie niejeden charyzmatyk nie miałam wtedy wystarczającej wiary, bo gdyby moja wiara była jak ziarnko gorczycy, to mogłabym wydać każdy rozkaz (zob. Łk 17, 6)? Czy w końcu może za cicho się modliłam? Ojciec miał drzemkę i nie dosłyszał? A może nie wypowiedziałam odpowiedniej „potężnej modlitwy” za wstawiennictwem potężnego świętego?

Kiedyś czytałam historię Chiary Corbella Petrillo, której dwójka dzieci pod rząd urodziła się z wadami, które spowodowały ich szybką śmierć. Sama Chiara urodziła w końcu zdrowego syna, ale zmarła na nowotwór, który w trzeciej ciąży się aktywował. Ta wierząca i chodząca z Bogiem (wierzę, że obecnie dosłownie) osoba, modliła się o cud uzdrowienia dla dzieci, dla siebie, dla innych i jestem pewna, że modlitwa tak będącej blisko Boga, jak ona matki nad umierającym dzieckiem miała tak gigantyczną moc, że Eliasza czy Elizeusza wskrzeszający chłopca mógłby jedynie odsunąć się na bok i czekać w pełnym szacunku milczeniu. Jednak Chiara słyszała od otoczenia, że za mało się modlą z mężem o cud, że nie tak, że cud się nie wydarza, bo coś tam robi czy czegoś nie robi. No bo jeśli innym się „udaje” to dlaczego nie jej? To dlaczego nie mnie?

Otóż myślę, że każdy z tych tropów i prób wyjaśniania „dlaczego nie?” jest niewłaściwy. Każdy z nich może prowadzić do obrażenia się na Boga i wyciągnięcia błędnych wniosków, że jeśli jest zło i cierpienie to Boga nie ma. Wtedy można odpowiedzieć kontrargumentem: wspaniale, bo idąc tokiem tak logicznego rozumowania udowadniającego, że Go nie ma, to w takim razie jeśli jest też dobro i miłość na świecie to znaczy, że On jest. Udowodniłam. Pytanie „dlaczego” zdaje się prowadzić donikąd, w szare zakamarki ludzkiej logiki, ludzkiej frustracji.

Natomiast wracając do samej modlitwy, czy modlitw o zdawałoby się dobre rzeczy, jak uzdrowienie, to wiem, że On je słyszy wszystkie. To potwierdza Pismo Święte. Wiem, że czasem odpowiada na jeszcze niedokończony pytanie, a czasem działa nieproszony wprost, a jedynie w cichym pragnieniu serca. Więc żadnymi zabiegami, nie możemy zwrócić Jego uwagi bardziej na siebie i swoją sytuację, bo On ją poświęca każdemu z nas w pełni. Niezależnie jaką ma formę moja modlitwa, czy jest to nowenna pompejańska, koronka do miłosierdzia Bożego, czy krótkie westchnienia do nieba.

Zakładając, że jest moim kochającym Rodzicem, coś tu zatem nie gra wydawałoby się. Poświęca mi uwagę, wysłuchuje, odpowiada, ale nie oddala ode mnie zła i cierpienia. Czy to znaczy, że mnie nie chroni? I tu dochodzę do punktu: chroni przed czym? Bo jeżeli założyć, że nie tak widzi On, jak ja, to może Jego ochrona nie polega na słaniu płatków róż pod moje nogi, ratowaniu mnie z każdego siniaka czy nawet kalectwa. Może choroba i śmierć, które wydają się czymś najstraszniejszym, co się może przytrafić nam albo naszym najbliższym, wcale takie nie są z punktu Bożej logiki.

Problem w tym, że ja jej nie pojmę. Mogę sto razy pytać „dlaczego?”, ale dobrze wiem, że nie poznam przyszłości, nie zrozumieć teraz znaczenia wszystkich zdarzeń z przeszłości, nie zaglądnę na chwilę do Nieba, żeby zobaczyć jak w jedną sekundę zmienia się WSZYSTKO. I tu

powraca jak bumerang temat zaufania. Jak bumerang rzucam w przestrzeń deklarację, że Mu ufam, że chcę, żeby Jego Wola się działa, a On odrzuca ten bumerang w odpowiedzi na kolejne wydarzenie i zdaje się pytać: -Teraz też mi ufasz? Rzucam znowu i mówię: - Tak, teraz też. - On, przy kolejnej jeszcze cięższej sytuacji rzuca z powrotem i pyta: - Joanno, czy teraz Mi także zaufasz? Joanno czy miłujesz Mnie? Czy miłujesz mnie bardziej niż ci inni, których uzdrawiam z chorób, którym nie przytrafia się tak wiele cierpienia?

Często stoję w bezruchu z tym moim bumerangiem. Myślę, płaczę, modlę się, ale w końcu zaczyna mnie uwierać w ręce i odrzucam go znowu powtarzając nie trzy, jak Piotr, ale trzydzieści trzy razy albo więcej: - Tak Panie, ty wiesz, że Cię miłuje. Ty wiesz, że Cię Kocham (zob. J 21, 15-17). Sądzę zatem, że jedyną odpowiedzią na pytanie „dlaczego?” jest zaufanie, czyli przyjęcie tego, co nam się przytrafia. Zwłaszcza tego nad czym nie mamy kontroli, nad tym czego zmienić nie możemy. Wierzę, że warto próbować, nawet jeśli gra bumerangiem potrwa całe moje życie.

„Czy z twojego rozkazu unosi się orzeł i w górze zakłada swe gniazdo?”

Hi 39, 27

Kontrola to bardzo w naszych czasach pożądane słowo. Mamy kontrole w biznesie, w firmach, różnego rodzaju audyty i audyty tychże audytów. Mamy kontrole zdrowia, kontrole instytucji, komisje kontrolne, mamy nawet kontrole urodzeń i zachorowań. Mamy badania kontrolne, grupy kontrolne. Wreszcie, ci najlepsi mają rozwiniętą samokontrolę na najwyższym poziomie. Takie uruchamianie „mocy spokoju kamienia” w obliczu zagrożenia i śmiałe ratowanie świata. W końcu państwa mogą kontrolować obywateli, terytorium, kontrolować inne państwa. Kontrolę często utożsamia się z władzą, z panowaniem, niezależnie czy to panowanie lokalne nad swoim życiem, czy mówimy o szerokiej, globalnej skali.

Odkąd pamiętam sama chciałam żyć w bardzo poukładanym środowisku. Lubię porządek, lubię jasne sytuacje, lubię wyjaśnić to, co niezrozumiałe. Potrzeba panowania nad otoczeniem była u mnie dominująca. Lubiłam wszystko sobie zaplanować, najlepiej każdy kwadrans w ciągu dnia. Zawsze, nawet jako dziecko miałam dużo zajęć, tych dodatkowych, ale też sporo obowiązków. Rosłam w poczuciu kontroli i z takim poczuciem możliwości zaplanowania sobie życia weszłam w dorosłość.

Oczywiście, plany raz po raz musiały ulegać modyfikacjom, coś nie działało, trzeba było je zmieniać, ale nad tymi zmianami też miałam kontrolę. Nie było w moim życiu miejsca na poddanie się działaniu przypadkowym siłom, bo jak tylko zaczynały się wyłaniać zza rogu, ja żwawo łapałam je za czuprynę i targałam we właściwym kierunku. Zawsze krok z przodu, zawsze ze zbudowanymi barierkami po bokach i trampoliną pode mną.

Myślę, że nadal mam tendencję do planowania, ale to z czego wyleczyłam się, a dokładnie nie „się”, tylko Bóg mnie wyleczył, to fałszywe poczucie kontroli. Wspominałam, że nawet modląc się i zawierając Bogu chciałam, żeby realizował on moje plany. W takim poczuciu przechodziłam przez trzecią i czwartą ciążę. To było to „tak”, w którym pobrzmiwało „ale”. Ciężce, czyli momenty newralgiczne, trudne, arcyważne w życiu kobiety, w życiu rodziny pokazały mi, jak bardzo nie kontroluję prawie niczego. Jak podmuch wiatru może zmienić bieg wydarzeń, jak najmniejsza decyzja może odwrócić lawinę zdarzeń w życiu.

Takie doświadczenie jest potrzebne. Teraz to widzę. Choć jak nadchodzi, buntuję się na ten mój brak kontroli, to jedynie w takich zdarzeniach mogę z pełną świadomością zamiast buntu wybrać zaufanie Jemu. Nie sobie i swoim umiejętnościom, znajomościom, światu, autorytetom. Są takie wydarzenia totalnie poza naszą kontrolą. Jak już się zadzieją, może męczyć nas roztrząsanie scenariuszy pt. „co by było gdyby...”. Tylko, że wtedy nie ma to już znaczenia.

Mój mąż przestrzega mnie, przed takim myśleniem w kontekście tego, co się zdarzyło w naszym życiu tragicznego. Często mi powtarzał, że nie wiadomo co mogliśmy zrobić lepiej czy gorzej, nie wiadomo jaki udział w śmierci Zosi miało np. ułożenie inkubatora z prawej, a nie z lewej strony sali. Może wtedy nie złapałaby zakażenia. Takie życie w poczuciu kontroli niestety predysponowało mnie do brania nadmiernego poczucia winy na siebie. Myślę, że nadal gdzieś ta tendencja we mnie jest. Zamiast oddać te sytuacje, nie szukać błędów w sobie, a nawet w innych, bo przecież każdy chciał dobrze i życzył nam jak najlepiej. Wszyscy dookoła, czy to dziadkowie, przyjaciele czy sąsiedzi, wierzący czy nie wierzący kibicowali nam i cieszyli się, że po przejściach z Franiem będziemy mieli takie szczęście jak dwie dziewczynki do kompletu do dwójki chłopaków.

Moja lekarka chuchała i dmuchała na mnie, jak było trzeba, ale nawet jak nie było trzeba, zapisywała mi sporo badań, monitorowała regularnie wszystko i była pod telefonem. Jeśli tylko coś mnie niepokoiło, zwłaszcza, jak już leżałam w domu po pobycie w szpitalu, zawsze mnie przyjmowała tego samego dnia. Do tego, żeby nie chodzić, badania pobierane miałam w domu. Mimo tych racjonalnych przesłanek i uświadomienia sobie, że nie mamy na to wpływu, czy ptak spadnie, bo jak ma spaść to spadnie, to dręczy mnie od czasu do czasu pytanie, co mogłabym zrobić

lepiej, gdzie był błąd. Czasami nie pomagają dociekliwe roztrząsania innych typu: „po co brałam ten akurat lek”, albo że „najlepszy lekarz byłby tamten a nie ten”. Czasami sama myślę w kategoriach: mogliśmy inaczej. Jak to mówi mój mąż: nie, nie mogliśmy. Nie byłam pod opieką piekarzy, tylko doświadczonych lekarzy.

Dlatego tak ważne dla zachowania jako takiej równowagi emocjonalnej jest zawierzenie. Nie chodzi mi tu o filozofię stoicką, ani o fatalizm rządzący światem, a jedynie wiarę, że to, co się przydarza ma głęboki sens. Nie muszę od razu rzucać wszystkiego i lecieć do najdalszego zakątka świata w celu poszukiwania tego sensu. On jest we mnie. Jakie to poręczne. Muszę w ten sens uwierzyć, zaufać Bogu, który jest moim ukochanym Tatą. Oddać Mu kontrolę. Nieraz wydaje się to szaleństwem. To takie puszczenie kierownicy swojego życia i powiedzenie: - Dobra, teraz ty Jezu kierujesz. Jak się mam rozbić o tamto drzewo, to się rozbiję, jak mam wjechać na najwyższe ludzkie szczyty, to wjadę. Ty decydujesz. Ty wiesz, co dla mnie najlepsze.

Nie mam tu na myśli bierności, bo wolna wola implikuje działanie i decydowanie. Chodzi mi raczej o to, że cokolwiek się w życiu zdarzy jestem w stanie odnieść się do Niego, a w dalszej kolejności, czy etapie mojej rozwijającej się relacji z Bogiem, podziękować Mu nawet za to, co najgorszego wydarzyło się w moim życiu.

**„W każdym położeniu dziękujcie,
taka jest bowiem wola Boża w Jezusie Chrystusie względem was”**

1 Tes 5, 18

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Absurdem jest dziękowanie za zło, które nam się przytrafia. Niby po co tak zaleca święty Paweł, niby po co znajdujemy potwierdzenie jego słów w Psalmach (przykładowo zob. Ps 92, 2; 109, 30; 118, 21 i 28; 119, 7). Czy Bóg nie wie, co przeżywam, czy nie wie jak cierpię, że prosi mnie o zrobienie tak nielogicznej rzeczy?

Uważam, że właśnie dlatego, że wie co przeżywam, prosi mnie właśnie o to. Chce, żebym uwolniła swoje serce od zgorzknienia, od użalania się nad sobą, od załamywania się. Przychodzi mi to z trudem i nie zawsze o tym pamiętam. Jednak w praktyce dziękowania (czasami bardzo naginającym swoją wolę do Jego Woli), wsparła mnie i pomogła książka pt. „Moc uwielbienia” Merlina R. Carothersa, którą poleciła mi serdeczna koleżanka.

Na początku słuchaliśmy z mężem wersji audio bardzo sceptycznie. Zakrawało to na jakieś pozytywne myślenie dla idiotów albo dla tych, którym tak naprawdę nic złego się nie przytrafia. Świadczenia ludzi doświadczających cudów uzdrowienia, jak twierdzili dzięki temu, że dziękowali Bogu za to, co złe i przykre w ich życiu, potęgowało we mnie poczucie, że nie potrzebuję kolejnych świadczeń o cudach, które przytrafiają się innym, tylko nie mnie. Nie potrzebuję sugerowania, że znowu robię czy zrobiłam coś nie tak. Na szczęście nie poddaliśmy się w słuchaniu. Autor dotarł w końcu do momentu kiedy dziękujesz, uwielbiasz, ufasz, a i tak ktoś umiera. Z zainteresowaniem wysłuchałam tych rozdziałów. I praktycznie miałam poczucie, że to, że się nie wydarzył cud, niczego nie zmienia. Ważna jest postawa wdzięczności, czyli podziękuj za to, że się nie wydarzył z jakichś przyczyn.

Wiem, że brzmi to naiwnie i może trochę głupio, ale po raz kolejny odwołując się do tego, że nie tak widzi Bóg jak człowiek, to może warto spróbować? Nawet jeśli to nie jest takie podziękowanie do końca z głębi serca. Ważna jest ta iskra, ten impuls i stanięcie w prawdzie: nie rozumiem co się dzieje, co się wydarzyło, ale chcę Ci za to podziękować tak jak potrafię. Wiem, że Ty jesteś i Ty działasz. To jest kwintesencja życia, które każdy z nas przynajmniej kilka razy zadeklarował, że chce prowadzić, mówiąc: „bądź wola Twoja” podczas modlitwy Ojcze nasz... No to bądź czy nie bądź? W Ewangelii Mateusza zapis tego fragmentu to wręcz: „...niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie...” (zob. Mt 6, 10).

Okazuje się, że od chwili śmierci córek jeszcze trochę trudnych momentów mnie czekało i czeka. To jest dla mnie sprawdzian, czy potrafię nadal mówić za księdzem Dolindo Ruotolo: „Jezu, Ty się tym zajmij” albo podziękować za to, że boli mnie głowa, że dzieci się źle zachowują, że pies szczeka, że mąż ma zły humor albo mnie dopadają lęki czy ponury nastrój.

Pisząc ten fragment akurat tak się zdarzyło, że jesteśmy na wakacjach w górach całą rodziną, a mnie przytrafiło się zatrucie pokarmowe. I co, jeśli nie mam chęci podziękować za nie? To i tak dziękuję, choćby z niechęcią. Choćbym się obawiała, kiedy i jak się skończy i czy wrócę do Krakowa bez przygód. Nieistotne, nie mam na to wpływu. Chciałabym przyjąć wszystko, co się wydarza z wdzięcznością. O to się modłę.

„Kto będzie się starał zachować swoje życie, straci je; a kto je straci, zachowa je”.

Łk 17, 33

Po roku od śmierci dziewczynek, jakoś zaraz po listopadowej rocznicy śmierci zaczęło sypać mi się zdrowie. Od porodu mam problemy z kością ogonową, do tego wróciła mi po kilkunastu latach remisji łuszczyca. Ta sama, której pozostałości, ponad dwa lata temu zaczęły po prostu znikać na moich oczach z ciała, kiedy doświadczyłam uzdrowienia serca i duszy, kiedy zdecydowałam się pisać, kiedy przypieczętowałam ścieżkę z Bogiem spowiedzią generalną i późniejszymi rekolekcjami na Górze Świętej Anny. Po czasie wiedziałam, że był to jakby odbłask mojego uzdrowienia wewnętrznego, znak od Niego, że może wszystko. Często jest tak, że jak doznajesz uwolnienia, czy uzdrowienia duszy i zaczyna ona swój ukierunkowany bieg w stronę Boga, poprawia się twoje zdrowie, doświadczasz siły, odkrywasz swoje umiejętności i powołanie z tym związane. I tak też stało się ze mną.

Nie oznacza to, że jak zdrowie ci się pogarsza, symptomy wracają albo dotyka cię jakieś zło, to zły duch cię opętał i uzdrowienie zostało utracone. Nie spełniłam wymagań. Kiedyś bardzo się przejmowałam tą koncepcją, ale teraz widzę, jak bywa daleka od prawdy. Jak dalekie także bywa od Bożych zamysłów oczekiwanie namacalnych znaków. Myślałam o tym, jak ja ludziom się przyznam, że zniknęła choroba, a po kilku miesiącach znowu wróciła, a po półtora roku zaatakowała tak, jak nigdy wcześniej.

Myślę, że w tym kontekście może być dla niektórych ważne to, co powiem, napiszę na podstawie własnego doświadczenia. Nie możesz zrobić nic ponad podziękowanie i obmycie siebie, swojej grzeszności, swoich chorób, słabości we Krwi Chrystusa. Ona uzdrawia, ale jak, na jak długo, po co i wreszcie, co się wydarzy później, o tym decyduje Jezus. I żadnymi „magicznymi” modlitwami, nawet setkami modlitw wiodących charyzmatyków w tym kraju, nie zmienisz tego. Siostra Faustyna w swoim „Dzienniczku” opisuje, jak doznała chwilowego ustąpienia zaawansowanej już gruźlicy, po to, żeby to właśnie ta choroba zaprowadziła ją w końcu do grobu. Za mało się modliła? A może demon ją opętał? Może za mało stygmaty bolały? Akurat jej przypadek pokazuje, że takie myślenie o uzdrowieniu byłoby absurdem.

Nie chodzi o to, że modlitwa o uzdrowienie, ten rodzaj posługi nie jest potrzebny, bo jest. Jest też głęboko uzasadniony w Ewangelii. Kapłani służą sakramentem namaszczenia chorych (i nie jest to ostatnie pożegnanie, tylko modlitwa o uzdrowienie!). Chodzi raczej o odczarowanie naszego, mojego magicznego myślenia na ten temat. Ja mam mieć nadzieję na lepsze jutro, poprawę, zdrowie, ale to nie jest coś, co ode mnie zależy. Sama modlę się wstawienniczo i doświadczam

tego, że wydarza się wspaniała rzecz, że często nic się nie dzieje, a jeszcze częściej, że dzieje się coś dobrego, na co bym w życiu nie wpadła. Tak samo często nie mam pojęcia, czy coś się dzieje albo dowiaduję się po kilku miesiącach, że się coś zadziało. To nie ma znaczenia. Wydarza się bowiem spotkanie z Jezusem, dzięki temu, że gdzie dwóch czy trzech się gromadzi w imię Jezusa, tam przecież jest On. Tak obiecał (zob. Mt 18, 20).

Zatem, kiedy znalazłam się w sytuacji sypiącego się zdrowia ostatniej zimy, biorąc na siebie jak zwykle dużo obowiązków, wyzwań, wierząc, że muszę działać na rzecz innych, w końcu wylądowałam w ciężkim stanie w szpitalu, przytransportowana przez pogotowie. Dopadło mnie potężne bakteryjne zapalenie płuc, najpierw mające znamiona sepsy, potem zatoru w płucach. Choroba, która osobie w moim wieku nie ma prawa się wydarzyć, a zwłaszcza tak spektakularnie, jak ujęła prowadząca mnie lekarka. A jednak się przydarzyła. Obecnie jesteśmy w dobie pandemii koronawirusa, jednak dodam, że to nie był wirus, a moja choroba wynikała z powikłań po kolejnym z rzędu przeziębieniu.

Leżąc na sali reanimacyjnej, nie wiedziałam czy z tego wyjdę. Mąż, który wpadł na SOR, jak mnie przywieźli, w zasadzie, tak na zapas się ze mną pożegnał. Kolejne godziny, a potem dni były walką o to, żeby nerki pracowały, żeby gorączka ustąpiła, żeby ciśnienie się unormowało i nie spadało do poziomu bliskiego podłogi, żeby antybiotyki zaczęły działać. Po dwóch tygodniach wyszłam ze szpitala o własnych siłach. Wycieńczona, skołowana i miałam jeszcze długo wracać do zdrowia.

To kolejne wydarzenie, które pokazało mi, jak niewiele kontroluję, za to jak wiele zależy od Niego. Pokazało mi także, że Ojciec chce mojego dobra i pragnie przekonać mnie do zmiany funkcjonowania, zmiany sposobu patrzenia na pracę, na działalność, nawet na spalanie się dla dobra innych. Miałam wkrótce po tej szpitalnej zapaści zmienić swój tryb życia, miałam zrewidować plany i rozpocząć realizację swojego marzenia. Póki to nadeszło, spotkało mnie jeszcze trochę zdrowotnych i nie tylko zdrowotnych przygód.

„Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć”.

1 P 5, 8

Zanim rozpoczęła się moja zmiana trybu życia, przeżyłam jeszcze sytuację związaną z moim Aniołem Stróżem. Wcześniej wspominałam o tym moim ukochanym Aniele, że się zmienił.

Do tej pory zdawało się, że poznaję go, że „gadamy” i staje mi się coraz bliższy, ale w pewnym momencie i było to jakoś w trakcie mojej trzymiesięcznej pustyni po śmierci dziewczynek, „poprzedni”, jak go nazywam Anioł Stróż, po prostu zniknął, rozplynał się niczym zjawa. Opisane wydarzenia działały się w mojej wyobraźni albo jak kto woli w wewnętrznym poznaniu. Jak już deklarowałam wcześniej. nie doznaję fizycznych objawień.

Zaczęłam mieć obawy, czy ten mój Anioł Stróż, który wyparował to nie jakiś zły duch, który od miesięcy buszował w mojej wyobraźni i podpowiadał złe rozwiązania. Prawie codziennie do niego się zwracałam, byłam dumna, że go mam i że mnie strzeże. A tu nagle: bum. Jakby go nie było, a dokładnie, jakby był po ciemnej stronie mocy. Z tymże jakoś niebawem po tym przykrym zdarzeniu, które w jakiś sposób podkreślało to moje opuszczenie w cierpieniu i to, że zło nie zasypia tylko krąży, potężniejsze niż kiedykolwiek, mój Anioł zmienił wygląd, a dokładnie wyglądało to, jakbym dostała nowego stróża, choć nie wiem czy to jest możliwe, ale w końcu dla Boga wszystko jest wykonalne.

Otóż z przybrudzonego, zakurzonego, wyglądającego jak olbrzymi mnich pustelnik, nagle stał się śnieżnobiały, a jego szaty zajaśniały, jak wyprane w niebiańskim Perwollu. Cały był światłem. Pokrzepiającym, ciepłym, jasnym. Nadal taki jest. Zaczęłam się zastanawiać, kim on jest i kim był tamten poprzedni. Z takimi wątpliwościami zgłosiłam się do mojego kierownika duchowego. Raz po raz z resztą muszę się u niego upewnić, czy mam dzwonić już do specjalisty od głowy, czy to wszystko jeszcze jest w granicach rozsądku. Mój kierownik wysłuchał mnie, jak zwykle uważnie i na moje wątpliwości, czy mi Bóg zamienił Anioła, stwierdził, że być może, ale może też jest tak, że dojrzał, a dokładnie ja dojrzałam i to widać w nim. Taki system naczyń połączonych. On dostosowuje się do mojego stanu duszy. Tak to rozumiem.

Ciekawa i nie powiem, mądra koncepcja. Natomiast okazało się, że poznałam jego nowe, a może nienowe imię. Stwierdziłam, że coś jest na rzeczy i on nie jest tamtym poprzednim bytem, ma inne przymioty, pokazuje mi coś innego niż Herkules. I z takimi rozmyślaniami w tle pozostałam, dopóki nie wydarzyła się dziwna rzecz, a wydarzyła się ona w samolocie, w chmurach, wiele miesięcy później od tej podmiany. Bóg pokazał, że ma poczucie humoru...

Siedząc na swoim miejscu w samolocie, nie pamiętam czy był to kierunek na, czy z zimowych wakacji, w pewnym momencie błysnęło mi coś po oczach, takim odbitym blaskiem słońca. Tym czymś okazała się srebrna plakietka z imieniem jednego z członków załogi samolotu. Na plakietce widniało imię Adam. To był jak strzał prosto w mózgowicę. Do tego pan ten wyglądał tak jakoś, jak ci filmowi wysłańcy niebios z blond włosami i intensywnie niebieskimi

oczami. Może to była moja fantazja, ale przez chwilę spojrział na mnie tak wymownie, jakby w jego oczach wyświetlało się: No Joanna, rusz głową!

Wiem, że można to wytłumaczyć moją wyobraźnią, wiem, że chmury, anioł, oślepiające światło i imię to brzmi, jak z jakiegoś niskobudżetowego amerykańskiego serialu, do których mam delikatnie mówiąc lekki dystans. Tylko, że wszystko to było skomponowane w taką całość, że to dziwne poczucie „wiedz, że coś się dzieje”, tylko w dobrym kierunku, nie opuszczało mnie. I to imię. Zaczęłam wertować jego znaczenie. Okazało się, że nie tylko oznacza człowieka, ale Adam to też ojciec. I to było coś, co mnie zatrzymywało. Jakiś mikroelement, który zdawał się wskakiwać na swoje miejsce.

Pewnego wieczoru podczas modlitwy, temat powrócił i to niejako „z zewnątrz”. Prosiłam Ojca, żeby mi pokazał Swoją czułość i miłość do mnie. Wtedy pokazał mi, co znaczy imię mojego Anioła. Pokazał mi, że on uosabia ojcowską miłość Boga, który był ze mną w najtrudniejszych momentach życia, kiedy mojego biologicznego taty nie było przy mnie. Pokazał mi te momenty ze szczegółami. Pokazał dlaczego dał mi takiego Anioła.

Pamiętam, że bardzo mnie to wzruszyło. Faktycznie poczułam się kochana i zaopiekowana, jak najdroższe dziecko. Jakiś czas potem, znowu napatoczyły mi się wątpliwości. Wolę myśleć, że wątpliwości to nie coś, co mam, a jedynie to, czym zły we mnie rzuca od czasu do czasu, a będąc szczerą to wciąż. Standardowo poprosiłam Anioła, stosując dziecięcą zagrywkę: dobra, jak jesteś Adam to ja otwieram Pismo Święte w losowym miejscu i mi to pokaż! I otworzyłam. Nie było to imię Adam. Były to dwa imiona Abram i Abraham zestawione koło siebie. Moment, kiedy Bóg ZMIENIAŁ imię Abramowi. Znałam znaczenia tych imion doskonale, bo Abram to ojciec (podobny rdzeń, jak u Adama), a Abraham to ojciec wszystkich narodów. Padłam. Zatkaną mnie. Wątpliwości zostały rozwiane.

Ta zmiana imienia w zestawieniu ze słowem ojciec w kilku odmianach, to nie mógł być przypadek. Nawet, jeśli ktoś mi zarzuci, że podświadomie moje ręce celowały w Księgę Rodzaju, to otworzenie jej na siedemnastym rozdziale, piątym wersecie jest przypadkiem. Podobnie jak połączenie Adama, Abrama i Abrahama, jako znaczeniowo podobnych. W końcu, jak mówi katoprzysłowie: przypadek do świeckie imię Boga. I tego się trzymam.

Jakby nie było mam wspaniałego Anioła Stróża. Ma go każdy z nas. Jeśli uwierzymy w jego obecność, jako tego, który jest najbliżej nas i najbliżej Boga i nie będziemy o nim wciąż zapominać (ten postulat kieruję w dużej mierze do siebie), to okaże się, że zły może sobie krążyć, ale nasz

Anioł Stróż ma moc większą niż każdy największy zły duch. Jeśli ktoś chciałby zaznajomić się z tematem, to polecam „Sekretne życie aniołów” Aleksandra Bańki, który dzięki Pismu i propozycjom modlitwy zachęca nas do budowania relacji z naszym ukochanym, najlepszym dla nas, jedynym (w większości) Aniołem.

„Wtedy Bóg rzekł: niechaj się stanie światłość. I stała się światłość”

Rdz 1, 3

Pisząc sobie o Aniołach Stróżach, robiąc wiele wycieczek, dygresji, a raz po raz wracając nieco na tory chronologii, towarzyszy mi myśl, że wiem, mam pewność, co stanowi przedmiot mojego pisania. W zasadzie nie co, a Kto. Jego się trzymam, modląc o światło Ducha Świętego. Można powiedzieć, że oprócz koncepcji o czym mam pisać, w trakcie tej czynności otwierają się nowe wątki, nowe możliwości. Powoduje to, jak wspomniałam rozchwianie pewnej chronologii zdarzeń i czasem cofam się, żeby złapać dany wątek klamrą. Nie lubię się podporządkowywać chronologii, ale mimo wszystko lubię porządek.

Jednak najbardziej udana sekwencja i ład w ludzkiej głowie, niekoniecznie jest tożsamy z pomysłem Boga na porządek. To, co opisuję w tej książce ma znamiona kilku procesów, tych rozpoczętych, tych w trakcie i tych zmierzających ku końcowi lub nie. Tak jak sytuacja z Aniołem Stróżem rozgrywająca się na przestrzeni ponad roku czasu. Pewnie będzie się rozgrywać nadal, do ostatniego mojego oddechu.

Wiem, że Ojciec decyduje o tym ile czasu, na co potrzebuję. On to wie i widzi. Ja mogę się na to zgodzić lub szukać innych dróg, ale na ostateczne światło w danej sprawie muszę swoje wyczekać, dojrzewając. Bóg stworzył dla nas czas i przestrzeń, bo myślę, że chciał ograniczyć nasze życie na ziemi, abyśmy mieli przed oczami metę, za którą czeka na nas On, w pełni. Ta meta życia może pojawić się w każdym momencie. Swoimi działaniami możemy jej nadejście przyspieszać lub opóźniać, ale ostateczne Słowo, na którego dźwięk coś się wydarza, czy to życie czy śmierć należy do Niego.

Ta myśl powinna mnie, chrześcijankę uspokajać. Nic nie dzieje się bez wiedzy Ojca. Skoro On jest miłością, to brzmi jak Dobra Nowina, dająca nadzieję na Nowe Życie, na zmartwychwstanie. Taką wiarą i nadzieją zdaje się żyć większość ludzi niezależnie od praktykowanej, bądź niepraktykowanej religii. To widać na pogrzebach, to widać, jeśli umiera ktoś

w bliskim otoczeniu. Nagle ci na co dzień niewierzący mówią na głos o Niebie, o nadziei, o tym, że w jakiś sposób spotkamy się gdzieś w kosmosie, czy innym miejscu. Mówią o tym, że nieboszczykowi jest lepiej, że nie cierpi.

Nie chce w tym miejscu pisać o hipokryzji albo o kłamstwie, bo myślę, że to nie jest ani jedno ani drugie. Burzę się także zwłaszcza ostatnio na budowanie kolejnych murów między niewierzącymi, a wierzącymi, bo bycie jednym albo drugim nie oznacza bycia lepszym czy gorszym. Natomiast obserwuję, że w momentach granicznych, w momencie zderzenia z tajemnicą, ludzie zdają się instynktownie wręcz wyczuwać Moc. I żadnymi „Gwiezdnymi Wojami” sobie tego nie wytłumaczą. Czują, że dusza żyje „gdzieś”, czują, że to nie koniec. Chcę ufać w to, że mimo powszechnego argumentu o leczeniu lęku przed śmiercią koncepcją kontynuacji życia po niej, nie z tego powodu tak „czują”. Czują tak, bo mają nadzieję. Nadzieję która została im wdrukowana w organizm w momencie poczęcia.

Wierzę w to głęboko, że nie ma, jak pisałam wcześniej ludzi niewierzących. Są po prostu ci, którzy przyjęli Światło, których ono dotknęło, bo wyciągnęli rękę i są ci, którzy wyciągają rękę, ale jeszcze nie wiedzą w jakim kierunku. Są w końcu ci, którzy wciąż czekają na dotknięcie skierowani już w dobrą stronę, ale są też ci, którzy po prostu trzymają ręce w kieszeniach. Ci ostatni są jak małe dzieci bawiące się w chowanego, które myślą, że jak zamkną oczy, to ich nie widać. Skoro nie patrzą się, to znaczy, że dorosły znika i nie patrzy na nich.

Wiem o czym mówię, bo byłam w takim miejscu- z rękami w kieszeniach, z zamkniętymi oczami, z niewzruszoną postawą. Jednak zaczęłam badać te słoneczne promienie centymetr po centymetrze. Najpierw opuszkami palców, potem całą dłonią, aż w końcu zaczęłam zerkać. Światło nie chce mnie porazić, nie chce mnie oślepić. Chce mnie przyciągnąć do siebie, do ciepła, w stronę Nieba, ale wszystko na miarę moich możliwości. Nie chce mnie roztopić, sparaliżować mocą.

Daję się ogrzewać i prowadzić Jemu. Mam taką nadzieję. Modlę się za innych, żeby oni też mogli tego doświadczyć. W trzymaniu się właściwego kierunku pomagają mi zasady. Każdy w końcu ma jakieś. Nawet największy luzak świata ma przynajmniej jedną zasadę, która mówi, że ma mieć na wszystko „wylane”. Inaczej, gdyby się tego nie trzymał, jak osiągnąłby miano luzaka? Zatem mogłabym od takiego hipotetycznego luzaka uczyć się konsekwencji w przestrzeganiu tej jednej reguły.

Potrzebujemy zasad po to, żeby jak już wiarę przyjmujemy móc w niej wzrastać. Jednak kolejność według mnie jest tu jedna jedyna słuszna i nie boję się tego stwierdzenia. Najpierw wiara,

potem religia z jej zasadami. Inaczej sama religia bez wiary jest wydmuszką, z kolei wiara bez religii staje się surową, białkowo-żółtkową ciapką. Jedynie ich połączenie daje jajko. *Notabene* symbol nowego życia. Symbol początku.

„Tak jak ciało bez ducha jest martwe, tak też jest martwa wiara bez uczynków”.

Jk 2, 26

Wyobraźmy sobie, że mieszkamy w bloku na którymś tam piętrze, gdzie nie ma ani schodów ani windy. Nie ma czegoś takiego. Nie wynaleźliśmy jako ludzkość takich narzędzi do przemieszczania się wewnątrz budynku, pomiędzy piętrami. Wychodzenie i wchodzenie do mieszkania mogłoby się wówczas odbywać przez okno. Skacząc, pewnie byśmy przyplacali to zdrowiem lub życiem. Nawet skonstruowanie jakiejś wymyślnej drabiny albo sieci drabin, czy lin także kończyłoby się raz po raz katastrofą. Oczywiście byłyby jednostki, które jakoś poradziłyby sobie i nic by im się nie przydarzyło niemiłego, ale być może kosztem wspinaczki po plecach trupów sąsiadów.

Podobne mentalne ćwiczenie podsunął mi kiedyś mój kierownik duchowy, tłumacząc czym są dla człowieka przykazania. Ano tym, czym dla mieszkańca wyżej wyobrażonego bloku schody albo winda. Rozwijając tą myśl, dla jednych to będą aż schody, a dla innych tylko winda. Natomiast niepodważalnym pozostaje ich sens. Mają nam ułatwić życie, poruszanie się, bezpieczne docieranie do domu i wychodzenie z niego, bez narażania siebie i innych na niebezpieczeństwo.

Dla chrześcijanina, ale nie tylko, takimi schodami lub windą jest Dekalog. Dekalog w formie niezmiennej spisany w Księdze Wyjścia, jednak raz po raz restaurowany, odświeżany, reinterpretowany przez Kościół Katolicki, aby odnosił się do życia ludzi współczesnych. Jednak sam w sobie pozostaje stały, tak jak Jezus powiedział: „Zaprawdę. bowiem powiadam wam: Dopóki niebo i ziemia nie przeminą, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko spełni” (zob. Mt 5, 18).

Bóg już w Księdze Jeremiasza daje piękną obietnicę, czym będzie prawo dla ludzi, prawo którego uosobieniem miał być Jezus: „Lecz takie będzie przymierze, jakie zawrę z domem Izraela (...). Umieszczę swe prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercu. Będę im Bogiem, oni zaś będą Mi narodem” (zob. Jr 31, 33).

Zasady, prawo, Dekalog nie ma być zatem jakimś przymusem, uprzykrzaniem życia, ale decyzją o podążaniu w tym pokreślonym świecie za Bożym pomysłem. Te zasady mają nas uchronić przed zrobieniem sobie i innym krzywdy, ale nie dlatego, że w związku z ich nieprzestrzeganiem czeka nas straszna kara piekła. Jak dla mnie, w ogóle nie o to chodzi. Chodzi o to, że mając taki dekalogowy kompas w połączeniu z wyrabianym od dwóch tysięcy lat nauczaniem Kościoła, łatwiej mi iść przez życie.

Oczywiście znany mi jest argument, że Kościół to frustraci w sutannach, którzy chcą nam uprzykrzyć codzienność odzierając go z przyjemności. Tylko skąd wiemy, co jest prawdziwym szczęściem i przyjemnością? Skąd wiemy, jaką radość chce nam dać Bóg, jeśli podążymy Jego ścieżką. Zasady to nie wymysł Kościoła i tak jestem realistką, wiem, że tworzący prawo, czyli kapłani sami nie przestrzegają zasad, ale Jezus i na to daje gotową odpowiedź: „Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie” (zob. Mt 23, 3).

Piszę to z perspektywy obecnie osoby wierzącej, ale kiedyś osoby, która uważała Dekalog i jego kościelną interpretację za coś bardziej niż archaicznego. Otóż przez pryzmat wiary dostrzegłam, że on ma głęboki sens. Bardzo podziwiam ludzi, którzy wierzą i chodzą z Bogiem dłużej niż ja, którzy na przykład jako narzeczeni przestrzegali czystości, którzy porwali się na życie na opak temu, co mówi otoczenie rówieśników, co podsuwa im świat.

Znam takie pary i wiem, że budowali swój związek od początku na mocnym fundamencie, że zdecydowali się tej jednej osobie oddać całych siebie, ale po tym, jak Bóg ten związek przypieczętuje w dniu ślubu. Sami z mężem nie mamy takiego doświadczenia i jak rozmawiamy o naszej ścieżce z Bogiem, to ta kwestia jest tą, której już nie wrócimy, której możemy żałować.

Jednak w głowie osoby niewierzącej, takie zachowanie Dekalogu i nauki Kościoła wydaje się śmieszne. Nie myśli o tym, że seks nie jest głównym spoiwem związku, że w małżeństwie mogą być różne sytuacje, jak choćby ciężka ciąża, gdzie „dostawa usług erotycznych” może być przerwana na wiele miesięcy. Czy to znaczy, że związki nieoparte na Bożych zasadach nie mają racji przetrwania? Oczywiście, że mają. Po pierwsze Boga można odnaleźć w każdym momencie życia i zacząć budować z Nim od podstaw. Można też mieć po prostu dużo szczęścia i wyrozumiałości do drugiego człowieka i budować związek bez Niego.

Jednak z doświadczenia wiem, że życie nie jest usłane różami i czasami dochodzi się w małżeństwie do ściany, która po ludzku jest nie do pokonania. Jeśli jednak zaprosimy do naszego bloku, do naszego mieszkania Boga z Jego pomysłem i zasadami, to okazuje się, że ściana dla

Niego to cienka kartka papieru, którą pokaże nie tylko jak przejść czy zniszczyć, ale złożyć z niej łódkę, którą wspólnie z małżonkiem możemy popłynąć dalej.

Możemy obrażać się na ludzi w Kościele, na zasady albo stwierdzić, że nie wierzymy. Jednak wtedy znajdujemy się w miejscu, w którym chce nas widzieć zły, czyli w oddzieleniu. Po grecku *diabolos*, to właśnie znaczy rozdzielać. Zły chce nas rozdzielić z Bogiem, z Kościołem pokazując „ciekawsze”, bardziej ponętne rzeczywistości, a na pewno prostsze. Pozwalamy się ograbić albo z wiary albo z religii albo z obu tych rzeczy.

Zanim jednak na to pozwolimy warto uzmysłwić sobie coś, do czego także musiałam dojść i co było procesem we mnie. Wiara to nie samo przyznanie się na głos do niej (stwierdzenie jestem wierzący i tyle). Znowu religia to nie ksiądz proboszcz ani nawet cała parafia. Te oba pojęcia są głębsze i przenikają się. To, że ktoś nas zawiódł w Kościele (ja także tego doświadczam), wkurza nas, to nie zwalnia nas ze starania się o utrzymanie relacji ze wspólnotą Kościoła, bo to przez sakramenty buduje się i podtrzymywana jest żywa wiara.

Wiara bez religii nie ma racji bytu. Rozdzielanie ich to także zagrywka rozdzielającego, a wiemy czyje to imię. Jedna bez drugiej staje się martwa. One mają się wspierać i tym samym wpierać nas ludzi- słabych, grzesznych, upadających, błędzących. Wiara to zaufanie Bogu i powierzenie Jemu swojej bezradności, a religia to odpowiedź Boga na tę bezradność, zestaw narzędzi, które pomogą ogarnąć nam życie. Życie tu i teraz, ale też to na wieczność.

„W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”.

J 14, 2

Kiedy myślę o wieczności, myślę o Niebie. Zdaje się, że piekło i czyściec mnie nie interesują. Zapowiedziałam dość bezczelnie Ojcu, że mam po śmierci trafić do Nieba. Chcę być święta. W końcu to jego pomysł na nasze życie: bycie świętym. Nie świętoszkowatym, zdewociałym, zgorzkniałym. Wydaje mi się, że świętość często z tym utożsamiamy. Z nudą. Z podobiznami rozmodlonych postaci w aureolach. Z życiem dla zakonników i zakonnice tu na ziemi, a w Niebie ze śpiewaniem wiecznego Hosanna na klęczkach przed tronem Najwyższego.

Wiem, że On mojego śpiewu raczej nie chce słyszeć. Poza tym od tego są chóry anielskie. Do świętości jesteśmy zapraszani raz po raz choćby przez papieża Franciszka, którego uważam za bardzo ważny głos Ojca na ziemi. Skoro zaprasza mnie, ciebie, panią w sklepie, motorniczego,

dyrektorkę z korporacji, prezesa banku i każdego innego, to znaczyłoby, że świętość to droga dla każdego.

Wyleczyłam się z krzywego obrazu świętego chodzącego po ziemi, jako nieskazitelnej jednostki, roztaczającej woń kwiatów (choć i to się zdarza), bezgrzesznej, no i koniecznie prowadzącej życie w jakiejś formie konsekrowane. Fakt, często bywa, że święci brną w takie życie, bo z miłości do Boga, chcą poświęcić się tylko Jemu. Poza tym klasztory mogą zgłaszać swoich kandydatów na ołtarze, a raczej Związek Sprzedawców Polskich (nazwa wymyślona) tego nie robi, stąd ogólnie znane przykłady świętości najczęściej wywodzą się ze środowisk stricte kościelnych.

Natomiast świeckich jest o niebo więcej i mniemam, że świętych wśród nich także jest o niebo więcej. Bez tytułów, bez pomników, bez odznaczeń. I to jest bardzo dobra wiadomość. W moim kategoriowym żądaniu Nieba dla siebie jest potrzeba bycia blisko Ojca, najbliższej Jego miłości, tęsknoty za Nim. Aby móc osiągnąć taki poziom zjednoczenia z Bogiem na przestrzeni życia, trzeba Jemu oddać stery i prosić Go, żeby przemieniał nasze serce i przyciągał nas do siebie coraz bardziej.

Z tym utożsamiam świętość. Usłyszałam kiedyś podczas modlitwy, że niepotrzebnie mam wyrzuty sumienia z powodu takiego roszczenia, że gdyby więcej osób zadawało pytania czy i jak zostać świętym, świat byłby lepszy. Popelniam błędy, grzeszę, mam słabości, jak każdy człowiek, bo nie ma ludzi nieskazitelnych. Po prostu nie ma. Nawet najwięksi święci żyjąc na ziemi często mieli wielkie grzechy, duże zaniedbania i bardzo krętą drogę do Boga! Często ich droga trwała wiele, wiele lat i wiele musieli cierpieć. Myślę, że nie powinniśmy ich traktować jak wykreowanych niedoścignionych wzorów, a raczej jako realną inspirację dla naszego życia.

Szczerze mówiąc, a w końcu to historia bardzo osobista, mam mdłości jak słyszę o Wielkim Świętym albo patrzę na pomniki świętych. Uważam, że to zbyt oddawanie kultu świętym ma znamiona budowania złotego cielca. Pół biedy jak Kościół i duszpasterze dostrzegają zagrożenie w tym, gorzej jak sami propagują tendencję przysłaniania widoku na Trójcę przez taki posąg świętego. Mam poczucie, że ten święty nie jest z tego zadowolony. Choć chce pomagać Kościołowi na ziemi i wyprasza na pewno liczne łaski, to raczej nie dla tych ludzi, którzy upatrują w nim bożka, tylko raczej dla tych, którzy wiedzą, kto „robi” cuda i jaka jest rola wstawiennika.

Wracając do mojego pragnienia świętości i Nieba, to nie zależy mi na oficjalnym stanowisku. Najbardziej zależy mi na prawdziwym, szczerym postawieniu się we właściwym

miejscu w Niebie. Dokładnie, żeby Ojciec mnie przygarnął do takiego miejsca. W jaki sposób to się ma wydarzyć, to już Jego problem. Jezus obiecał, że przygotowuje nam miejsce w niebie, że mieszkań nie zabraknie (zob. J 14,2).

Aby znaleźć się w Niebie, oprócz wiary oczywiście liczą się uczynki, czyli realizowanie Ewangelii w życiu codziennym. Jednak jestem pewna, że jest jeszcze jeden główny składnik tego eliksiru, a dokładnie przyjęcie Bożego miłosierdzia, dlatego, że po ludzku nie da się zasłużyć na zbawienie. Kiedyś mój mąż opowiedział mi genialny dowcip w tym temacie, który tu przytoczę.

Pod bramą Nieba znalazła się kobieta. Spotkała świętego Piotra i ten pyta, dlaczego ma ją wpuścić. Ona odpowiada:

- Staralam się być dobra całe życie. Wytrwałam w małżeństwie aż do śmierci. Wychowałam dzieci.
- Świetnie- odpowiada Piotr- dostajesz za to 10 punktów. Co jeszcze?- dopytuje.
- Kiedyś, jak sąsiadka długo chorowała przez wiele miesięcy pomagałam jej i opiekowałam się nią.
- Świetnie. 5 punktów. Co jeszcze?- pyta dalej święty Piotr.
- No nie wiem. Trochę tego było, a ile dokładnie punktów muszę zdobyć, żeby wejść do Nieba?- pyta kobieta.
- 500 000 punktów- odpowiada święty Piotr.
- Jezusie miłosierny! Ulituj się nade mną!- wykrzykuje zrozpaczona kobieta.
- Świetnie. Zapraszam do środka - oznajmia z radością święty Piotr.

Uwielbiam tę anegdotkę. Potraktowana dosłownie może utwierdzać w przekonaniu, że wystarczy tylko Boże miłosierdzie i bycie jako tako dobrym człowiekiem, żeby być w niebie. Nie do końca, bo Boga można zawsze odrzucić. Tylko szczere zwrócenie się do Niego daje efekt nazwijmy go brzydko „szansy na Niebo”. Szansą jest przede wszystkim życie tu na ziemi, kiedy próbujemy do Boga się zwracać, szukać Jego, szukać Jego ścieżek. Kiedy odrobimy tę pracę domową, jaką jest nasze życie i oddamy się Jego miłosierdziu to mamy spore szanse brylować w Królestwie u Jego boku.

Myślę, że jeśli ktoś z jakichś przyczyn nie zdecyduje się na tę ścieżkę, to dostanie koło ratunkowe, jakim jest czyściec. I nie mówię tego, żeby zachęcić ludzi do prowadzenia teraz *dolce vita* czy *dolce far niente*, bo jeśli jest Bóg to dostanę drugą szansę i wtedy będę się martwił. Może dostaniesz. Nie wiem na pewno. Tylko, że ta szansa będzie miała gwiazdkę, pod którą będzie właśnie dopisek: czyściec.

Czyściec w moim rozumieniu to taka myjnia duszy. Jeśli tu na ziemi nie pozwalasz się wewnątrznie szorować, nie ćwiczysz w uczynkach, nie pielęgnujesz wiary, nie współpracujesz z łaską, to twój wewnętrzny blask zamiast świecić coraz jaśniej w miarę zbliżania się do śmierci, po prostu blednie. Tylko czysta dusza może oglądać Boga twarzą w twarz. Zatem w moim przekonaniu, im większą robotę wykonamy tu na ziemi, im bardziej będziemy z pomocą Boga pielęgnować ten blask, to z tą czystością przejdziemy na drugą stronę prosto w ramiona Ojca. Oczywiście to tylko moje wyobrażenie tej sprawy, dość uproszczone.

Jednak jestem pewna jednej rzeczy odnośnie czyścica, a wynika ona z moich skromnych doświadczeń, ale przede wszystkim z doświadczeń osób, świętych, jak choćby wspomnianej świętej Faustyny czy świętej Gertrudy, które są pewne, że dusze w czyścicu cierpią o wiele bardziej niż my na ziemi. W kontekście cierpienia ziemskiego mam co nieco do powiedzenia, więc co znaczyłoby jeszcze bardziej?

Wyobraźmy sobie, że umieramy, jeśli jesteś niewierzący wyobraź sobie przez chwilę, że masz jednak duszę, która po śmierci spotyka na chwilę swojego Twórcę. Okazuje się, że jest On czystą i bezwarunkową Miłością, wszechogarniającą Radością, dawcą prawdziwego szczęścia i pokoju. Zatapiasz się w Jego ramionach. On cię wita, a ty mówisz sobie: O jednak istnieje! O rzeczywiście nie ma nic lepszego! O Eureka i tak dalej. Odkrywasz Boga i wiesz, że nic już was nie rozłączy, że chcesz z Nim być i kochać Go, jak On kocha ciebie.

Niestety tu pojawia się ta wspomniana gwiazdka przy tej szansie. Ojciec mówi, że się cieszy niezmiernie, że zdecydowałeś się jednak z Nim być w Niebie, tylko, że musisz poddać się zabiegowi, żeby twoja dusza mogła się do tego przygotować, żeby to obcowanie nie było bólem z powodu twojej niedoskonałości, a miłością i radością. Z lekkim niepokojem, ale czując, że nie ma wyjścia, bo już wiesz, że chcesz z Nim być, mówisz: dobrze zgadzam się i może po raz pierwszy w życiu deklarujesz swoje: *fiat*.

Wtedy odsyła cię do czyścica, który jest cierpieniem, bo poznałeś już Bożą miłość, ale na jakiś czas zostałeś od niej oddzielony. To tak jakby ktoś wrzucił cię do ciemnego lochu i przez wiele lat nie oglądałbyś słońca. W takim miejscu masz bowiem robotę do wykonania, zaległości do odrobienia. W tym miejscu przerabiasz swoje życie, ale w nagiej prawdzie.

Widzisz siebie, takim jakim jesteś, czyli grzesznym. Twoje mniemanie o sobie zostaje skruszone, zostajesz obdarty z masek. Wszystko, co było ukryte, każdy zły czyn staje ci przed oczami, a ty warstwa po warstwie w tej nowej rzeczywistości, płacząc z tęsknoty za Miłością, za

Bogiem którego poznałeś przed chwilą ogałaczysz się ze swojego fałszywego ja. Do tego dochodzi pojednanie ze wszystkimi osobami, którym zawiniłeś albo musisz wybaczyć ich przewiny. Być może na nich trzeba poczekać, aż same umrą.

Ten smutny i tragiczny obraz ma jednak swój *happy end*, którym jest Niebo. Wspominałam, że jak Duch Święty walnął mnie i mną o ziemię to pokazał mi moje grzechy w ciągu całego życia. Mówiłam jak bardzo cierpiałam przed spowiedzią generalną, jak fatalnie się czułam. Czułam się tak, a przecież przechodziłam przez to w Jego Obecności, z Jego wsparciem, ze wsparciem spowiednika. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak podobne, ale zdwojone cierpienie czekałoby mnie w czyścicu z powodu rozliczania swojej przeszłości przed samą sobą.

Dlatego tak bardzo zależy mi, żeby trafić do Nieba. Choć nie mogę zasłużyć, mogę się starać i o całą resztę prosić Ojca: Ty zrób to we mnie, żeby wydarzyło się w mojej duszy Niebo. W końcu znam Wolę Ojca, a może ściślej mówiąc zbliżam się do niej, bo poznaję ścieżkę chrześcijanina. Jestem w grupie, której wiele dano i będzie się od niej wiele wymagać (zob. Łk 12, 47-48). Jednak jestem przekonana, że gra jest warta świeczki, a nawet elektrowni.

**„Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku,
aby świeciło wszystkim, którzy są w domu”.**

Mt 5, 15

Do tematu czyścica myślę, że jeszcze kiedyś powrócę, bo jest mi on bliski, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie. Chciałabym jednak w tym miejscu zahaczyć o przywołany temat światła. Pojawia się ono raz po raz w mojej opowieści. Lubię to słowo, bo bardzo przemawia do moich zmysłów. Odniosę się tu do mojego felietonu, który popełniłam na samym początku mojego pisania, a który był dla mnie ważny w kontekście mojego powołania do roli chrześcijanina. Myślę, że to dobre miejsce, aby zacytować samą siebie, a niekoniecznie parafrazować.

„...czytam proste tłumaczenie znanego fragmentu nauczania Jezusa o świetle (czyli kim mają być chrześcijanie): „Wy jesteście światłem świata. Nie da się ukryć miasta, które leży na górze. Nie zapalają też lampy, by ją postawić pod garnkiem. Światło umieszcza się na świeczniku, skąd obecnym w domu świeci najskuteczniej. Tak niech i wasze światło świeci wobec wszystkich. Niech ludzie zobaczą wasze szlachetne czyny i wielbią waszego Ojca w niebie” (por. Mt 5, 14-16). (...) Ewangelia Mateusza podaje wyraźnie, że jako uczennica Chrystusa- chrześcijanka, jak dumnie o sobie twierdzą, mam w sobie Jego światło i moim obowiązkiem jest świecić nim dla innych.

Świecić wszystkim, ale przede wszystkim w domu dla najbliższych i to przesłanie wydaje się w miarę... jasne. Pozostaje bardziej enigmatyczne stwierdzenie świecić najskuteczniej.

Jakie jest najskuteczniej świecące światło? (...) Światło, które świeci najskuteczniej to pewnie takie, które nie świeci za mocno, nie razi i nie rozprasza innych, ale im towarzyszy. Jest intensywne i w jego promieniach widać wszystko, ale patrzenie na niego nie boli. Skuteczne to też niezawodne. Nie przestanie nagle świecić, nie zacznie irytująco mrugać albo brzęczeć jak jarzeniówka. Nie zdmuchnie go byle wiatr, jak świeczkę, nie przepali go byle zwarcie, jak tanią żarówkę. W końcu nie będzie się za każdym razem rozświetlać przez kwadrans, tak jakby go wcale nie było. Najskuteczniejsze światło to światło idealne, które zawsze jest we właściwym miejscu, świeci we właściwym czasie i we właściwym kierunku.

Dopełnieniem charakterystyki tego światła jest Ewangelia Łukasza: „Nikt nie zapala lampy i nie stawia jej w ukryciu ani pod garnkiem. Stawia się ją na podwyższeniu, aby ci, którzy wchodzą korzystali ze światła” (por. Łk 11, 33). Kolejna rzecz związana ze światłem to zatem korzystanie z niego. (...) Korzystam i już. Wcale nie zauważam tego.

Otrzymuję zatem w moim odczuciu kompletną wskazówkę: najskuteczniejsze światło, z którego można korzystać. Te charakterystyki w jakiś sposób wydają się pełne i dobrze określają rolę światła, ale też mnie jako chrześcijanina: świecić światłem Jezusa, nie razić i nie kląć w oczy, nie dzielić na ciemną i jasną stronę mocy, tylko oświetlać drogę każdemu, wyraźnie pokazując kierunek do Niego. Ponadto irytująco nie brzęczeć, ani nie mrugać, tylko być od tego do czego światło jest stworzone, do bycia sobą (...).

Z pozoru zatem światło nic takiego nie robi. Ono po prostu jest sobą. Ale żeby być w pełni sobą musi przecież mieć dostęp do właściwego źródła prądu lub paliwa. Czyli, żeby jaśnieć Jego światłem, muszę być w relacji z jedynym prawdziwym Źródłem- Światłem Ducha Świętego. Wtedy pobierając energię ze Źródła, oddaję Jego blask, bo On jest we mnie. Zatem jeśli daję świecić w sobie Duchowi Świętemu, On prowadzi mnie przez te wszystkie trudne sytuacje i relacje. Daje rozpoznanie niezbędne do niesienia komuś pomocy. Zatem jako dumna chrześcijanka jestem podłączona do Ducha Świętego, którego zsyła Bóg, po to abym zajaśniała światłem Chrystusa i była przekąźnikiem Jego łaski dla innych...”

To Jezusowe odniesienie i porównanie chrześcijanina do światła ma w sobie piękno i prostotę, ale też głębię, którą być może nieporadnie starałam się oddać w powyższym wpisie. Oczywiście sama chęć bycia światłem nie wystarczy. Czeka na mnie tragiczna pułapka, która

dopada mnie raz po raz. Ta pułapka to ja sama, moje zachowanie, moje myśli i słowa. Ile razy one wcale do Boga nie przybliżają, nie kierują w Jego stronę. Ile razy nie panuję nad sobą.

Pociesza mnie jednak myśl, że gdybym miała być ideałem to... byłabym nim. To, że mam krótki zapłon i często bliżej mi to ładunku wybuchowego niż pięknego, designerskiego, a zarazem użytecznego żyrandola, jest chyba normalne. Choć walczę z pokusami, staram się służyć ludziom i bliskim, to często to moje światło ląduje jednak pod garem. Co wtedy robić?

Po pierwsze pomodlić się do Ojca, żeby wziął ten gar z głowy, podniósł z podłogi i pouczył co dalej robić. Jak z przewracającym się dzieckiem, które uczy się chodzić. Rodzic wie co robi i po to są we mnie te przeszkody, te rzeczy, które sprawiają, że moje światło przygasa, także dla innych, żeby mogła zwracać się do Niego, bo w końcu, jak pisał święty Paweł: „...lecz [Pan] mi powiedział: Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa” (zob. 2 Kor 12, 9).

Muszę sobie wciąż przypominać o tym, że także ościem w ciele czy psychice może mieć zbawcze działanie i prowadzić do Boga. Powinnam przyjmować go z wdzięcznością i jak pisze Szaweł dać działać we mnie mocy, która jest silniejsza niż moje słabości, niż ja sama o oświecła wszystkie ciemne zakamarki duszy.

„...twoja wina jest zmazana, zgładzony twój grzech...”

Iz 6, 6

Ostatnio, jadąc przez dłuższy czas samotnie samochodem, użalałam się nad sobą, swoimi słabościami i jęczałam Ojcu, że nie mogę żyć ze swoimi wadami, zwłaszcza z ogarniającą mnie raz po raz złością, niecierpliwością w stosunku do najbliższych, rozdrażnieniem. Opowiadałam Mu, jak to te moje grzechy powszednie, słabości nad którymi nie jestem w stanie w żaden sposób panować oddzielają mnie od Niego. Jak to sprawiają, że nie jestem dobrym człowiekiem, dobrą matką, dobrą żoną, dobrą chrześcijanką i jak bardzo jestem bezsilna wobec moich wad.

Mówiłam, jak strasznie marzę o tym, żeby w stresujących sytuacjach spływał na mnie taki wewnętrzny spokój, taka święta obojętność w połączeniu z mądrością płynącą od Niego. Prosiłam, żeby oddalił pychę ilekroć mam pokusę czuć się lepsza od innych, zaopatrzył mnie w Jego Światło, słuchające serce i pokój, który najlepiej, żeby bił ode mnie na odległość, niczym blask straganu z choinkowymi światełkami.

Często moje spowiedzi koncentrują się wokół oskarżania siebie o te słabości związane z relacjami z innymi. I nie chodzi o to, że okazanie dzieciom złości, wywrócenie oczami w geście niecierpliwości, czy danie się sprowokować do niepotrzebnej wymiany zdań nie wymaga samobiczowania się i pożałowania pewnych sytuacji. Tylko wciąż mam problem z oddzieleniem mojego „ja” dziecka Bożego od moich grzechów. Wciąż zapominam, że moje zagalopowanie się, moja głupota, moje nieporadzenie sobie z emocjami, to nie jestem ja i moje jestestwo. Zapominam, że to, co mnie ma definiować to wartość i miłość, jaką daje mi Bóg Ojciec, tylko przez to, że jestem Jego ukochaną córeczką.

Na te moje samochodowe żale, szybko przyszła odpowiedź przez usta innej osoby, a dokładnie przez „mesendżera”. Dostałam od przyjaciółki fragment tekstu z Księgi Izajasza (taki odklejony, samotnie wrzucony, wycięty), której autor użala się nad sobą: „Biada mi! Jestem zgubiony! Wszak jestem mężem o nieczystych wargach i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach, a oczy moje oglądały Króla, Pana Zastępów! Wówczas przyleciał do mnie jeden z serafinów, trzymając w ręce węgiel, który kleszczami wziął z ołtarza. Dotknął nim ust moich i rzekł: Oto dotknęło to twoich warg: twoja wina jest zmazana, zgładzony twój grzech” (zob. Iz 6, 5-6).

Miałam dziwne uczucie, że to oddaje mój stan ducha, bo czy właśnie nie użalam się i nie mówię, że mam nieczyste wargi? Że nie płynie z nich słowo miłości, mądrości, a często złości? Czy właśnie nie mówiłam, że to mnie od Boga oddziela? Ciekawa jest reakcja Boga na taką sytuację. Jeden z aniołów, węglem z ołtarza dotyka ust Izajasza i udziela mu rozgrzeszenia.

Po zastanowieniu zobaczyłam, że to rozgrzeszenie nie dzieje się jedynie w spowiedzi, bo nie pasowała mi ta sytuacja do sakramentu pokuty. Zobaczyłam, że to nie tylko zmazanie grzechów, ale też namaszczenie, danie siły na nowo, w końcu zaraz po tym Izajasz zgłasza się na ochotnika, że pójdzie i będzie głosił zamysły Boga swojemu ludowi. Skoro to nie wygląda, jak sakrament spowiedzi, to to co daje oczyszczenie i co gładzi grzechy powszednie jest Komunia Święta.

Zwraca uwagę sam gest węgla zabranego z ołtarza i przyłożonego do ust. Rozżarzony węgiel, rozpalony z miłości, leżący na ołtarzu. To, jak sądzę nawiązanie do ciała Jezusa. Izajasz nie miał pojęcia o czymś takim jak ustanowienie Eucharystii, żył setki lat przed Chrystusem. Nie mógł też wiedzieć, że węgiel może reprezentować ciało ludzkie. W końcu węgiel to chemiczna podstawa życia. Jest najliczniejszy w organizmie po tlenie, jeśli chodzi o masę. Nawet jeśli nie wiedział, nie rozumiał, to przyjął to dotknięcie i to oczyszczenie.

Jeśli zatem nie radzę sobie ze swoimi słabościami i wadami to mam wskazówkę, że moje serce jest w stanie oczyszczać Komunia Święta przyjęta zmysłowo, ale też duchowo. To ona zapala mnie do nowego początku, często każdego dnia. Może warto w ten sposób pójść się „naładować” nie tylko w niedzielę, ale w dzień powszedni, bo w końcu grzechy, pokusy, wady towarzyszą mi nie tylko od święta.

„...blisko jest królestwo Boże ...”

Łk 21, 31

Mamy zatem wspaniałe narzędzia oczyszczenia, które bywa, że stosujemy niechętnie, z pewnym ociąganiem. Często widzę przede mną długą drogę do nawrócenia tych obszarów, które wymagają poprawy i wyszorowania. Wiem, że niecierpliwie chciałabym widzieć rezultat tu i teraz. Pisałam wcześniej o tym, że proces uwalniania mojego serca od widzenia efektu był żmudny. Mimo przejścia kamieni milowych, to oczekiwanie „sukcesu” zwłaszcza na modlitwie wciąż we mnie się tli, ale już mnie nie spala.

Oprócz wszystkich przykrych zdarzeń w moim życiu pokazujących pozorny brak efektywności modlitwy, oprócz lekcji od świętej Faustyny, to, co uwolniło moje serce w dużej mierze od oczekiwania rezultatu to pewne przypadkowe spotkanie pod kościołem. Rzecz miała miejsce po Mszy, w której uczestniczyłam z mężem i synami w moim rodzinnym mieście. Pod kościołem stała pani, która zebrała o pieniądze. Podeszłam do niej, ale tak jakoś od tyłu, więc dotknęłam delikatnie jej łokcia, dałam jej pieniądze, uśmiechnęłam się. Potem odeszłam kawałek dalej, gdzie z mężem i chłopcami patrzyliśmy jeszcze na rzekę, która płynie obok kościoła.

Ta pani jednak podeszła do mnie niepewnie, ze łzami w oczach. Była mniej więcej około pięćdziesiątki, ale ciężko czasami orzec wiek ludzi, tak zmęczonych życiem. W każdym razie stała się rzecz niesamowita, bo najnaturalniej w świecie przytuliłam ją, a ona położyła głowę na mojej piersi i zaczęła szlochać. A ja zaczęłam się modlić nad nią, prosząc, żeby Bóg uwolnił ją od tego, co ją więzi. Tak po prostu. Modlitwa pod, a raczej z boku kościoła. Ukryta pod drzewami scena spotkania, z daleka od gapiów. Bez mikrofonu.

Wydarzał się cud. Bóg działał nie tylko w niej, ale też, jak się okazało we mnie. Nie wiem, kto bardziej potrzebował tego spotkania. Ona odeszła spokojniejsza, a ja zostałam z ogarniającym

poczuciem, że objawiła się moc Ojca, choć po ludzku nic widocznego się nie stało. Wielbiłam Go za działanie w życiu tej kobiety, cokolwiek to było.

Zdziwiłam się swoją reakcją. Moje obawy, że uniosę się pychą, poczuję się lepsza, w ogóle nie ziściły się. Pojawiła się wdzięczność Ojcu za to, co się wydarzyło, choć nie wiedziałam do końca co to jest. Poczułam coś jeszcze. Moje oczekiwanie na znaki i cuda, jakby wyparowało, a przynajmniej skurczyło się. Dostrzegłam, że to Bóg prowadzi sytuacje, prowadzi ludzi do cudu.

Zrozumiałam także, że Jezus, jak mówił w konferencjach ksiądz Jan Kaczkowski jest personalistą. Widzi człowieka w człowieku, jego godność. Powiedziałabym także, że On spotyka się indywidualnie z człowiekiem i to indywidualne działanie daje przestrzeń do nawrócenia, daje człowiekowi świeży początek. My także powinniśmy naśladować Jezusa w tym personalnym, osobowym i indywidualnym podejściu do każdego człowieka. Jako chrześcijanin jestem Jego narzędziem i to bardzo zaszczytne stanowisko. Okazuje się, że te moje ewangeliczne, pełne szacunku, a mam nadzieję że także miłości dotyk, spojrzenie, gest czy słowo może poruszyć człowieka i zbliżyć go do Ojca.

Nie powinno to być czymś wyjątkowym. Wiem, że jest mi łatwiej, bo zostałam obdarzona czasem nadmierną (jeśli taka istnieje) wrażliwością na ludzką biedę i choć bywa to przytłaczające, jestem wdzięczna za to moje miękkie serce. Ono pozwala mi wychodzić do tych najbardziej odrzuconych. Nie potrafię ominąć obojętnie choćby człowieka żebrzącego. Wiem i często słyszę, że dają się naciągnąć, bo taki człowiek moje pieniądze przepije, zmarnotrawi i tym podobne. Tylko ja wolę zostać oszukana niż nie pomóc. Zwłaszcza, że wsłuchuję się w swoją intuicję i bywa, że potrafię „wymusić” przyrzeczenie choćby zjedzenia obiadu, które ma duże prawdopodobieństwo ziszczenia się.

Wkurza mnie, jak ludzie mnie strofują, że nie powinnam, że bezdomni to darmozjady, że tak im jest dobrze, że jak coś to powinnam im jedynie jedzenie dawać. Jak trzeba, to daję i jedzenie i ubranie, ale mogę także podzielić się z nimi pieniędzmi i będę to robić, póki będę je mieć. W końcu to moje pieniądze i mogę sobie robić z nimi co chcę. Żadne argumenty o mojej naiwności i imputowanie oszustwa czy cwaniactwa „tamtych”, nie przekonają mnie. A już najśmieszniejsze co słyszę, to że są instytucje, które się zatroszczą o tych ludzi i oni świetnie o tym wiedzą, tylko prowadzą na własne życzenie tak wygodne życie żerując na innych na ulicy.

Pewnie są instytucje, bo sama w jednej działałam i pewnie niektórzy wiedzą o tym i pewnie niektórym się nie chce, ale z reguły jest potrzebna pomoc doraźna w postaci przywrócenia choćby

na chwilę jakiegoś poczucia godności człowiekowi. Tą doraźną pomoc każdy z nas może nieść i taka nasza, indywidualna, nieinstytucjonalna ma największą moc. Czasem chodzi o pogadanie z potrzebującym wysłuchania, nawet jeśli jego opowieść jest grubymi nićmi szyta, a czasami o zaufanie mu i powierzenia tej dychy na pierogi lub wejście z nim do sklepu i zaopatrzenia w strawę, a czasami chodzi o spontaniczne podarowanie swojej czapki, jak jest zimno.

Czy jak pomagam to mam lepsze samopoczucie? Czasami. Raczej gdybym nie pomogła miałabym fatalne. Czy robię to dlatego, żeby się poczuć dobrze? Nie. Robię to dlatego, że ten drugi mnie potrzebuje. A zatem czuję się wtedy potrzebna? Nie. Czuję się odpowiedzialna za innych, za podzielenie się tym, co mam, bo o to wielokrotnie prosi mnie Jezus. Podzielenie się przede wszystkim miłosierdziem, jakkolwiek postać nie przyjmie. Ludzie mogą sobie myśleć co chcą i wiem doskonale, że myślą, a nawet przygadają, obgadają, że dla chwały, dla próżności, dla dobrego samopoczucia. Bardzo im za to dziękuję, bo wtedy psują mi moje dobre samopoczucie z powodu pomocy, jeśli miało szansę się pojawić. Wyświadczają mi przysługę, bo zostaje sama pomoc i człowiek potrzebujący, nie zawsze miły i wdzięczny.

Właśnie w takich sytuacjach dzieją się cuda na naszych oczach, jak zaczynamy ludziom błogosławić uśmiechem, czasem, modlitwą, jedzeniem, ubraniami, pieniędzmi. Wtedy realizujemy wezwanie: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!” (zob. Mk 1, 15). Wtedy Królestwo zstępuje na ziemię. Niekoniecznie w fanfarach, przy wiwacie, na oczach tłumów, ale w serca nas, którzy go zapraszamy. Tak intymnie, indywidualnie.

„Odnów znaki i powtórz cuda...”

Syr 36, 5

Czasami jednak wydarza się coś spektakularnego. Coś, co wykracza poza nasze zmysłowe postrzeganie, poza pewien standard. Może być tak, że dzieje się to na oczach innych ludzi i szybko dostaje miano cudu, ale może być też tak, że taki wyjątkowy znak od Boga jest dedykowany jedynie dla nas i to my znamy jego znaczenie i wagę.

Takiego szczególnego znaku doświadczyłam kiedyś, wcale o niego nie prosząc, przynajmniej nie w tamtej chwili. Jednak pokazał mi on, że Ojciec zna moje serce i wie czego potrzebuję. Niedługo po śmierci Zosi siedziałam późnym wieczorem przy stole z laktatorem. Nie pamiętam, czy to był dzień jej odejścia, czy może dzień po. Fakt jest taki, że nawet jak dziecko

znika, to laktacja zostaje i przepływ mleka musi się pomału wygasić. To zdaje się szczególnie ciężki czas dla kobiety, kiedy „karmi widmo”. Ma mleko w piersiach, a niemowlęcia nie ma.

W każdym razie tak siedząc przez moją głowę przepływały pewnie setki myśli. Do tego wycieńczenie i to absurdatne odciąganie mleka, którego Zosia miała już nie wypić. Siedziałam sama w półmroku z tym upartym dźwiękiem pompy laktatora. Pewnie, drogi czytelniku jesteś sobie w stanie dość dobrze wyobrazić tę absurdatnie smutną scenę. Nagle, z tego marazmu wybił mnie wyraźny głos, tak wyraźny, że miał swoją barwę, swoją wysokość, swoje napięcie. Przeszył mój umysł i serce jednym zdaniem: - Nie martw się mamó. I zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Można zważyć na moje zmęczenie, wyobraźnię, bo ani wcześniej, ani później nie zdarzyło mi się słyszeć żadnych głosów, prócz tego wewnętrznego dialogu, który prowadzę w sercu. Jednak to było coś więcej niż głos wewnętrzny, on jakby był z zewnątrz. W tamtym momencie wzruszyłam się, może trochę przestraszyłam na początku, ale przede wszystkim poczułam dużą ulgę i spokój.

Okazało się także, że nie tylko ja odbieram jakieś niespotykane wrażenia pozazmysłowe. Krótco po tym zdarzeniu mój mąż obudził się w środku nocy i zobaczył w naszej sypialni dwa tańczące światełka, które szybko odleciały. I znowu można to wytłumaczyć wyobraźnią, wybudzeniem ze snu i tak dalej. W sumie jak każdy inny znak. Każdy możemy sprowadzić do czegoś „ogarnialnego”, racjonalnego i odebrać mu status duchowy.

Dlatego uważam, że znaki to z reguły coś bardzo indywidualnego. Najczęściej nie wydarzają się, kiedy o to zabiegamy, prosimy i szukamy czegoś konkretnego, ale po prostu kiedy tego potrzebujemy najbardziej i kiedy to Bogu zostawiamy sposób w jaki do nas dotrze. One dają nam pewność, że idziemy we właściwym kierunku, dają pewność, że Bóg ma wszystko w swojej pieczy, szczególnie to, co jest poza naszą kontrolą. Tylko osoba, do której skierowany jest dany znak, potrafi go właściwie odczytać. Tylko tę osobę potrafi on pokrzepić, wzmocnić.

Dlatego wiem, że chodząc z Bogiem realizuje się w moim życiu Jezusowa obietnica: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (zob. Mt 11, 28). Często to pokrzepienie znajduję podczas modlitwy, a jeżeli jestem zbyt „utrudzona”, żeby słuchać albo przyjąć cokolwiek, to Ojciec pośle swojego proroka, żeby mnie pokrzepił w cztery oczy albo przez internet albo w jakikolwiek inny sposób.

Indywidualizm znaku opiera się na jego pojawieniu się we właściwym miejscu, we właściwym czasie, w sposób subtelny, a jednocześnie tak mocny, że mamy chęć wykrzyknięcia:

Niemożliwe! Skąd On wiedział? Ale jak to? Oczywiście potem można sobie wmówić, że to przypadek, próbować wymusić kolejny znak, jak ci faryzeusze, których Jezus nazwał plemieniem przewrotnym, które wciąż żąda znaku. Jednak zapowiedział im, że nie dostaną znaku, jedynie znak Jonasza (czyli symbol zmartwychwstania po trzech dniach) i w zasadzie mogą sobie zrobić z tym co chcą. Więcej nie tłumaczył. W Ewangelii Mateusza jest napisane, że Jezus zostawił ich z tym i odszedł (zob. Mt 16, 4).

Widzę w tym z jednej strony nadzieję, że nawet to przewrotne plemię otrzyma znak we właściwym czasie, ale i taki sygnał ostrzegawczy, że będąc przewrotnym, czyli inaczej chytrym czy zakłamanym w tej prośbie o znak, ja i tak go mogę odrzucić. Mogę w końcu nadmiernie przywiązywać się do zewnętrznych oznak działania Boga i w chwili trudnej, niepewnej rezygnować z wiary w Niego. Jak wtedy, kiedy pojmano Jezusa. Gdzie byli ci wszyscy uzdrowieni? Gdzie ci wszyscy świadkowie, uczniowie? Oni stali się tym przewrotnym plemieniem, które otrzymało liczne znaki, a mimo to nie stanęło murem za Bogiem.

To dla mnie stanowi niepodważalny argument, że wiara w Boga absolutnie nie może być wiarą w Jego cudotwórczą wszechmoc. To tylko jeden z aspektów. To potwierdzenie spostrzeżenia, dlaczego cuda przytrafiają się jednym, a nie drugim. Po prostu, choć bardzo możemy pragnąć cudu, okazałoby się, że ten cud wcale nie sprawi, że będziemy bliżej Boga, że będziemy bardziej kochać ludzi. Dla mnie to także poniekąd wyjaśnienie wezwań: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy...” (zob. Łk 17, 6). W tym miejscu łapię się na tym, że sprowadzam tę wiarę do uwierzenia, że coś się ma wydarzyć, uwierzenia w cud, w Bożą interwencję. Czyli sprowadzam wiarę w cud to takiego wewnętrznego napięcia się i „zmuszenia”. Mam przecucie jednak, że Jezus mówi tu o prawdziwej wierze, czyli wierze w Niego- w Boga i wierze w Jemu- Bogu. A to już wyższa szkoła jazdy, czyli bycie tak blisko serca Jezusa, żeby odczytywać wolę Boga.

Jeśli kiedykolwiek dotarłabym do takiego miejsca, gdzie w pełni wierzę w Jemu, ufam Mu, to z kolei nie potrzebowałabym znaków i cudów, a pewnie też świetnie czułabym, kto i kiedy potrzebuje takiego znaku czy cudu i przewidywała ile dobrego może wnieść on w czyjeś życie. Taki stopień zjednoczenia serca i myśli z Bogiem pewnie jest możliwy, co pokazują nam przykłady świętych. Jednak, żeby go osiągnąć uważam, że nie można szukać cudów, ale samego Boga- ducha i człowieka, osoby. Dążyć do spotkania z Nim, poznawania. Tego bardzo bym chciała się uczyć.

„Bo kto pełni wolę Ojca mego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem, siostrą i matką”.

Mt 12, 50

W procesie mego nawracania bardzo mocno pociągnęła mnie prawda o tym, że Bóg pragnie relacji z nami. W końcu po to przyjął ludzką postać, żeby ta relacja mogła być namacalna, żeby pokazać, że wie co znaczy być człowiekiem, że wie co znaczą emocje, choroby, praca, obowiązki, przyjemności, jednym słowem ludzkie życie. Choć On to wiedział zawsze, to wydaje mi się że my, jako ludzie nie byliśmy pewni, że On wie, że rozumie, że kocha.

Dopiero narodziny Jezusa pokazały nam, że On faktycznie nie tylko jest, ale przede wszystkim chce być blisko nas. Wybiera nas, wybiera mnie i On chce ze mną być. Na początku mojej drogi nawrócenia to właśnie ta myśl, tak głęboko podkreślana w dominikańskich konferencjach, których wtedy słuchałam, zakorzeniła się w moim sercu. Bóg potraktował mnie, jak równą sobie. Jak członka rodziny, jak dziecko, jak siostrę, nawet jak żonę. On chce pielęgnować tę rodzinną więź i oczekuje, że ja także będę chciała. Tym jest relacja. Zawsze dwustronna. Wtedy możemy mówić o jej budowaniu.

Sądzę, że bez postawienia sprawy w ten sposób, nie poszłabym za Nim. Pewnie nie poszłabym nawet za słupem ognia i Mojżeszem, mimo że to tak spektakularne znaki. To, co mnie pociągnęło do Boga to właśnie pomysł, że On mnie chce i że zawsze możemy być razem i to bardzo blisko. Jak obserwuję Jezusa w Ewangeliach, to wyobrażam sobie, jak patrzył ludziom w oczy, zwracał się do nich po imieniu, mówił do nich, do ich duszy, serca i oni w tym momencie mieli wrażenie, jakby był im najbliższym człowiekiem na ziemi. Mieli wrażenie, że nie spotkali do tej pory nikogo, nawet w rodzinie, komu tak bardzo zależałoby na nich i chciałby z nimi być, takimi jakimi są. Jestem przekonana, że w Jego przenikającym spojrzeniu była nie tylko miłość i akceptacja, ale także pewność, że On wie, co i kogo zaprasza, jakiego grzesznika kocha. Człowiek nie musi przed Nim udawać nikogo, bo On widzi nas w całości.

To była i jest dla mnie najlepsza nowina całej Dobrej Nowiny. Oczywiście często zapominam o niej, często użalając się nad i przed sobą, jaka jestem beznadziejna, co świetnie wyraził Szymon, który na cud Jezusa, na wezwanie, aby za Nim poszedł odpowiedział: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny” (zob. Łk 5, 8). Jezus miał wtedy dla Szymona, jeszcze nie Piotra, jedną odpowiedź: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił” (zob. Łk 5, 10), a do tego zgarnął do apostoelskiej ekipy jego brata Andrzeja i najlepszych kumpli- Jakuba i Jana, także rybaków.

To mi pokazuje, że Bóg jest bliski i się troszczy. Kocha mnie, jak kochał Szymona, któremu nie powiedział: -Nie to nieprawda, że jesteś grzeszny, no co ty stary, weź nie mów tak o sobie... Bo Piotr był grzeszny, jak każdy. Jednak Jezus powiedział mu, żeby nie bał się swojej grzeszności, swojej niedoskonałości, bo idąc za Nim, On mu pomoże być lepszym. Pomoże mu kochać innych i stać się najlepszą wersją samego siebie. Tak rozumować może tylko osoba, której zależy na nas. Nie przytakiwacz, który z entuzjazmem „wspiera” każdą moją fanaberię i dostarcza puste pocieszenie. Tylko osoba, która zna moje serce, możliwości, która kieruje się miłością i chce, żebym była coraz lepsza, a jak trzeba to da mi własne plecy, żebym się po nich wspięła i trafiła do Nieba.

Dlatego Bóg przez osobę Jezusa może stać się tak bliski każdemu, nawet jeśli jesteś w tym momencie przekonany, że Ewangelia to starożytny zbiór legend, a jej bohaterem jest przywódca religijnej sekty działającej na terenie ówczesnego Izraela. Historycznie potwierdzona postać kaznodziei, proroka, ale nic więcej. Nawet jeśli myślisz, że nie wpływa On na twoje życie. Nawet wtedy, masz prawo zadać sobie pytanie, a co jeśli wpływa? Co jeśli faktycznie zmartwychwstał i do tego wybiera właśnie mnie, żeby mnie kochać, takiego jakim jestem? Czy nie korci próba odbicia nieco z tej bezpiecznej przystani ze sprecyzowanym światopoglądem światopoglądowej i zamoczenie się trochę w orzeźwiającej, czystej i nowej wodzie? Tak na początek choćby tylko delikatnie, samymi stopami...

„Wypłynąć na głębię...”

Łk 5, 4

Zanim Piotr, a w zasadzie Szymon poczuł moc Jezusa, poczuł Jego miłość, odpowiedział na wezwanie. Wypłynął na głębię i zarzucił sieci. Wtedy wydarzył się cud i wtedy rozpoczęło się budowanie relacji. Cud ten to nie „tylko” łódzie pełne ryb znikąd, ale przede wszystkim cud nawrócenia. Cud wiary, łaska wiara, o którą warto zabiegać.

Można myśleć o sobie, że nie ma się żywej wiary, że nie otrzymało się takiego daru i na tym poprzestać. Postawić granice. Taki/ taka jestem i koniec. Jednak postawa takiej mojej bierności i odrzucenia sfery duchowej, bo „ja nie umiem wierzyć” może nas pozbawić na długie lata poznanie niesamowitych rzeczywistości. Wiem, o czym mówię, bo ta bierność towarzyszyła mi przez większość dotychczasowego życia. Dopiero, jak zaczęłam zadawać pytania, czytać Pismo Święte,

słuchać ludzi wiary, okazało się, że takie wybiecie z tej postawy i same moje chęci sprawiły, że Bóg odpowiedział: Chcesz jednak wierzyć? No to masz. Łaska nawrócenia. Za darmo.

Zwraca moją uwagę to, że także zanim Szymon uwierzył, to posłuchał Jezusa mówiącego, żeby wziął cztery litery w troki i jeszcze raz wypłynął w miejsce, gdzie pozornie nic nie ma. Szymon ekstremalnie zmęczony, zdesperowany (musiało być coś na rzeczy, skoro łowił całą noc...), pewnie bez nadziei, popłynął jeszcze raz w to samo miejsce.

Pomyśl co może być takim miejscem dla ciebie. Dla mnie powrotem w miejsce, które podpadało pod określenie „nic tu nie ma ciekawego, było miejsca była lektura Pismo Święte, jego lektura. Od tego zaczęłam. Takie ogólnie znane, dostępne i bywa, że omijane lub jedynie podczas katechez w szkole fragmentami przytaczane. Oprócz Pisma Świętego, kolejnym miejscem była świątynia i powrót na Eucharystię. Tylko tym razem nie było to bezmyślne chodzenie do kościoła, tylko próba uczestniczenia we Mszy Świętej. Powiedzenie Bogu: jeśli tu jesteś i mnie zapraszasz, choć kiedyś nie znajdowałam tu nic wartościowego, to na Twoje słowo zarzucam te sieci i zaczynam połów kolejnych stron Pisma i kolejnych elementów Eucharystii. A Ty rób swoje.

Jak już wiesz drogi czytelniku w moim wypadku, takie podejście do sprawy zakończyło się sukcesem. Otrzymałam łaskę żywej wiary. Ojciec rozpałił we mnie ten ogień zgaszony przez lata. Nieprzypadkowo jednym z symboli Ducha Świętego jest ogień właśnie. To języki ognia, które spoczęły na apostołach sprawiły, że ruszyli z miejsca. Duch Święty dał im, jakbyśmy teraz powiedzieli „pałera” do głoszenia Ewangelii, do przekazywania ludziom zaproszenia do relacji z Jezusem, zaproszenia do wiary (zob. Dz 2, 3-4). Żyję dwa tysiące lat później i ten ogień nadal spada na nas, na chrześcijan i prowadzi nas w stronę innych, a przede wszystkim w stronę Boga.

Nie tylko ogień. Kolejnym symbolem Ducha Świętego jest woda, jest też powiew wiatru, ale i dla mnie ziemia, proch z którego symbolicznie powstał człowiek, powstało życie. I jestem daleka od utożsamiania Ducha Świętego z czterema żywiołami czy matką naturą, choć po hebrajsku *Ruah*, czyli Duch Święty jest faktycznie rodzaju żeńskiego i szkoda, że w naszym języku Duch jest przynajmniej jeśli chodzi o rodzajnik męczyzną. Nie zmienia to faktu, że ta symbolika oznacza, że jest On po prostu wszędzie, że przenika nas i cały wszechświat.

Oczywiście jestem za mała teologicznie, żeby pokusić się o przedstawianie mojego rozumienia Trójcy Świętej, ale to czego jestem pewna, choć tego nie pojmuję, jest w tym wszystkim niesamowity dynamizm oparty na miłości i relacji. Dzięki Duchowi Świętemu sami możemy

budować własną relację z Jezusem i Bogiem Ojcem, a dzięki Nim Duch Święty jest naszym Ożywicielem, Pocieszycielem i Przewodnikiem, Kimś najbliższym.

I w ten dynamiczny, życiodajny krąg miłości wchodzimy, kiedy jak Szymon dajemy się zaprosić. Okazuje się, że skoro Duch Święty jest wszędzie, to nie musimy daleko szukać także Jezusa i Ojca, bo „Bo w rzeczywistości jest On niedaleko od każdego z nas” i możemy Go odnaleźć po omacku (zob. Dz 17, 26-27). Poszukiwania Boga, wiary, odpowiedzi na pytania nie mają jednak nic wspólnego z rutyną i nadal twierdzą, jak opisywałam to wcześniej, że wiara jest pierwsza, a religia w dalszej kolejności. Bez siebie nie istnieją, ale to wiarę musimy otrzymać najpierw, bo inaczej chodzenie do kościoła jest jedynie chodzeniem, a nie uczestniczeniem w Eucharystii, a jedzenie ciała Chrystusa jest tylko jedzeniem, a nie uczestniczeniem w Jego ofierze i zmartwychwstaniu.

Jeśli jesteś osobą, która po prostu chodzi do kościoła i jako tako pilnuje Dekalogu, tak z przyzwyczajenia, z tradycji albo pod presją otoczenia czy każdego innych przyczyn niż chęć bycia z Jezusem, którego poznałeś, to może ci być trudno wiarę odnaleźć. Jeśli natomiast zaczniesz realnie szukać i skierujesz swoje prośby do Boga, zakładając, że On jest rzeczywisty, to On tobie tę łaskę wiary da. On chce, żebyś go odnalazł. Jeżeli w to wątpisz, to usiądź do modlitwy, otwórz Pismo Święte, dowiedz się także się wydarza na Eucharystii i spróbuj ją przeżyć świadomie. Powiedz Bogu w tym wszystkim. Powiedz, że chcesz Jego, że chcesz Go poznać. Wystarczy akt naszej świętej wolnej woli. A jeśli stracisz pewność siebie, to zawsze możesz powiedzieć, że ja cię przysłałam i tak powiedziałam, a nawet dostarczyłam na piśmie, że masz dostać łaskę i tyle. Szukaj, pukaj, jak trzeba to krzycz, a ci otworzą (zob. Łk 11, 9).

Czasami może nas ogarniać zniechęcenie i myśl z kategorii „Czy może być co dobrego z Nazaretu?” (zob. J 1, 46). Ja także wracam często do podstawowych wątpliwości, ale zawsze mogę sobie przypomnieć zmęczonego, wkurzonego Piotra, który po raz kolejny ma płynąć w to samo miejsce, gdzie nie ma niczego cennego, nie ma ryb. Był, widział i wie, że tam serio nie ma niczego. Okazuje się jednak, że nie tylko są ryby, ale jest coś jeszcze bardziej wartościowego: wiara. A z nią dopiero możemy rozpocząć prawdziwe eksplorowanie głębi.

„Lecz na widok silnego wiatru uląkł się i gdy zaczął tonąć, krzyknął: Panie, ratuj mnie!”

Mt 14, 30

W swoim doświadczeniu wiary mam czasami poczucie, że się cofam albo stoję w miejscu. Tak jakbym odbiła już na znaczną odległość od bezpiecznej przystani, ale nagle zatrzymała się, „zawisła” w wodzie. Wtedy zdaje się, że ta woda dookoła mnie to już nie Duch Święty, ale zaczyna być pełna złych duchów, które podpowiadają „genialne” rozwiązania, podrzucają „rewelacyjne” wręcz pomysły.

Pomysłem numer jeden, odkąd przeszłam na jasną stronę mocy jest to, że to co robię jest bez sensu. Po prostu, nie ma celu. Chodzi tu o moje pisanie, czy czasami głoszenie albo po prostu rozmawianie z ludźmi i zapal do przekazywania wiary dalej. Dopada mnie poczucie, że to strata czasu i być może nie tego chce ode mnie Ojciec. Taki duch rezygnacji podpowiadający, że nikomu ta moja pisanina blogowa, czy gadanina pozablogowa się nie przydaje, a może wręcz robi więcej złego niż dobrego.

Pomysłem numer dwa jest to, że nie jestem wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, że wcale nie jestem najukochańszą córką Ojca, tylko jestem szarą myszą i na pewno z kolejki do Nieba mnie wyrzucą albo po prostu o mnie zapomną. Najlepsze co mogę zrobić to żyć sobie skromnie swoim życiem, nie wychylać się, bo i tak mnie Góra nie zauważa, nie docenia i tak dalej. To taki duch marności nad marnościami, beznadziei. On tak podstępnie zaczyna od niewinnych pomysłów, które zawsze kończą się na patologicznym rozumieniu pokory, a się błotem i użalaniu się nad swoją beznadzieją.

Pomysł numer trzy to istny hit wśród wszystkich „genialnych” diabelskich sztuczek, czyli myśl, że Boga nie ma. Taki powrót do korzeni w moim wypadku. Jak Boga nie ma, to już wszystko jest bez sensu i nie wymaga komentarza. To duch zwątpienia i rozpacz. Czasami zapowiada ciemną noc, czy pustynię, czyli dłuższy okres poczucia oddzielenia od Ojca.

Jest oczywiście dużo więcej złych duchów, ale opisuję najczęściej dopadające akurat mnie, bo w końcu to historia osobista. Jakikolwiek jednak by nie czyhał na nas i nasze słabości, to mamy świetną broń. Z pozoru wydaje się nie mieć znaczenia i mocy, a wręcz bywa, że działa na naszą niekorzyść i nas gubi w różnych momentach naszego życia albo współpracuje z ciemną stroną, ale ona istnieje i ma nam służyć. Jest niczym energia nuklearna. Właściwie używana, z rozwagą, rozeznaniem i pomysłem sprawi, że będzie działać na naszą korzyść. Niewłaściwie używana, bez pewnej powściągliwości, zastanowienia, może sprawić, że wybuchną ja i cała okolica.

Ten największy dar, jaki otrzymaliśmy to święta wolna wola, o której już wcześniej wspominałam. Być może drogi czytelniku zwróciło twoją uwagę w jakich kontekstach. Ogólnie mówiłam o jej naginaniu do Woli Ojca oraz o przyłgnięciu jej siłą do Boga. I tak właśnie działa nasza wola. Jeśli złe duchy urządzają w twojej duszy pizama party, kusząc, podsuwając genialne pomysły i wątpliwości wszelkiego rodzaju, a często mieszając te propozycje w ekstremalne drinki, którymi chciałyby cię napoić, ty zawsze możesz powiedzieć: nie i swoją wolą zwrócić się do Boga.

Ja często robię to mniej więcej tak: „Tato (lub bardziej oficjalnie w zależności od humoru- Panie, Ojciec)! Nie ogarniam. Ty ogarnij ten bajzel, bo ja już nie wiem niczego. Jestem marna, ale jestem twoją córką, więc „kurde” (tak przyjmijmy, że to to słowo) weź coś zrób, bo ja tak dłużej nie pociągnę. Chcę być z Tobą, ale się pogubiłam. Jestem i czekam”. Jak dopada mnie taki stan, to bywa, że wraca do mnie obraz kobiety uzdrowionej po dwunastu latach z krwotoku. Mówiąc dosadnie miała wieczny okres i przez to nikt nie mógł jej dotknąć, bo według prawa żydowskiego była nieczysta (zob. Mt 9, 20) . Widzę ją jako siebie klęczącą na ziemi i kurczowo trzymającą się frędzelka zwisającego z płaszcza Jezusa. Wiem, że tamta kobieta, tylko dotknęła frędzla, ale ja się go kurczowo trzymam i to jest właśnie siła wolnej woli. O tym jednym mogę zdecydować, czy puścić, czy nie puścić.

To już jest dla złych duchów podsuwających wątpliwości zwykle za dużo i zaczynają mieć kaca i idą dalej. Ciekawym pytaniem jest, jak długo może trwać to trwanie jedynie naszą wolną wolą przy Bogu, stanie w miejscu, w pustce lub w zamieszaniu. Jedyłą słuszną odpowiedzią wydaje mi się odpowiedź: tak długo, dopóki Ojciec nie stwierdzi, że potrzebujesz, żeby kucnął i podał ci rękę, porozmawiał z tobą, a nawet uratował od utonięcia czy wyleczył z krwotoku. *Chronos*, czyli dosłowny czas nie ma tu nic do rzeczy. Może to być pięć minut, pięć godzin, pięć dni, pięć miesięcy, pięć albo dwanaście lat. Tu liczy się *kairos*, czyli właściwy moment, odpowiednia pora, ta konkretnie, a nie inna.

Trudne, wymagające zaufania, ale bezruch może nam wiele przynieść. Sama się o tym przekonałam przechodząc przez kilkumiesięczną pustynię, którą opisywałam wcześniej. Nie jesteśmy bezbronni i możemy używać naszej energii nuklearnej w postaci woli, w postaci wyboru tego uchwycenia się Bożej mocy, nawet, jeśli jej nie widzimy w danym momencie, nie czujemy, bo czarne chmury przysłaniają nam widok.

Często ten uchwyt musimy odnawiać dzień po dniu. Dobrze jeśli naszą pierwszą myślą o poranku, zaraz po przebudzeniu, a także ostatnią przed zaśnięciem jest Ojciec. Staram się tego trzymać. Niezależnie czy moja modlitwa jest długa czy krótka, niezależnie jaką ma formę, bo

chodzi o wolę przybliżenia się do Jezusa, do Ojca, do Ducha Świętego. Wiem, że Ci trzej ą mnie uratować z każdej opresji, słabości, grzechu czy wątpliwości. Pomoc zawsze nadchodzi w swoim, właściwym czasie.

„...módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu...”

Mt 6, 6

To stwierdzenie: wszystko w swoim czasie, mam wrażenie, że jest ulubioną deklaracją, którą kieruje do mnie Ojciec. Może to taki sposób na uczenie mnie cierpliwości. Pewnie w swej mądrości On wie, że mój proces dojrzewania w wierze potrzebuje określonego czasu, określonych wydarzeń i sytuacji. Wie, że pewnych rzeczy nie przeskoczę, choćbym bardzo chciała.

Czy to znaczy, że mój entuzjazm chrześcijanina gaśnie? Nie. Od tych kilku lat, mimo trudnych momentów, lekkiego przygaszenia, ten entuzjazm jest raz po raz podsycany. Po pierwsze dzięki wielu boskim interwencjom. Po drugie, to co mi pomaga to wytrwałość i przełączenie się w tryb wierności, która powoduje, że nie zaniedbuję modlitwy, sakramentów czy lektury Słowa. Mogę nie mieć siły pisać, mogę nie mieć siły spotykać się z ludźmi, ale trzymam się przynajmniej tego minimum: sakramenty, Pismo Święte i modlitwa.

One owocują głębszym rozumieniem, poznaniem, one odnawiają moje siły, żebym w końcu była gotowa, aby działać. Myślę, że każdy potrzebuje naładowania akumulatorów, żeby być dobrej jakości światłem dla innych. Mam w swoim rezerwuarze doświadczeń takie, które powodowały, że zbyt wiele na siebie brałam, na zbyt wielu frontach spalałam się, bo myślałam, że Bóg chce mną posługiwać się na maksa. To nie znaczy, że to były złe działania. Nie. One wszystkie były realizowaniem Ewangelii na co dzień. Chodziło raczej o ich zbyt wielką ilość.

Porywając się na napisanie tej historii, najpierw musiałam zrobić kilka kroków w tył, przystopować i przyjrzeć się sobie. Pomogło mi w tym niestety albo „stety” wspomniane załamanie się mojego zdrowia. Pokazuje mi to, że zawsze trzeba znaleźć złoty środek i że każdy jest stworzony z zupełnie innymi predyspozycjami, talentami i czasami „oczekiwania” Boga mogą być takie, że skupisz się na jednej rzeczy, która On wie, że jest potrzebna najbardziej tobie i innym.

Dojrzałam do myśli, że nie muszę ogarniać wszystkich problemów tego świata, bo świat już został zbawiony i żadna w tym moja zasługa. Nie odmawiam nikomu pomocy, ale z hiperaktywnej poszukiwaczki potrzebujących i zagubionych owiec zamieniłam się raczej w przyjazną zagrodę, do

której owca może wpaść, pobeczeć, czy co tam jest owcy do szczęścia potrzebne. Ojciec wie w jakiej formie fizycznej i psychicznej jestem obecnie, ale On sobie z tym radzi i robi to naprawdę wspaniale.

Modłę się ostatnio mówiąc, że nie mam siły biegać do ludzi, przygarniać ich, angażować się w tyle spraw co wcześniej, ale jak chce to niech mi ludzi przyprowadza, a ja po prostu będę uważna. Okazuje się, że właśnie tak robi. Okazuje się, że różnych przypadkowych spotkań niedaleko domu albo w nim mam wystarczająco. Uczą mnie one, że w „robieniu” Ewangelii liczy się jakość, nie ilość. Uczą mnie poświęcenia więcej uwagi konkretnym osobom, czy to synom, czy mężowi, czy sąsiadce. Przestaję być w biegu. Słucham, zadaję pytania, staram się pomóc.

Z tej perspektywy jestem faktycznie wdzięczna za to, że Ojciec wie co dla mnie najlepsze. Pomaga mi odkrywać to, że On widzi w ukryciu, że działa w ukryciu. Uczy mnie słuchać serca i Jego głosu w nim. I nadal uczy mnie cierpliwości, w stosunku do innych, ale też do siebie. Oducza mnie realizacji swoich wspaniałych planów i pomysłów, a proponuje zatrzymanie się, oddychanie i chłonięcie tego, co się dzieje. Nigdy bym nie przypuszczała, że mogę tak zwolnić, a mimo to pozostać w jakiś niezwykle sposób aktywna.

Zatem krótko po mojej zdrowotnej zapaści czekała mnie zmiana trybu życia, zwolnienie aktywności i właśnie nauka odpoczywania. Niestety ten newralgiczny punkt, jakim był pobyt w szpitalu z powodu zapalenia płuc nie do końca przekonał mnie do zadbania o siebie, swoją psychikę i ciało, choć ono przecież jest świątynią Ducha Świętego (zob. 1 Kor 6, 19). Niedługo po wyjściu ze szpitala zaczęłam się udzielać zawodowo, zwłaszcza, że był ku temu dobry powód.

Wkrótce po moim powrocie do domu rozpoczęła się narodowa kwarantanna z powodu pandemii koronawirusa, która sparaliżowała także pracę naszej firmy. Mimo, że ogarniałam życie domowe, chłopaków oraz rzeczy firmowe z domu, nawał spraw i trudnych sytuacji, decyzji i po prostu złe samopoczucie po ciężkiej chorobie zaczęły mnie przytłaczać. Nie potrafiłam się odciąć od pracy, działalności charytatywnej, nie potrafiłam dać sobie na wstrzymanie. Nie potrafiłam z czegoś zrezygnować.

Po śmierci czy to Frania czy dziewczynek także dość szybko wracałam do pracy i codziennych zajęć. Wydawało mi się to dobrym środkiem zaradczym. Takie brnięcie do przodu mimo wszystko. Nie korzystałam także, prócz kilku konsultacji psychologicznych z żadnej formy wsparcia psychologicznego. Kiedyś moja mama określiła mnie i mojego męża, jako takie dwa przecinaki, co tną do przodu bez zatrzymania. Myślę, że to słuszny obraz. Myślę też, inaczej niż

wtedy, że to wcale nie jest powód do dumy. Energia się kiedyś kończy w tak mocno eksploatowanej maszynie po przejściach. Jak nie padnie jej silnik, to padnie coś innego.

Okazało się, że załamujące się zdrowie, pobyt w szpitalu, nawrót choroby, nie odniósł rezultatu w postaci skierowania mojej uwagi na to, że coś jest nie tak. Dopiero, kiedy dopadł mnie nagły i niepodziewany atak niepokoju, który spowodował problemy z oddychaniem, chwilowy paraliż rąk i języka, zaczęłam mieć obawy, że tym razem moje życie nie będzie mogło toczyć się dotychczasowym tempem. To przeciążenie układu nerwowego wszystkimi traumami w ciągu minionego półtora roku, sprawiło, że nie tylko moje ciało, ale i mój umysł odmawiał życia na takich obrotach.

Zdecydowałam się ograniczyć do minimum działalność charytatywną, odciąć od pracy tak totalnie, korzystając ze zwolnienia lekarskiego i rozpocząć psychoterapię. Obecnie trwam w tym okresie wycofania się w stronę życia domowego, rodzinnego z niewielką przestrzenią dla „obcych” i czuję coraz większy spokój. Pomalutku wracam do sił, do równowagi. Tym razem nie chcę tego robić zmuszając się do ruchu, ale do większego bezruchu. Chcę się dać w tym poprowadzić ludziom, którzy znają się na moich dolegliwościach, ale przede wszystkim Ojcu, bo On wie, czego mi potrzeba.

Po raz pierwszy, odkąd zdobyłam pierwszą dorywczą pracę w wieku lat trzynastu, nie mam w sobie presji, że muszę tyrać. Okazało się, że bycie kurą domową jest naprawdę fajne. Okazało się, że w domu zawsze jest co robić. Okazało się, że nie mam wyrzutów sumienia, a czas wypełniają mi głównie obowiązki domowe, modlitwa i pisanie.

Co najważniejsze mam poczucie, że w tych prostych formach działania, lokalnych jest Ojciec. Mam poczucie, że Jemu naprawdę podoba się to, co robię w tej chwili. Cieszy się, że w końcu ogarnęłam się i podjęłam radykalną decyzję o zadbaniu o siebie. To takie oczywiste, że jak się wykończę albo spalę za szybko, to nic już więcej nie zrobię, ale czasami po prostu trudno jest przerwać ten wieczny bieg. Oczywiście można marnotrawić swój czas, ale tak samo można marnotrawić energię i nerwy. Nie można dopuszczać do jednego, ani drugiego.

Mimo przykrych przeżyć i słabej kondycji jest we mnie optymizm. To jak ta metafora oceanu, którą ostatnio przypomniała mi moja serdeczna koleżanka. Na powierzchni burzą się fale, mniejsze większe, bardziej i mniej groźnie, ale większość wody leży spokojnie poniżej tych fal. I to jestem ja. Ten ocean. Głęboki i te głębiej przenika spokój, a to co się kotłuje, poddaje burzom i wiatrom to tylko niewielka moja część. Ważne dla mnie jest wczytywanie się w Słowo, słuchanie

głosu Ojca, który do tej głębi i z tej głębi przemawia, choć często nie mam pewności czy to On, czy moje własne wyobrażenia. Jednak On staje się realny, gdy patrzę na Niego, bo wiem, że On patrzy na mnie. W szczególny sposób ostatnio wsparciem w codziennych zmaganiach staje się dla mnie Miriam z Nazaretu.

„Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu”.

Łk 2, 19

Jako matka, która doświadczyła straty dzieci, ale też jako matka tych moich ziemskich „dzikich stworów”, jak mam w zwyczaju nazywać moich chłopaków, często się martwię, boję o nich. U mnie to uczucie jest spotęgowane pewnie przejściem przez realne zagrożenie, ale śmiem twierdzić, że ta obawa o dzieci jest w każdej matce i to szczególnie w matce, a nie w ojcu. Jest to wyraz naszej matczynej troski, z którą trzeba uważać żeby nie przesadzić. Tej troski potrzebowaliśmy od naszych mam jako dzieci, ale też potrzebujemy jej wciąż. Tej prawdziwej, płynącej z miłości, nie przysłoniętej obawami i lękami, a jedynie pryzmatem dobra dziecka.

Często o okazanie troski, o przytulenie proszę Ojca, proszę Jezusa. Myślę, że jedną z odpowiedzi na tę potrzebę jest pokazanie mi Maryi, jako młodzianki Miriam z Nazaretu. Widzę ją moimi wewnętrznymi oczami, jako prześliczną nastoletnią dziewczynę, o śniadej cerze, wesołych ciemnych oczach, z których po prostu bije życzliwość i miłość. Ona jest zawsze obok, zawsze uśmiechnięta i ma w sobie coś, co mogłabym określić, jako niespotykaną świeżość. Sięga mi ledwo do ramienia, ale to Ona jest w stanie mnie obronić, przytulić, pocieszyć, ale też poprowadzić, wskazać kierunek.

Ta rodząca się między nami więź jest dla mnie nowością. Do tej pory, jako osoba mieszkająca w Polsce, miałam o Matce Bożej wyobrażenie niczym z obrazu w Częstochowie. Za kratami, w złocie, na piedestale, w oddzieleniu. I te wszystkie przydomki, koronacje i inne wydarzenia uważam, że trochę nam odczłowieczyły Maryję. A przecież, jak pisałam wcześniej życie to głównie Nazaret, a nie odświętna Częstochowa i kto, jak nie Ona ma nam, a w szczególności kobietom, ale nie tylko kobietom, pomóc w tej codzienności. Ona rozumie i kocha. Do tego w Niej objawia się w sposób doskonały Duch Święty, stąd może być idealną przewodniczką.

Wierzę, że Ojciec dał nam Maryję, żeby była jedną z najpewniejszych dróg do Jezusa. Jeśli ciężko nam uwierzyć Jezusowi i jakoś tak cała Trójca Święta wydaje nam się nienaturalnie odległa i do tego zmaskulinizowana (choć oczywiście Bóg, czy Duch Święty nie ma płci, jedynie Jezus), to mamy Mamę. A Mama to mama i tyle. Do Maryi najłatwiej mi się zwrócić, gdy odczuwam strach, lęk i niepokój. Wtedy czuję, że Ona temu potrafi zaradzić najskuteczniej. Z właściwą kobiecie troską i zrozumieniem.

Mimo, że w Piśmie Świętym, tak często pojawia się zwrot nie bój się, nie lękaj, to bywam oporna na to wezwanie. Jednak sądzę, że chrześcijanin to nie osoba, która strachu nie odczuwa, ale mimo tego strachu, powierzając go, oddając Bogu, idzie dalej. Kiedyś miałam przedziwny sen o strachu właśnie. Bardzo usystematyzował mi pojęcie, jak działa i czym jest. Opisywałam też go w jednym z wpisów na blogu, ale myślę, że warto go przypomnieć, bo wiem, że gdy opowiadałam ten sen, to robi często piorunujące wrażenie i zostaje nie tylko we mnie, ale w innych na dłużej.

Dlatego myślę, że Bóg mi ten sen sprezentował, bo spełnia kryteria czterech filtrów opisanych wcześniej, a do tego był bardzo wyraźny, szczegółowy i dobrze go zapamiętałam, co nie zdarza mi się prawie nigdy. W tym śnie modliłam się za różnych ludzi do mnie przychodzących. Klęczeliśmy wspólnie i modliliśmy się w ich intencjach. Czasami te same osoby wracały do mnie raz po raz. Podczas modlitwy towarzyszyła mi dziwna postać. Nigdy takiej nie widziałam, nie przypominała niczego mi znanego i na swój sposób była dość nijaka, taka podróbka ni to człowieka ni to ducha. Kształtem i postawą faktycznie naśladowała człowieka, ale zrobionego jakby z przezroczystej pleksi, w której środku była taka mętna, biaława masa, a może gaz. Twarz okropna, karykaturalna, ni to z drewna, ni z papieru.

Postać ta tak stała nade mną nonszalancko oparta o coś, a może o nic, podczas gdy ja klęczałam. Zdawało się, że jedynie ja ją widzę, bo nikt z moich gości zdawał się jej nie zauważać. Dopiero kiedy podszedł jakiś chłopak i zaczęłam się modlić, spojrział w stronę postaci i zapytał kto to jest. Zerknęłam na to „coś” stojące nad nami i odparłam bez cienia wątpliwości:

– To szatan.

– A dlaczego jest przezroczysty?- dopytywał chłopak.

– Bo jest ulepiony z naszego strachu- odpowiedziałam równie pewnie i bez zastanowienia. W tym momencie się obudziłam.

Ten sen pokazał mi, czym karmi się zły. W sumie nic nowego ta pożywka ze strachu, ale dla mnie osobiście było to otrzeźwiający odkrycie. Tam gdzie lęk, tam działa zły. On uwielbia te lęki

podsycać w nas, próbując wyhamować nas w dobrej działalności, skłonić do popełnienia jakiejś głupoty. Posługując się jedynie strachem jest w stanie zdziałać wiele. To strach zatrzymuje nas przez zrobieniem czegoś dobrego dla innych, to strach zatrzymuje nas przed przyznaniem się do wiary. To strach zatrzymuje nas przed wchodzeniem w prawdziwe relacje z innymi, oparte na miłości.

Jestem oczywiście świadoma tego, że strach jako emocja jest potrzebny, bo instynktownie chroni nas przed zagrożeniem realnym np. skokiem w przepaść, oparzeniem, atakującym tygrysem. Natomiast w „rękach” złego jest rewelacyjnym narzędziem, bo w prosty sposób ten sygnał ostrzegawczy można rozdmuchać do rozmiarów gigantycznego lęku. Do decyzji o zrobieniu czegoś pozytywnego w swoim życiu można z łatwością dorzucić tyle zmartwień, wątpliwości, roztrząsania, że jeżeli nie powstrzyma nas chęć ucieczki sama w sobie, to czas nam ucieknąć na podejmowaniu decyzji.

Wreszcie osobiście mam doświadczenie lęku, który bez przyczyny potrafi sparaliżować ciało i umysł. Jakikolwiek ten lęk czy strach by nie był, to warto usiąść naprzeciw niego i przyjrzeć się mu. Kiedyś słyszałam ciekawe porównanie, autorstwa Anthony’ego de Mello, że wszystkie emocje i stany są jak chmury przesuwane się po niebie, ale my nimi nie jesteśmy. Jesteśmy niebem, które jedynie je obserwuje. To też staram się robić z emocjami, zwłaszcza strachem. Co najważniejsze zwracam się czasami z samego dna lęku i rozpacz do Miriam z Nazaretu, bo Ona wie co czuję, a ja wiem, że w jakiś niewyjaśniony sposób mnie przez to przeprowadzi, jak mama córkę. Jak będzie trzeba to za rękę, mimo moich zamkniętych oczu.

**„Wyszedł więc i siedł za nim, ale nie wiedział, czy to, co czyni anioł, jest rzeczywistością;
zdawało mu się, że to widzenie”.**

Dz 12, 9

Jak myślę sobie o boskich interwencjach i prowadzeniu za rękę, to przypomina mi się fragment z dziejów Apostolskich, kiedy to uwięziony Piotr, skuty łańcuchami siedzi w celi, a obok niego strażnicy po bokach. Strażnicy zasypiają, pojawia się Anioł, kajdany opadają. Piotr się ubiera, wychodzi, jakby nigdy nic z więzienia na ulicę, gdzie Anioł go w końcu zostawia, a on tak stoi i zastanawia się co się stało.

Generalnie ta scena ma ciąg dalszy w konwencji mocno kabaretowej, więc zachęcam do zapoznania się z nią w całości (zob. Dz 12, 1-17). Sigla tego fragmentu spłynęły na mnie kiedyś podczas modlitwy w kontekście doświadczania cudów. Można jak Piotr przejść przez cud, doświadczyć go namacalnie, zobaczyć Anioła i myśleć, że nam się to przyśniło albo zorientować się po czasie co się wydarzyło. Jak rozmawiam z ludźmi i jak patrzę na swoje życie mam takie wrażenie, że często dopiero po dłuższym czasie dostrzegam niesamowitość danego zdarzenia, splotu okoliczności.

Dostrzegam te subtelne pajęczki nici łączące mnie z osobami i wydarzeniami. Myślę sobie czasem, że największe cuda mogą pozostać niewidzialne, niedostępne dla rzesz ludzi. Może nam czasem towarzyszyć poczucie, to podskórne przeświadczenie, że coś tu się wydarza, czego nie ogarniamy, ale dzieje się coś ważnego. To taki sygnał dla mnie, żeby włączyć czujność i nastrajać radar na Boże działanie, na wskazówki. Nie prowokować ich, na siłę wyszukiwać, po prostu obserwować.

Jasne, że wiele razy zawałam te Boże natchnienia. Wyrażne przynaglenie, żeby zagadać kogoś na ulicy, coś powiedzieć albo wręcz przeciwnie, czegoś nie, jest przede mną ignorowane ze strachu, wątpliwości, wygody, może lenistwa. Choć cztery filtry mówią mi, że dane działanie byłoby słusznym, czasami wymiękam. Kiedyś miałam z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia i pożałowałam się Bogu, że nie można na mnie polegać i że jeżeli czegoś nie zrobię, to to ma swoje konsekwencje.

Jednak szybko przyszło do mojego serca zapewnienie, że ja nie mogę zawieść Boga. Ja po prostu zawodzę samą siebie i własne oczekiwania. A jeśli chodzi o konsekwencje zrobienia czegoś, czy nie zrobienia zgodnie z prawdopodobnie natchnieniem Ducha Świętego, a przynajmniej przewidywanego pozytywnego rezultatu, to nie ma konsekwencji tych rozmiarów, których się spodziewam. Nie znaczy to oczywiście, że teraz się położę i nie będę niczego robiła, bo nie ma znaczenia nic, co czynię w moim życiu.

Oczywiście, że ma i może mieć duży wpływ. Tylko Ojciec jest ponad tym wszystkim, ponad moim chceniem czy niechceniem, a co najważniejsze On tak samo kocha mnie, jak i osobę, która miją mnie na ulicy. Jest sobie w stanie poradzić z moim błędem, lepiej niż ja sama. Takie podejście daje pewien luz i przestrzeń na błądzenie. W końcu Bóg jest w każdej ciemności, upadku, jest w życiu każdego, czy ten ktoś w to wierzy czy nie. Jak mówi Psalm 139, który uwielbiam: „Panie, przenikasz i znasz mnie, Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję. Z daleka przenikasz moje zamysły, widzisz moje działanie i mój spoczynek i wszystkie moje drogi są Ci znane” (zob Ps 139, 1-3).

To nie wszystko, bo Ojciec, Duch Święty i Jezus są wszędzie, nie tylko w moim życiu, jak mówi dalej ten psalm: „Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś; jesteś przy mnie gdy się w Szeolu położę” (zob. Ps 139, 8). Do tego żadna ciemność nie jest w stanie pokonać Boga, ale także ja się przed nim nie jestem w stanie ukryć w ciemnościach. Żaden błąd, upadek, grzech nie jest w stanie wymazać Boga z mojego życia. To ja często nie doceniam, nie zauważam Jego samego i Jego działania, bo wydaje mi się, że wszystko mogę kontrolować.

Można też w końcu nie wierzyć w cuda te wielkie, ale też te życia codziennego. Można nie zauważać tego, że jak mówi dogmat *creatio continua*, Bóg nie tylko stwarza, ale decyduje o tym, że istniejemy wciąż. Z jednego powodu, z miłości do nas. Jak rodzic, który chce, żeby jego dziecko żyło i było szczęśliwe, On, jestem pewna, pragnie tego dla nas. Nie chodzi Mu jednak o chwilowe zadowolenie, ale pełnię pokoju i szczęścia.

Elementy tego szczęścia, niczym rozsypane perły, można zbierać dostrzegając te niezwykle rzeczy wokół nas, które się dzieją, dostrzegając niezwykłość ludzi, ich różnorodność. Myślę, że jak w końcu nauczę się doceniać i zauważać te małe cuda, to również obok tego wielkiego nie przejdę obojętnie. Nie będę na siłę szukać racjonalnego wytłumaczenia, bo wyszukać zawsze coś się da, a stwierdzenie: jeszcze tego nie rozumiemy, ale w ramach rozwoju nauki kiedyś pojmiemy i wyjaśnimy, można zastosować zawsze. Jest w nim w końcu sporo racji.

Tylko znowu, wiara to nie wiedza. Dla mnie człowiek utkany jest z wiary i jednocześnie stworzony, aby zdobywać wiedzę. Jednak uświadomienie sobie, że nie jestem mądrzejsza od Boga i nie próbuję naukowymi dociekaniem powiedzieć: „ha, tu Cię mam, wiem jak to działa”, daje niezwykłą wolność i umiejscawia wiedzę i naukę wewnątrz okręgu. Bóg jest wtedy niejako dookoła, ponad, ale równocześnie w środku, bo przenika te obszary.

Świat wygląda tak, a nie inaczej, poddaje się prawom fizyki, może być naukowo badany, bo tak, a nie inaczej został przez Boga zaplanowany. I to jest wspaniałe. Idąc tym tropem nie muszę się bać, że kolejne odkrycie dajmy na to matematyczne podważy w jakiś sposób istnienie Boga czy Jego działanie. Tak jak powiedział kiedyś profesor Michał Heller w jednej z dyskusji z innym naukowcem: „Bóg jest matematyką”. Czyli jest w niej i ponad nią i to się tyczy każdej dziedziny wiedzy.

W sytuacji Piotra uwalnianego z więzienia wydarzyła się dobra rzecz. Dał się poprowadzić Aniołowi. Tak po prostu. Nie ogarnął co się dzieje, nie do końca zauważył, że właśnie wydarza się coś niespotykanego, ale bez szemrania wykonywał polecenia. Jednak fajnie by było doświadczać

cudu ze świadomością tej niezwykłości. Marzę o tym. O widzeniu więcej i głębiej przede wszystkim w codzienności.

„Czuwajcie, trwajcie mocno w wierze, bądźcie mężni i umacniajcie się!”

1 Kor 16, 13

Dzisiejsze społeczeństwo bywa określane przez socjologów mianem *instant*. Wszystko ma być na już. Im szybciej, tym lepiej. Chcę- zdobywam. Podoba mi się- „lajkuje” Nie chcę- kasuję, wyrzucam. Nie podoba mi się- wrzucam obelżywy komentarz. Klik, klik. Koncepcja, że musimy na coś poczekać zdaje się co najmniej nieadekwatna, a na pewno odejmuje nieco gwiazdek temu, na co lub na kogo mamy czekać. Zastanawia mnie także to, co obserwuję w sklepach, gdzie największy problem z czekaniem w kolejce mają nie ci młodzi wychowani na fejsbuku, którzy stojąc w tej kolejce po prostu scrollują ekrany, ale ci starsi, seniorzy, którzy ciamkają, poganiają kasjerów, domagają się kolejnej otwartej kasy.

Przesyt informacji sprawia, że z łatwością możemy dotrzeć do kilku rodzajów prawdy, z których większość to po prostu nieprawda, wykreowana przez różnych Senior Specjalist ds. Gównoprawdy. Możemy sobie wybrać, jak informacja i jej interpretacja nam leży, a jaka nie pasuje do naszego światopoglądu. Można mówić o zjawisku takim, jak relatywizm moralny. Mówiąc w skrócie oznacza on, że proste zasady dotyczące tego co moralne jest, a co nie jest przestają funkcjonować, bo każda z nich dostaje tryliard podpunktów i szybko staje się przedmiotem sporów i podziałów, co jest dobre, a co złe. W konsekwencji obraz tego co dobre, a co złe rozmywa się, staje się mglisty, a osoba upierająca się przy jasnym rozróżnieniu czy określeniu dostaje szybko miano fanatyka.

Do tych wszystkich niełatwych zjawisk współczesnego świata zanurzonego w ciągłym przepływie gigabajtów informacji, dochodzi nasze lepsze lub gorsze odnajdywanie się w nim, a może lepiej je określić jako płynięcie tym zwawym prądem lub tonięcie w nim. Mam taką refleksję, że choć życie do prostych nie należy, my komplikujemy je jeszcze bardziej, szukając pięćdziesięciu opinii w internecie na temat tego, co się nam przydarza, udając się do piętnastu specjalistów i szukając porad. Zapominamy jednak, że najlepszy doradca odnośnie naszego życia to my sami. Ja sama, ty sam.

Natłok informacji sprawia, że nie nadążamy i zaczynamy szukać istotnych przesłanek na zewnątrz. Nie mamy miejsca i czasu, żeby po prostu usiąść i posłuchać samego siebie czy uspokoić gonitwę myśli, rozgrzebywanie wątków i dygresje w naszej głowie i te w wirtualnych dyskusjach. Często ja sama, w ferworze walki, jak mi się wydaje, nie biorę pod uwagę, jak cenne jest właśnie usiąść w ciszy, posłuchać oddechu i zadać samemu sobie właściwe pytania, w sercu. Zapominam, jak wartościowe jest zrozumienie co jest dla mnie najlepsze, czego pragnę, czego szukam, który kierunek obrać. Świat to obecnie prawie same ciernie, które zagłuszają nas samych, nasze serca i umysły, ale także ziarno miłości i Prawdy, tej najprawdziwszej, przez duże „P” które sieje w nas Ojciec (zob. Mk 4, 7).

Uczę się wciąż tego połączenia między ciałem, psychiką i duszą, które daje mi odpowiedzi na pytania. Ono jest zakodowane we mnie, w każdym z nas. Kiedy ostatnio drogi czytelniku usiadłeś na kwadrans w ciszy i pozwoliłeś płynąć jej w tobie? Kiedy pozwoliłeś sobie na porządzenie się w tej ciszy samego siebie? Być może ten kwadrans z samym sobą będzie o niebo cenniejszy niż wszystkie informacje przeczytane o twojej dolegliwości czy innym problemie w internecie?

Dla mnie najprościej jest to robić w trakcie modlitwy, bo wierzę, że wsłuchując się w serce, wsłuchuję się w Ducha Świętego we mnie. Lubię też notować takie dłuższe spotkania, ale nie jest to konieczne. Mogę także powierzać Jemu, ale też własnemu sercu sprawy mnie gnębiące. To mnie bardzo buduje i widzę, gdy brak mi czasu na ciszę, łatwiej się denerwuję, działam w nieprzemyślany sposób, trudniej mi wybaczać, daję się wyprowadzić z równowagi.

Ostatnio oglądamy całą rodziną Gwiezdne Wojny. I tam w szkoleniu rycerza Jedi, czyli wojownika jasnej strony mocy jest ukryta ważna umiejętność panowania nad emocjami i nie kierowania się tymi złymi w działaniu. Bo jeżeli wpuszczamy gniew czy strach, żeby nami zawiadywał, to mówiąc już kato-językiem, wpuszczamy diabła. Aby dać się prowadzić jasną ścieżką musimy powierzyć się mocy Ducha Świętego, ale to nie znaczy, że skoro On jest wszechmocny, to załatwi wszystko za nas. Odrobina wysiłku jest po naszej stronie, a ten wysiłek to trwanie.

Trwanie na modlitwie, trwanie w ciszy, trwanie przy lekturze Słowa, trwanie w sakramentach. Osobiście dla mnie najtrudniejsza jest właśnie cisza. Choć na ten moment jest najpiękniejsza. Na przykład taka adoracja, kiedy Jezus patrzy na mnie, a ja na niego i tak sobie siedzimy, jak to ujął jeden z rozmówców Jana Marii Vianneya w zasłyszanej przeze mnie kiedyś anegdocie. Tylko, żeby patrzeć, trzeba się zatrzymać i włączyć uważność.

Uważność to takie słowo, które program tekstowy podkreśla mi zawsze na czerwono twierdząc, że nie istnieje. Mogę go wymienić na uwagę lub ważność. Jednak ja się upieram, że to słowo istnieje i do tego jest istotne dla mnie. Można go zastąpić słowem czujność, ale to już nie będzie to samo. Uważność ma w sobie pewną intuicję i pozytywny wydźwięk. Można być uważnym na potrzeby drugiej osoby, ale także na swoje. Można kierować nasz radar do wnętrza, bo ono obfituje w możliwości i rozwiązania.

Wierząc, że mamy nieśmiertelną duszę, fajnie by było nieco się jej przyglądać, a bez ciszy i bez uważności zwłaszcza na modlitwie jest to niemożliwe. Często w modlitwach, gdzie przyzywa się Ducha Świętego, prosi się o Jego światło. Dla mnie to także synonim tej uważności, bo światło pozwala nam zobaczyć, to co ukryte w ciemności, także w najgłębszych zakamarkach nas samych. Pozwala dostrzec innych, ich motywacje i chroni nas przed skrytykowaniem, ocenieniem kogoś, przed kliknięciem czy podsumowaniem kogoś pt. jesteś idiotą.

Jako społeczeństwo *instant* wykształciliśmy szybkość i radykalność oceny w oparciu o niesprawdzone i łatwo dostępne przesłanki. Skróconą drogę myślenia, skracamy jeszcze bardziej. Ocena na skróty bardzo łatwo przychodzi ludzkiej naturze. Zdziwiająco łatwo to, co subiektywne w naszej głowie staje się obiektywne. Mówię także z własnego doświadczenia osoby oceniającej i ocenianej. Choć to pierwsze w moim oglądzie zmniejszyło się, a mam nadzieję, że dzięki pracy nad sobą będzie się kurczyć coraz bardziej, to nigdy nie pozbędę się do końca ferowania wyroków, które nie są obiektywne. To co mogę zrobić, to modlić się o mądrość.

Oczywiście niemożliwym staje się wyeliminowanie wszystkiego, co złe w moim życiu za pstryknięciem palców. To, że postanowię sobie nie oceniać ludzi, nie krytykować, oczywiście mogę sobie wyrzucić do kosza już na starcie. Wydaje mi się, że kluczem są tu małe kroki i proszenie Ojca o tę uważność, mądrość. Mam takie doświadczenie, że choć ciężko mi się powstrzymać, żeby sobie na kogoś nie ponarzekać, kto mi sprawił przykrość, to ostatnio przestało być to dla mnie komfortowe i oczywiste, że mam prawo się pożalić.

Często zapala mi się lampka ostrzegawcza i pojawia się myśl: „Po co to robisz? Zastanów się? Czy warto opowiadać innym o twoich zawodach i tym, co ci się nie podoba?”. Odpowiedź jest zawsze taka, że nie warto i nie powinnam. Oczywiście kończy się to różnie, bo jednak często coś tam chlapnę, ale dyskomfort pozostaje. I ja za niego jestem mega wdzięczna, bo kiedyś nie miałam go kompletnie. Ważne było, żeby stanęło na moim. Prawda się nie liczyła, a jedynie moja racja, czyli w tym wypadku często tak zwana „gównoprawda”.

„...i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

J 8, 32

Po to, żeby opowiedzieć o różnicy między racją, a prawdą i jak to rozróżnienie odmieniło moje życie, muszę się cofnąć około dwudziestu lat wstecz, do momentu, gdy miałam około lat trzynastu. Mniej więcej w tym wieku, rozpoczął się dla mnie etap, który nazywam „walką o byt”. Choć brzmi to dramatycznie, bo nie głodowałam, a moja mama starała się zapewnić mnie i bratu wszystko, czego potrzebowaliśmy, zostałam postawiona w takiej sytuacji, że przełączyłam się w tryb walki, ataku, gdzie wygrana oznaczała, że mam rację.

Myślę, że mogło być tak, że nauczyłam się tego od moich rodziców. Z ich kłótni. Choć mój tata przez większość roku pracował na morzu, to kiedy wracał, chciał na tę chwilę poustawić wszystko i wszystkich pod swoje dyktando. Na to nie godziła się moja mama, stąd spięcia były wciąż, a atmosfera w domu nieraz tak gęsta, że siekierę można było zawiesić. Jako rodzina byliśmy słabi, bo nie było silnej więzi małżeńskiej między rodzicami. Choć mieli ślub kościelny, nie byliśmy wierzący. Teraz widzę, że związek może przetrwać burze, jedynie, jeśli patrzy w tym samym kierunku, w stronę prawdy, w stronę Boga. Moi rodzice w końcu się rozstali i rozwiedli, żyją od lat osobno, jednak mój tata powiedział mi po wielu latach, nie tak dawno, jako już nawrócona osoba, że gdyby wtedy poznał Boga, był wierzący, to nasze życie rodzinne byłoby cudowne i nie musielibyśmy wszyscy tyle cierpieć, tyle błędzić.

I to jest taka gorzka prawda. Natomiast wracając do tamtego czasu sprzed lat wiem, że oprócz sytuacji rodzinnej, musiałam nauczyć się walczyć o uwagę, której mi brakowało, o poczucie wartości, którego próżno szukałam u innych osób, rówieśników, nauczycieli, mamy, brata, a potem u chłopaków. I to poczucie, że moją wartość określa to, że muszę mieć rację i postawić ostateczną kropkę. Nie tak dawno temu zobaczyłam te wszystkie mechanizmy walki prowadzące mnie do takiego, a nie innego funkcjonowania. Dopiero ostatnie kilka lat, to zmiana myślenia dla mnie, nawrócenia i przyznania się, że nie muszę mieć racji, mogę się mylić, bo nie ona jest ważna, tylko ważna jest prawda.

Kiedy jako chrześcijanka słyszę słowo prawda, to jest to dla mnie wszystko, co Bóg nam objawił, co mamy w Piśmie, co mówi Jezus. To nie miejsca na dopisywanie gwiazdek. Idąc tym tokiem myślenia, gdy dochodzi do konfrontacji „racji”, jeśli z kimś dyskutuję, to powinnam sobie postawić jedno pytanie: czy tam jest miłość? Czy robię to w miłości i z troski o drugiego? Czy chcę, żeby stanęło na moim? Skąd wiem, że robię to z miłości i troski? Bo wtedy jestem gotowa skapitulować. Po prostu przestać mówić, a nawet odejść jak trzeba. Jestem w stanie także przyznać,

że nie mam racji, a przede wszystkim nie chcę na siłę zmieniać czyjegoś myślenia. To do niczego dobrego nie prowadzi.

Bardzo trudna dla mnie jest ta ścieżka, żeby odpuszczać. Wie o tym mój mąż, który musi mierzyć się z moimi niepotrzebnymi dopowiedzeniami, „szpilami”. Jestem jednak wdzięczna, że to widzę i mam nadzieję, że choć w tempie ślimaka, to rozwijam tę umiejętność stawiania na prawdę i działania w miłości do drugiego. Natomiast te młodzieńcze lata wspominam jako właśnie lata „walki o byt”, walki o posiadanie racji, nie pokazywania, że jestem gorsza od innych, choć mam materialnie mniej, choć choruję na paskudną chorobę skóry, jestem z rozbitej rodziny i mam więcej obowiązków niż rówieśnicy i często muszę polegać jedynie na sobie.

Przez takie podejście nigdy nie dawałam się poznać, nigdy nie pokazywałam swojej prawdziwej twarzy, a jedynie tą przypudrowaną, taką jaką chciałam, żeby widzieli inni. Nie dawałam się specjalnie polubić. Tak myślę. Choć miałam grono kolegów, na których mogłam liczyć, a oni na mnie, te znajomości nie przetrwały próby czasu. Praktycznie żadna. I w kontekście mojego postępowania, nie jest to nic niezwykłego. Tym bardziej napawa mnie zadziwieniem, że już na początku studiów znalazł się ktoś, kto pokochał tę karykaturę człowieka, którego udawałam, a nawet się z nią ożenił.

Do tej pory nie wiem, co mój mąż we mnie dostrzegł, a on uparcie twierdzi, że to jest to coś w oczach i nic więcej mi nie chce powiedzieć. Wiem, że mieliśmy kilka lat, żeby się poznać przed ślubem, ale tak naprawdę zaczęliśmy się poznawać po ślubie, a tak na serio po nawróceniu. Wtedy wszystkie maski opadły. Przyczyniły się też do tego te wszystkie rodzinne dramaty, które przeszliśmy i przechodzimy razem. I oczywiście w poznawaniu się nie chodzi o to, żeby się taplać w przeszłości, samobiczować i oskarżać, czy wciąż żałować swoich grzechów, postępowania w przeszłości, to myślę, że taka konfrontacja z prawdą, jak zresztą pisałam wcześniej, jest niezbędną, wyzwalającą.

Jak ją poznasz, to przestaje być tak istotne kto, co pomyśli, bo zaczynasz budować własną wartość w oparciu o Boga, bo wierzysz w Jego obietnicę, którą tak pięknie przedstawia Izajaszowi: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet, gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie. Oto wyryłem cię na obu dłoniach, twe mury są ustawicznie przede Mną” (zob. Iz 49, 15-16). Wiem, że prorok otrzymuje te słowa w kontekście pocieszenia Izraela, ale Izrael to my wszyscy.

Ta myśl, że Ojciec mnie widzi i akceptuje taką jaką jestem, że mnie kocha ponad życie znając mnie dogłębnie sprawia, że nie ma innej drogi dla mnie niż trwanie w tej prawdzie, a co za tym idzie pragnienie, by inni się do niej zbliżyli. Jednak nie na siłę, bez ciśnienia, że moje musi być na wierzchu, bo ten etap walki zostawiam już za sobą. Modłę się i mam nadzieję, że otrzymam w odpowiednich momentach mądrość i siłę, by trwać w pokoju, by zrezygnować z racji na rzecz prawdy.

**„Oto Ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże,
a nieskazitelni jak gołębie!”**

Mt 10, 16

Jeśli nie mam presji posiadania racji, a raczej bardziej prawdziwe, byłoby stwierdzenie, że Bóg leczy mnie z niej, to nie oznacza, że żyję w pewnym wycofaniu ze świata, oddając się kontemplacji tej Prawdy, w której centrum jest Trójca Święta. Nie znaczy to też, że obecnie biegam po ulicach i krzyczę, że Jezus zmartwychwstał. Uważam, że zatrzymywanie Dobrej Nowiny dla siebie nie byłoby nieskazitelne, a z kolei bezmyślna bieżąca nie byłaby roztropna.

Dlatego stosuję małe kroki i wykorzystywanie tak zwanych okazji naturalnie pojawiających się. Jak? Po pierwsze zawsze staram się mówić prawdę w odpowiedzi na czyjeś pytania czy w luźnej rozmowie. Staram się, bo może być tak, że powiem nieprawdę nieświadomie. Prawdę, czyli mówię skąd biorę siły- od Jezusa, kto jest dla mnie autorytetem- Jezus, i że na miejscu pierwszym jest Jezus. Opowiadam otwarcie o działaniu Boga w moim życiu na każdym jego etapie. Nie chowam tego dla siebie.

Nieistotne kto co o mnie pomyśli, bo Bóg mnie namaścił na świadka, więc muszę mówić prawdę, odpowiadać szczerze, ale (i to po drugie): nie narzucam się z prawdą. Ona ma to do siebie, że wypłynie zawsze na wierzch, ale nie musi to być w miejscu i czasie przez nas obmyślonym. Po trzecie staram się żyć tym, o czym mówię, czyli Ewangelią. Żyć tak, jakbym była pewna szczęśliwego zakończenia życia, jakim jest Niebo, spotkanie największej miłości, dostąpienie zbawienia. Jednym słowem żyć nadzieją. Staram się, bo często nieświadomie lub przez własne słabości po prostu poblądzę albo dopadają mnie wątpliwości.

Po czwarte i najtrudniejsze dla mnie, a tak naprawdę w trzech czwartych pozostające w sferze pragnień, to chciałabym, żeby druga osoba przy mnie czuła się kochana, żeby Bóg pokazał

jej przeze mnie, że ją kocha, akceptuje, bierze na siebie jej słabości i dostrzega to, co najpiękniejsze. Tu muszę szczególnie ćwiczyć się w roztropności, słuchaniu i mądrości. W tym obszarze widzę swoje największe niedostatki, a to pole działania wydaje mi się najistotniejsze. Nie moje świadectwo mówione i przeżyte, ale właśnie zanurzenie innej osoby w miłości Boga. Marzę, żeby to potrafić, marzę, żeby Ojciec tak działał przeze mnie.

Wiele oczywiście to praca nad sobą, ale jeszcze więcej to Łaska Boga. Bez niej mogę sobie chcieć być nieskazitelna, jak gołąb i przebiegła (bo to chyba lesze słowo niż roztropna) jak wąż. Poza tym, jakbym odważną owcą nie była, to owca wśród wilków jest z góry na straconej pozycji, więc jeśli Pasterz nie interweniuje, nie okaże swojej mocy, to mogę co najwyżej beczeć i śmiesznie podskakiwać i taką będą mnie widzieć wilki. Dlatego mądra owca modli się, prosi Pasterza tym nieporadnym beczaniem o pomoc oraz załatwienie za nią i tylko trochę dzięki niej całej sprawy.

Myślę, że jedną z potężniejszych broni owcy jest modlitwa za innych, bo można ją zaliczyć zarówno do kategorii nieskazitelnego, jak i go działania. Nawet nikt nie musi wiedzieć o twoich dobrych intencjach względem niego. Taki „partyzancki różaniec”, jak mówi moja przyjaciółka, za osoby niewierzące, w trakcie spotkania z nimi to jest dopiero bomba atomowa. Tego nikt ci nie zabroni, możesz modlić się za innych ile wlezie i wcale nie musisz kłaść rąk na nich.

Kiedyś mój mąż opowiedział mi o swojej interwencji w pewną sprzeczkę, która doskonale obrazuje o czym mówię. Mianowicie, jakiś rozzłoszczony pan idący z dzieckiem w wózku krzyczał na pana portiera pod szpitalem, w sumie nie wiadomo o co, a na pewno bez uprawnień na wyzywanie się na tym człowieku. Mój mąż podszedł i powiedział mu uprzejmie, a dokładnie zapytał czy wypada tak się zachowywać w stosunku do drugiego człowieka i to jeszcze przy dziecku, na co rozwścieczony pan wściekł się jeszcze bardziej i zbluzgał także męża. On niewzruszony odpowiedział, że mu błogosławi i że się za niego pomodli, bo dogadać się chyba nie dogadają i żeby zaprzestał krzyczeć na pana portiera. Pan rozpalił się do czerwoności i zaczął krzyczeć: -Ja panu zabraniam! Ma się pan za mnie nie modlić! Nie pozwalam.

Pan zdecydowanie miał problem z kontrolowaniem ludzi, miejsc i sytuacji (a może to moja nieuprawniona ocena!). Chciał nadzorować pana portiera, sytuację z mężem, a nawet to co on zrobi czy czego nie zrobi. Takie wybicie z rytmu przez mojego męża, może trochę nieświadome z jego strony, bo on tak czasem po prostu ma, spowodowało, że tamten mężczyzna został z bombą w rękach, której nie kontroluje. Mój mąż i tak się za niego pomodlił. Stało się. Niewidzialna bomba wybuchła i jestem pewna, że przyniosła swoje na pozór niewidzialne owoce.

Często wydaje mi się, że jestem bezsilna wobec czyjegoś uporu, zasłaniania oczu przed prawdą, ale to nie oznacza, że muszę mu ją rzucać w twarz albo co gorsza okładać niewidomego krzyżem. Mówię szczerze o sobie, staram się żyć według tego co mówię, a przede wszystkim chcę okazać miłość tej drugiej osobie. Nie życzliwość, nie sympatię, tylko miłość, która przewyższa ludzką logikę postępowania, która wybije drugiego z nawykowych torów myślenia. To trudne, ale w końcu „Co niemożliwe jest u ludzi, możliwe jest u Boga” (zob. Łk 18, 27).

„Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”.

Flp 4, 13

Jedną z takich niemożliwych „niemożliwości”, ale i oczywistych „oczywistości” jest to, że Bóg chce zbawić wszystkich ludzi. Bez wyjątku. Nie chce nikogo skazywać na potępienie, niestety to my sami możemy się na niego skazać. Przykładem tej hojności zbawienia i ogarniania rzeczy „nieogarnialnych”, przykładem jak pełna miłości jest Boża logika jest przypadek niejakiego Dyzmy. Nie Nikodema, a świętego Dyzmy.

Pierwszy raz o świętym Dobrym Łotrze usłyszałam na pamiętnej pielgrzymce, o której pisałam wcześniej, kiedy niepozornie ukrył się w litanii wezwań do wszystkich świętych. Święty Dyzma to właśnie ten Dobry Łotr wiszący na krzyżu obok Jezusa. Między innymi patron nawróconych grzeszników i pokutujących. Jak usłyszałam to z pozoru nielogiczne zestawienie świętego, dobrego i łotra, to uśmiechnęłam się, ale też coś bardzo mnie w tym poruszyło. Na tyle mocno do mnie przemówiło, że długi czas chodzę z tym świętym i był on pierwszym, który do mnie w jakiś sposób dotarł praktycznie nic nie mówiąc.

Znamy tylko jeden fragment, gdzie Dobry Łotr karci złego łotra za „pyszczenie”, po czym prosi Jezusa: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa”, na co Jezus odpowiada mu: „Zaprawdę powiadam ci: Dziś ze mną będziesz w raju” (zob. Łk 23, 42-43). To jest wręcz oburzające. Przecież grzeszył i grzeszył, raz poprosił i już w raju? Można by sobie pomyśleć, że nie warto nic robić, a w godzinie śmierci po prostu zwrócić się do Jezusa.

Niestety to nie do końca tak jest. Zwróćmy uwagę, że Dobry Łotr nie znał wcześniej Jezusa. On go poznał kilka sekund wcześniej w delikatnie mówiąc mało komfortowych warunkach, ale i tak bezbłędnie rozpoznał w nim Mesjasza. Być może, gdyby spotkał Go wcześniej nawróciłby się, przynajmniej miałby szansę. Nie usprawiedliwia to jego złych uczynków, jednak Dyzma

rewelacyjnie zwraca się w szczerzej prośbie do Jezusa. Robi to intuicyjnie w jedyny możliwy sposób, czyli zawierając się Bożemu miłosierdziu. On nie miał pojęcia, kim jest Jezus, ale czuł, że musi się rzucić w tę otchłań miłosierdzia. Myślę, że wyczuwał to instynktownie.

W sumie tam na tym krzyżu święty Dobry Łotr stworzył teologię Bożego miłosierdzia, która mówi, że miłosierdzie oczyszcza i doskonali naturę człowieka, żeby mógł żyć z Bogiem. To dzięki miłosierdziu jesteśmy zbawieni. I święty Dobry Łotr dlatego był tak wyjątkowy, że to odkrył nie mając takiej wiedzy. Ja jednak mam tę wiedzę i podpadam pod inną historię niż ta świętego Dyzmy. Mianowicie mnie w tej chwili lepiej opisuje przypowieść Jezusa o słudze wiernym i niewiernym.

Dlaczego? Bo wiem, że Jezus istnieje, że Ojciec istnieje, Duch Święty istnieje i wierzę, że Bóg jest żywy pośród nas. Wierzę, że nas powołuje do życia Ewangelią, do życia wiarą, nadzieją i przede wszystkim miłością. Jak mówi przypowieść o słudze, z tego powodu będzie się ode mnie więcej wymagać, bo zostałam ochrzczona, skomunikowana, wybierzmowana, żyję w chrześcijańskim kraju, gdzie mam dostęp do Pisma Świętego, świątyni, sakramentów, ale przede wszystkim dlatego, że spotkałam Jezusa, czym dzieliłam się wcześniej w tej historii.

Pozwolę sobie przytoczyć cały kontekst przypowieści. „Pan odpowiedział: Któż jest owym rządcą wiernym i roztroptym, którego pan ustanowi nad swoją służbą, żeby na czas rozdawał jej żywność? Szczęśliwy ten sługa, którego pan powróciwszy zastanie przy tej czynności. Prawdziwie powiadam wam: Postawi go nad całym swoim mieniem. Lecz jeśli sługa ów powie sobie w duszy: Mój pan ociąga się z powrotem, i zacznie bić sługi i służące, a przy tym jeść, pić i upijać się, to nadejdzie pan tego sługi w dniu, kiedy się nie spodziewa, i o godzinie, której nie zna; każe go ćwiartować i z niewiernymi wyznaczy mu miejsce. Sługa, który zna wolę swego pana, a nic nie przygotował i nie uczynił zgodnie z jego wolą, otrzyma wielką chłostę. Ten zaś, który nie zna jego woli i uczynił coś godnego kary, otrzyma małą chłostę. Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie; a komu wiele zlecono, tym więcej od niego żądać będą” (zob. Łk 12, 42-48).

No nie, to już doprawdy przechodzi pojęcie. Nie dość, że Dyzma „pofrunął” z krzyża wprost do Nieba, to ja mam tyrać nie wiadomo ile lat, rozdawać siebie na prawo i lewo, służyć innym, mądrze zarządzać tym, co mi powierzono (dom, rodzina, wspólnota, praca etc.), bo inaczej dostanę chłostę? Mogłabym tak pomyśleć i oburzać się na tę pozorną nierówność, ale nie uważam tak. Sądzę, że to sprawiedliwy układ. Ja dostałam wiele, dostałam łaskę nawrócenia, wiary, widzenia cudów, poznawania Jezusa, mówienia o tych wspaniałych rzeczach innym, więc to chyba nie jest tak dużo, żebym pozostała wierna Panu, bo wydaje mi się, że o to chodzi w tym wszystkim. O wierność.

Wierność to nie bezbłędne odczytywanie Woli Ojca, podążanie jedynie prostą ścieżką oczywistych wyborów. W nią wpisane jest upadanie, grzechy, bezsilność. Wierzę, że chodzi o to, żeby po prostu trwać, być blisko Ojca. Nawet jak narobię głupot, to żeby mieć odwagę i rozpłakać się przed Nim, prosić o kolejne łaski ulepszające mnie i moją służbę.

To, czego święty Dobry Łotr uczy mnie na mojej drodze wierności w małych rzeczach, to powierzenie się, swoich niedostatków i często paskudnego charakteru miłosierdziu Ojca, bo ono ma moc zbawić. Dla mnie, gdy wokół tylu niewierzących, to także zastrzyk ogromnej nadziei. Nadziei na zbawienie moich bliskich i też tych dalszych osób, spotykanych po drodze. Bóg ma nieskończone możliwości w zakresie ratowania dusz. W końcu wszyscy i ci na krzyżu, i ci pod nim, i nawet oprawcy jesteśmy Jego ukochanymi dziećmi.

„Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemię lekkie”.

Mt 11, 30

Czy wierzący, czy niewierzący, czy ten idący za Jezusem, czy w przeciwnym kierunku, myślę, że wie, że każdy ma swój metaforyczny krzyż. Swoje problemy, mniejsze i większe. Choć jest pokusa, żeby zestawiać swoje życie z życiem innych w rankingu pod tytułem: „Kto ma ciężiej?”, to wiem, że każdy dźwiga tyle, ile jest w stanie unieść i ani grama więcej. Wiem też, że moja ograniczona percepcja i skrótowe myślenie, w większości nie pozwala mi dostrzec, jakie są krzyże innych. Nie wiem, jakie kto toczy walki duchowe, emocjonalne, czy z własnym ciałem. Nie widzę tego albo jedynie wydaje mi się, że wiem i widzę, ale z reguły to tylko wierzchołek góry lodowej.

Kiedyś usłyszałam rewelacyjny opis *a propos* dźwigania krzyża opowiedziany przez ojca Adama Szustaka OP w youtubowej serii „Dobranocka”, a zainspirowany opowiadaniem Bruno Ferrero. To dokładnie był pewien obraz, który utkwiał mi w pamięci a przedstawię go nieco po swojemu. Wyobraźmy sobie, że drogą wędruje duża liczba osób, wszyscy w jednym kierunku, a każdy niesie drewniany krzyż. Każdy z tych krzyży ma trochę inny kształt, cieńszy lub grubszy, każdy ma inną fakturę, inną wielkość i ciężar. Każda z tych osób niesie go w sobie właściwy sposób. Jedni zarzucają go na ramiona, inni niczym plecak, jeszcze inni pod pachą, a niektórzy może go wloką za sobą.

W pewnym momencie pan Nowak, narzekający wciąż, że jego krzyż jest nieporównywalnie większy od każdego innego niesionego przez różne osoby, prosi Boga, aby dał mu jakiś lżejszy, mniejszy i wskazuje na kogoś przed sobą, kto rzeczywiście ma ze dwa razy mniejszy ten krzyż. Bóg przystaje na tę prośbę. Pan Nowak szczęśliwy, jak nigdy, myśli sobie, że teraz to będzie wspaniale i z radością zarzuca na plecy dużo lżejszy, mniejszy i zdawałoby się poręczniejszy krzyż „pożyczony”, a może skopiowany od innej osoby.

Wznawia swoją wędrówkę pełen entuzjazmu, jednak szybko orientuje się, że ten krzyż jakoś tak go uwiera, niby mniejszy i lżejszy, ale w ogóle nie pasuje do jego pleców, w ręce też nie może go złapać. Męczy się, układa, przerzuca i odkrywa, że po kilku godzinach jest bardziej wycieńczony niż kiedy niósł przez lata dwa razy cięższy, większy, ale własny krzyż. Jak można się domyślić, prosi o swój osobisty ciężar z powrotem. Co się zmieniło w myśleniu pana Nowaka? Nadal dźwiga krzyż, ale narzeka dużo mniej i z pewnością mniej ocenia innych.

Ten obraz rewelacyjnie oddaje sytuację każdego z nas. Indywidualną. Nie ma co się porównywać z innymi, bo to donikąd nie prowadzi. Ostatnio moja serdeczna koleżanka, która choruje na depresję opowiadała mi, że długo zwlekała z psychoterapią i braniem leków. Wzbraniała się i tłumaczyła sobie to na wiele sposobów, żyjąc w przekonaniu, że musi sobie z tym poradzić. Zwierzyła mi się, że jednym z argumentów było to, że inni mają ciężej niż ona, a nie popadają w stany depresyjne. Odwołała się w tym względzie do mnie i moich doświadczeń. I można by stwierdzić, że stałam się w jej głowie wzorem zaradności i przykładem, a może antyprzykładem który utwierdzał ją po części w przekonaniu, że musi sobie sama poradzić.

Powiedziała mi o tym po czasie, będąc już w terapii. Opowiedziałam jej wtedy, że u mnie wcale tak kolorowo nie jest, że także zaczęłam terapię i mam multum psychosomatycznych dolegliwości, czyli zamiast psychiki, jak w wypadku depresji, w pierwszej kolejności siada mi ciało w wyniku trudnych przeżyć. To, że po kimś nie widać, że cierpi, to nie znaczy, że nie cierpi. Tak jest ze mną. Taki podręcznikowy psychosomatyk, jak mówi moja doktor psychiatra. Kipię często entuzjazmem, jest we mnie wciąż zapał do działania, a z negatywnych emocji to odczuwam prawie wyłącznie złość, ale jak przyjdzie co do czego to ląduję w szpitalu z zapaleniem płuc albo walczę z chronicznymi bólami głowy.

I nie piszę tego dlatego, żeby się użalać nad swoim losem, ale to mi uświadamia, że nie warto porównywać się z innymi, bo najczęściej prowadzi to do kłamstwa. Wiemy, że królem kłamstwa jest szatan. Jemu to na rękę, żeby podżegać nas do samooskarżania, narzekania i wszystkiego innego, do czego prowadzi nas właśnie przekłamane porównywanie się z innymi. Jeśli

mam świadomość tego, to dobrze podziękować za moje osobiste trudy oraz włączyć od czasu do czasu wyrozumiałość w stosunku do innych, bo oni także idą tę samą drogą, w tym samym kierunku i niosą każdy swój własny, osobisty, skrojony na miarę krzyż.

Jakiś czas temu podczas modlitwy stanął mi przed oczami taki obraz, że idę za Jezusem na Golgotę, a On przede mną, cały pokiereszowany tacha ten swój krzyż. Więc ja pędem puściłam się, żeby Mu pomóc. A On nie dość, że mi nie pozwolił, to jeszcze skarcił, że ten jest Jego, a ja mam brać swój. Mocne. Prawdziwe. Cztery filtry zalicza. Moje wnioski z tej modlitwy pojawiają się wciąż. Po pierwsze, On zbawia świat, a nie ja. Po drugie, Jego misja to nie moja misja, a Jego powołanie to nie moje powołanie. Po trzecie mam swój krzyż i mam go dźwigać. Po czwarte i do tego wróć jeszcze: muszę pozwolić umrzeć mojemu Ukochanemu, bo on musi umrzeć, żeby zmartwychwstać.

Czy nam to na rękę, czy raczej nie, Jezus wyraźnie powiedział do uczniów: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (zob. Mt 16, 24). Nawet, jeśli nie chcemy naśladować Jezusa, nie chcemy zaprzeć się siebie, czyli własnych wyobrażeń, światopoglądu, własnego ego i podążać za Nim, to fakt jest taki, że krzyż dźwiga każdy. Uznaję za racjonalne rozwiązanie w tym wypadku uskutecznić dwa w jednym, bo skoro mam krzyż, to i mogę dźwigać go na sposób Jezusa i za Jezusem i z Jego pomocą zmierzając do Nieba. Taka mam nadzieję.

**„Nikt nie ma większej miłości od tej,
gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich.”**

J 15, 13

Tak od jakiegoś czasu chodziłam właśnie z tematem krzyża w głowie i coś mnie uwierało. Może to ten powracający obraz, może to pytanie o sens cierpienia. Koncepcji było wiele. Jednak ta właściwa okazało się, że przekracza moje wyobrażenia, a odpowiedź przyszła w swoim czasie, jak zwykle pełniejsza, od każdej, którą dotychczas sobie umyślałam.

To takie olśnienie, czy natchnienie, które przesywa mój umysł i serce niespodziewanie. Ten zagubiony „puzelek” wskakujący na swoje miejsce, to poczucie dopełnienia, ale przede wszystkim poczucie prawdy, często w jej niesamowitej prostocie. Tak było i tym razem. Bóg „powiedział” mi (celowo używam cudzysłowu, bo jak wiesz drogi czytelniku nie przeżywam objawień, a jedynie

wsluchuję się w siebie, ciszę i Boże Słowo), że muszę pozwolić Mu umrzeć. Trochę mnie to zatrwożyło, ale uświadomiłam sobie, że faktycznie w swej dobroci, ale bardziej naiwności chciałabym uratować Jezusa przed krzyżem. Gdybym była świadkiem zdarzeń sprzed dwóch tysięcy lat, z chęcią urządziłabym „Gwiezdne Wojny” Sanhedrynowi, Piłatowi, uczniom- tchórzom i robiła wszystko, żeby uratować Jezusa.

Tylko wtedy, nie wydarzyłyby się najważniejsze: zmartwychwstanie. Zrozumiałam, że jeżeli nie pozwolę Mu tak mentalnie na mękę i śmierć, nie zaakceptuję Jego cierpienia i Jego historii, to nie zobaczę Go zmartwychwstałego. A przecież to jest fundament chrześcijaństwa: wiara w zmartwychwstanie. Gdyby komuś udało się udowodnić, że zmartwychwstania nie było, odnalazłby szczątki Jezusa albo obalił jakimś cudem wszystkie ustalenia syndologii (nauka o Całunie Turyńskim), a na świecie nagle raz po raz przestałyby się pojawiać krwawiące Hostie, inne znaki i cuda związane ze zmartwychwstaniem, to nie byłoby chrześcijaństwa.

Jak do tej pory, mimo prób (tu polecam film „Sprawa Chrystusa” oparty na prawdziwej historii dziennikarza, który chciał właśnie podważyć zmartwychwstanie w trosce o swoją wierzącą w „głupoty” żonę), nie tylko nauka, ale i wiara jest po stronie chrześcijan. Dlaczego zatem było to dla mnie takim szokiem, to pozwolenie na śmierć Jezusowi? Z jednej strony musiałam Mu powiedzieć: Jezu ja się zgadzam nie tylko na to, że umarłeś, umierasz i będziesz umierać, ale że zrobiłeś to ze względu na mnie, na moje dobro, bo jestem grzesznikiem. Tak po ludzku to jak pozwolenie na odejście kogo bliskiego, który do tego poświęcił się dla ciebie, cierpiał dla ciebie. To zgoda na to, że jestem tego warta. Warta, żeby mój Ukochany oddał za mnie życie. Mentalnie to dla mnie trudniejsze niż sytuacja, że ja się za kogoś poświęcam, oddaję życie.

Tylko, żeby wydarzył się cud pustego grobu, to musi się wydarzyć krzyż i śmierć. Żywy Jezus nie zmartwychwstanie. Wiem, że może brzmi to jak oczywistość, ale to jeden z obszarów w tej mojej osobistej historii, który wymagał „odpuszczenia”, porzucenia już nie kontroli, bo to się stało, ale nawet samej chęci kontrolowania, potencjalnego panowania nad sytuacją. To dla mnie duży krok naprzód.

Czasami muszę pogodzić się z tym, że ktoś cierpi, czy że przydarza mu się krzywda. Jest to dla mnie szczególnie trudne, ale już nie we względu na brak kontroli sytuacji, tyle ze względu na dużą u mnie potrzebę sprawiedliwości. Jeśli słyszę o historiach, gdzie podły człowiek krzywdzi innego, niewinnego, to włos mi się na głowie jeży, nóż w kieszenie otwiera i wcale nie mam ochoty za oprawcę się modlić i powierzać go miłosierdziu Boga. Szczerze, to mam ogromną chęć wziąć

różaniec, owinąć wokół szyi dajmy na to pedofila lub gwałciciela i go po prostu udusić organizując mu na szybko spotkanie z Bożą sprawiedliwością (parafrazując kogoś z twardej akcji).

Z takiej chęci pomszczenia niewinnego, odpłacenia krzywdą za krzywdę wybija mnie scena, którą rewelacyjnie oddał Paul Young w swoim bestsellerze „Chata”. W filmie o tym samym tytule, także jest ona zawarta. Kiedy zrozpaczony ojciec trójki dzieci, któremu porwano i zabito najmłodszą córeczkę spotyka alegorię Sprawiedliwości Boga, to może zasiąść na chwilę na jej tronie i ma sądzić. Oczywiście z łatwością skazuje złoczyńców, którzy skrzywdzili jego rodzinę na piekło, ale w momencie, gdy stają przed nim własne, nastoletnie dzieci i przedstawione zostają ich grzechy i ma zdecydować które ma trafić do nieba, a które do piekła, nie potrafi dokonać wyboru, bo tak je kocha. Jak łatwo się domyślić robi to, co Jezus dla swoich dzieci, bo oferuje samego siebie w zamian za dziecko.

Często zapominam o tej perspektywie Rodzica. Przecież nawet, jeśli nasze dziecko byłoby złodziejem czy mordercą, to czy matka wyrzekłaby się go? Czy przestałaby go kochać? Czy nie chciałaby, żeby się zmienił, nawrócił, zresocjalizował i odpokutował? Z perspektywy matki odpowiedź jest dla mnie oczywista, a przecież ja kocham własne dzieci niewspółmiernie mniej niż doskonały Rodzic.

Są rzeczy, które w głowie mi się nie mieszczą, jest taki rodzaj zła, który ma znamiona najgorszego. I tu pojawia się we mnie pytanie, czy już nie tylko pozwalam Jezusowi umrzeć za moje grzechy i słabości, ale czy pozwalam Mu umrzeć za to najgorsze zło czynione przez człowieka, aby dać każdemu szansę na zbawienie. To wydaje się znacznie trudniejsze, choć ja mam głębokie przekonanie, że wszechmocny Bóg jest tak serio wszechmocny, co oznacza, że całe zło przy skończeniu świata w jedną sekundę po prostu spali.

Teraz zgodnie z przypowieścią, pozwala rosnąć dobremu ziarnu, czyli pszenicy i chwastom pomiędzy nim, powstrzymując aniołów, żeby przypadkiem nie zebrali jakiegokolwiek dobrej rośliny razem z chwastem. Muszą i my musimy poczekać na żniwa i Pana żniwa (zob. Mt 13, 24-30). I na to czekam z utęsknieniem. To jest najlepsza składowa tej chrześcijańskiej nadziei jak dla mnie: sprawiedliwość i w sposób niewyobrażalny, tryliard razy doskonalszy niż ludzkie metody, naprawienie, zniszczenie zła i jego skutków. Tylko najpierw trzeba umrzeć.

„W Jego ręku- tchnienie życia i dusza każdego człowieka”.

Hi 12, 10

Czytając ostatnio opowieści świadków o wspomianej już wcześniej Chiarze Corbella Petrillo, natknęłam się na stwierdzenie, że najlepszym, najszczęśliwszym dniem naszego życia będzie dzień naszej śmierci. Z tego powodu, że zobaczymy Boga, doświadczymy jego miłości twarzą w twarz.

Chociaż śmierć instynktownie napawa mnie lękiem, bo każda jest związana z cierpieniem własnym i najbliższych, to jeśli jestem faktycznie wierzącym chrześcijaninem, to powinnam się nią ucieszyć. Zwłaszcza, jeśli jak wierzę, chcę iść w ramiona Ojca od razu. Podczas któregoś z kazań usłyszałam piękne wyobrażenie, jak to jest z przejściem na drugą stronę. Może to być tak, że tu na ziemi jestem w biegu, mam zadyszkę i ten ostatni etap, ledwo oddychając pokonuję umierając i w momencie śmierci wypadam zziębnięta z roku, wpadam nagle w ramiona Ojca, największej miłości, który mówi mi: Już spokojnie, dobiegłaś. Teraz możesz oddychać naprawdę.

Ten obraz jest o tym, o czym mówi święty Paweł w Drugim Liście do Tymoteusza pisząc o swojej zbliżającej się śmierci: „Albowiem krew moja już ma być wylana na ofiarę, a chwila mojej rozłąki nadeszła. W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem. Na ostatek odłożono dla mnie wieniec sprawiedliwości, który mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia, a nie tylko mnie, ale i wszystkim, którzy umiłowali pojawienie się Jego” (zob. 2 Tm 4, 6-8). I tu łączy się kilka rzeczy: bieg z jego meta, nagroda ze sprawiedliwością, a to wszystko prowadzi do zobaczenia Ojca i rozpoczęcia z Nim takiej bliskości, której jedynie przedsmaku mogliśmy doświadczyć na ziemi. Zatem meta staje się początkiem oraz triumfem prawdziwej sprawiedliwości, tak dla mnie ważnej. Czyli ta moja nadzieja na jedno i drugie zostaje spełniona.

Oczywiście może być też tak, że będziemy potrzebować po przekroczeniu tej mety prysznic, czyli czyścica. To niezastąpione, choć jak już wspominałam fatalne miejsce, żeby tam trafić. Pisałam co nieco o czyścicu, natomiast uważam, że to dobry moment podzielić się swoimi bardzo osobistymi doświadczeniami z nim związanymi. Zwłaszcza, że moja historia w tym miejscu zmierza do końca, a tak naprawdę do kolejnego początku, więc uważam, że może być pożyteczne dla ciebie drogi czytelniku to, co opiszę.

Od mniej więcej dwóch lat odczuwam pragnienie, żeby modlić się za dusze czyścicowe. Robię to dzień w dzień, kiedy moje dzieci zasypiają, gdyż Koronka do Miłosierdzia Bożego to bardzo krótka forma modlitwy i zajmuje około dziesięciu minut. Czasami mówię ją w intencji

konkretnej osoby, ale najczęściej oddaję ją Bożej dyspozycji. Zdarza mi się, że widzę oczami wyobraźni konkretną, ale nieznaną osobę, jej zmęczoną, szarą, mizerną twarz. To mi pokazuje, jak realnie ci w czyścicu potrzebują naszej modlitwy i jak bardzo cierpią, bo ich twarze są wysuszone tęsknotą, jakby pozbawione energii i radości.

Oprócz takich przeżyć, które nie dopadają mnie często, mam także inne związane z obecnością tych naszych braci i sióstr, którzy cierpią. Jasne, że to wszystko odczucia wewnętrzne, intuicyjne, obrazy można powiedzieć mojej wyobraźni, ale często one są tak dojmujące, że wydają się bardziej realne niż wszystko co dookoła postrzegam zmysłami. Ostatnio będąc na cmentarzu (jestem tam prawie co tydzień, odwiedzając grób Frania, Anielki i Zosi), zobaczyłam w oddali jakiś grób, na samym końcu, gdzie jeszcze nie dotarłam nigdy. Pojawiło się we mnie uczucie, że mam tam iść i pomodlić się. Po „załatwieniu” swoich osobistych spraw, po zdrowaśce za wszystkie dusze osób pochowanych na cmentarzu, ruszyłam na jego koniec.

Słońce prażyło, mnie standardowo bolała głowa, pojawiły się mdłości, ale ofiarowałam to wszystko za te dusze, których szczątki spoczywały dookoła i szłam. Nagle poczułam, jakbym nie mogła iść dalej. Zobaczyłam (w wyobraźni) multum śmigających szarych obiektów, które zaczęły się na mnie uwieszać i które musiałam taszczyć, zmierzając w stronę tego grobu, ale też wznoszącego się nieopodal dużego drewnianego krzyża. Fizycznie jakby coś mnie łąpało i spowalniało moje ruchy. Zaczęłam się modlić i powierzać wszystkim Maryi, nawet jeśli to tylko moja wyobraźnia, to ją też powierzałam. Dotarłam do grobu nieznanym, pomodliłam się krótko i zawróciłam dorzucając jeszcze zdrowaśkę po drodze. Wszystko ucichło.

Tak sobie myślę, że te dusze czyścicowe potrzebują jedynie naszej modlitwy, naszej ofiary z codziennych trudności, żeby im pomóc. Wiem, że nie są w czyścicu za niewinność, ale to nie znaczy, że mamy o nich zapomnieć, bo tam trafi pewnie sporo z nas, jak nie większość.

Miałam kiedyś sen, który z początku myślałam, że obrazuje mi niebo z jego dziwnymi układami, ale zorientowałam się, że to nie Niebo, tylko czyściec i jego, jakby poziomy. Nie mogłam długo zorientować się, o co chodzi, bo niewiele na temat czyścica wiedziałam, dopiero potem, jak gdzieś jakieś informacje zaczęły do mnie docierać, stwierdziłam, że w stu procentach pokrywają się z tym, co widziałam i zapamiętałam ze snu.

To już drugi sen, który tu opisuję, nie dlatego, że przywiążuję do nich wagę, bo 99% moich snów to śmieci, z czego większości nie pamiętam, ale ten dokładnie zapamiętałam i do tej pory podzieliłam się nim jedynie z kilkoma wybranymi osobami. Śniło mi się, że spotkałam się z

Jezusem na tylnym podwórku jakiegoś podejrzanie wyglądającego budynku, do którego było takie wejście od zaplecza. Z drzwi wyszedł do nas Bóg- Ojciec, taki z obrazu z długą siwą brodą i wręczył mi srebrną, połyskującą szatę. Przebrałam się w nią, a Ojciec wprowadził mnie do środka, a sam zniknął mi z oczu.

Chodziłam korytarzami, dość mrocznymi, które przykrywało takie przytłumione czerwono-brązowe światło. W nich umiejscowione były małe, jasne pokoiki, świecące na biało, z których każdy należał do innej osoby. Były one urządzone w różnoraki sposób, bo do kilku zostałam zaproszona. Nie pamiętam wiele z ich wyposażenia, bo tylko z jednego z tych pokoi zapamiętałam absurdalny dla mnie na ten moment element ozdobnego drzewka, takich suchych gałęzi z pluszowymi, czarnymi pajakami na nim. Jego mieszkaniec z dumą je prezentował. Najbardziej moją uwagę przykuwali mieszkańcy tego miejsca albo raczej tych miejsc.

Ludzie przemieszczający się korytarzami i rezydujący w pokojach mieli szaty koloru lekko przybrudzonej bieli, powiedzmy kremowe, więc moja srebrna, domyślam się, że nadawała mi status gościa. Otaczające mnie w tamtym momencie dusze były uprzejme, gościnne i był w nich coś, co nazwałabym cieniem radości czy nadziei. Tak wędrowałam, a korytarze opadały coraz niżej i robiło się coraz ciemniej, w pewnym obszarze, idąc nieco w głąb, zniknęły te jasne pokoiki i byli po prostu ludzie kręcący się po pustych korytarzach, dużo smutniejsi.

Idąc dalej, miałam wrażenie, że doszłam do końca, do obszernej sali skąpanej jedynie w półmroku, na której środku było podwyższenie, taka mini scena w kształcie, jakby betonowego prostokąta wystającego ponad podłogę. Z początku nie było nikogo, ale wkrótce fala ludzi nadeszła. Przyszli oni znikąd, czyli to nie był koniec tego miejsca, jakby się zdawało, bo prowadziła do niego jeszcze jakaś wnęka. Te dusze, ci ludzie nie byli przyjaźni, jak tamci z pokojów, ani nawet obojętni jak ci krążący po korytarzach.

Byli... wygłodniali. Tym samym rozeźleni. Pociągnęli mnie w stronę platformy i na siłę chcieli na niej położyć, zdzierając łączywie moją srebrną szatę, pod którą niczego nie miałam więcej. Nie obchodziło ich, że mówię, że jestem „od Jezusa”. Dopiero, jak zaczęłam Go wołać, żeby mnie ratował to obudziłam się nagle.

Wspominałam, że na początku ten obraz zinterpretowałam, jako tylne wejście, od zaplecza do Nieba, bo być może te pełne światła pokoiki przypomniały mi Ewangelię o obietnicy Jezusa, który ma nam przygotować mieszkania w Niebie. Jednak ten półmrok, atmosfera tymczasowości, to

obniżanie terenu i stopniowe pojawianie się czarniejszych charakterów, utwierdziło mnie w przekonaniu, że to moje wyobrażenie czyścica, które w tym śnie tak wyraźnie się uplastyczyło.

Jakikolwiek ten obraz by nie był, to mój wniosek pozostaje ten sam: modlić się za ludzi tam oczyszczających się i błagać o wzięcie mojej duszy prosto do Nieba. Nie mam pojęcia, czemu w moim życiu, tak wiele wątków łączy mnie z tymi duszami. Sama własne życie, choć bywa radosne i przyjemne, postrzegam właśnie jako oczyszczanie mojej duszy już tu i teraz. Oczywiście własnoręcznie tego nie zrobię, ja mogę chcieć i przyjmować to, co Ojciec mi daje i oddawać to, co chce zabrać, od czego uwolnić mnie. Moim wyborem jest zgoda na to i ponawianie zaufania do Niego, zapął do bycia lepszą dla innych, dla siebie i dla Niego. Reszta, czyli wszystko tak naprawdę, jak to mówią w rękach Boga.

„...odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie...”

Rdz 2, 2

Sporo już w moim odczuciu opowiedziałam o sobie, a dokładnie o obecności Boga w moim życiu i we mnie samej. Nie wiem, co przyniesie jutro, ale każdym kolejnym jutrem chciałabym zmierzać do miejsca, gdzie „już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (zob. Ga 2, 20). Pisząc tę historię jestem w trakcie czegoś, co można by nazwać odpoczynkiem, a na pewno wycofaniem z życia zawodowego. Gdyby nie ten radykalny krok w tył, decyzja o przyjrzeniu się sobie w psychoterapii, odcięcie po dwudziestu latach od „muszę działać”, a przede wszystkim decyzja, żeby złapać oddech, pewnie nie miałabym okazji rozpocząć pisania tej książki. Choć potrzebowałam do tego jeszcze zewnętrznej motywacji, do której przyznaję się we wstępie, to te wszystkie okoliczności sprawiły, że jestem w takim, a nie innym miejscu.

Odbywam podróż do swojego wnętrza, nie tylko w sposób duchowy, ale w sposób pozwalający na przyjrzenie się swojej psychice, swojemu umysłowi, reakcjom ciała. Co najpiękniejsze, z pozoru nic nie robiąc mam silne poczucie, że stoję u progu czegoś bardzo ważnego. Nie wiem co to jest, ale dziękuję za to zawczasu Ojcu. Choć lęk, moje dolegliwości, przykre wspomnienia bywają przytłaczające, to odrzucam ten bumerang i mówię po raz kolejny: -Tak Panie, Ty wiesz, że Cię kocham i ufam Tobie. Wiem, że za zakrętem, a może na tej prostej czeka kolejny nowy początek...

Tą historią chcę powiedzieć tobie, drogi czytelniku, że właśnie na nowy początek nie jest nigdy za późno, bo jak powiedział wiosłującym uczniom, w trakcie burzy Jezus: „Odwagi, Ja jestem, nie bójcie się!” (zob. Mk 6, 50). Jeśli mogę cię o coś prosić, ciebie, który doznał do końca mojej opowieści, to proszę cię o modlitwę nawet jeśli na co dzień się nie modlisz. Od razu mówię, że nie za mnie. Uklęknij, usiądź, może zamknij oczy i pomódl się za samego siebie.

Jak nie wiesz jak, to możesz zacząć słowami: *Duchu Święty zapraszam Cię do mojej modlitwy, bo bez Ciebie nie dam rady się modlić. Ojcze, jeśli tak jak powiedziałeś wysłuchujesz wszystkich modlitw, to przyjmij także tę moją, może nieporadną. Ty wiesz, że jestem jaki/ jaka jestem. Znasz mnie na wylot. Właśnie taki/ taka stoję przed Tobą Jezu, aby Cię zaprosić do mojego życia tu i teraz. Jezu powiedziałeś, że jesteś początkiem i końcem, alfą i omegą. Spraw, żeby w moim życiu nastąpił początek. Początek życia z Tobą w bliskości i miłości. I ten początek niech prowadzi mnie do zbawienia, bo chcę oglądać Ciebie twarzą w twarz...*

„Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daje świat, Ja wam daję.

Niech się nie trwoży serce wasze ani się lęka!”

J 14, 27

KONIEC?



JOANNA CAŁKO

O MNIE:

Ukończyłam psychologię stosowaną na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz zarządzanie ze spec. reklama i marketing na Polish Open University. Jestem także absolwentką Szkoły Trenerów Wszechnicy UJ. Razem z mężem od ponad 10 lat prowadzimy firmę, która na terenie całego Krakowa i okolic zajmuje się warsztatami dla dzieci i młodzieży z zakresu nowych technologii. Prowadzę szkolenia pracowników, prelekcje i współpracowałam kilka lat, jako prowadzący zajęcia z Uniwersytetem Jagiellońskim. Jestem autorką bloga www.LaskaBoga.pl. Prywatnie z mężem jesteśmy rodzicami piątki dzieci: dwójki synów na ziemi i dwójki córek oraz syna w niebie. Uwielbiam czytać i spędzać czas na wspólnych wycieczkach zwłaszcza rowerowych. Uczę się grać na pianinie i słuchać...

Podczas pisania zawsze towarzyszy mi Pismo Święte i to ono prowadzi mnie przez opisywane wydarzenia w moim życiu. Ono jest odpowiedzią i klamrą. Opisana tu historia wypływa z głębi mojego serca, a tytuły rozdziałów to jakby jego uderzenia.



Łaska Boga